RAPORT „DO RZECZY”

Antypolonizm – skąd się wziął i dlaczego przybiera na sile

TYGODNIK LISICKIEGO

DO RZECZY

NR 7/260 12–18 LUTEGO 2018

CENA 6,90 ZŁ (W TYM 8% VAT)

Zychowicz ostro o nowelizacji ustawy o IPN

ŁYSIAK Z PĘKIEM CZERWONYCH RÓŻ NA DZIEŃ ZAKOCHANYCH

Papież porzuca katolików w Chinach?

Jarosław Kaczyński w rozmowie z „Do Rzeczy”:

BYŁEM ZASKOCZONY REAKCJĄ IZRAELA

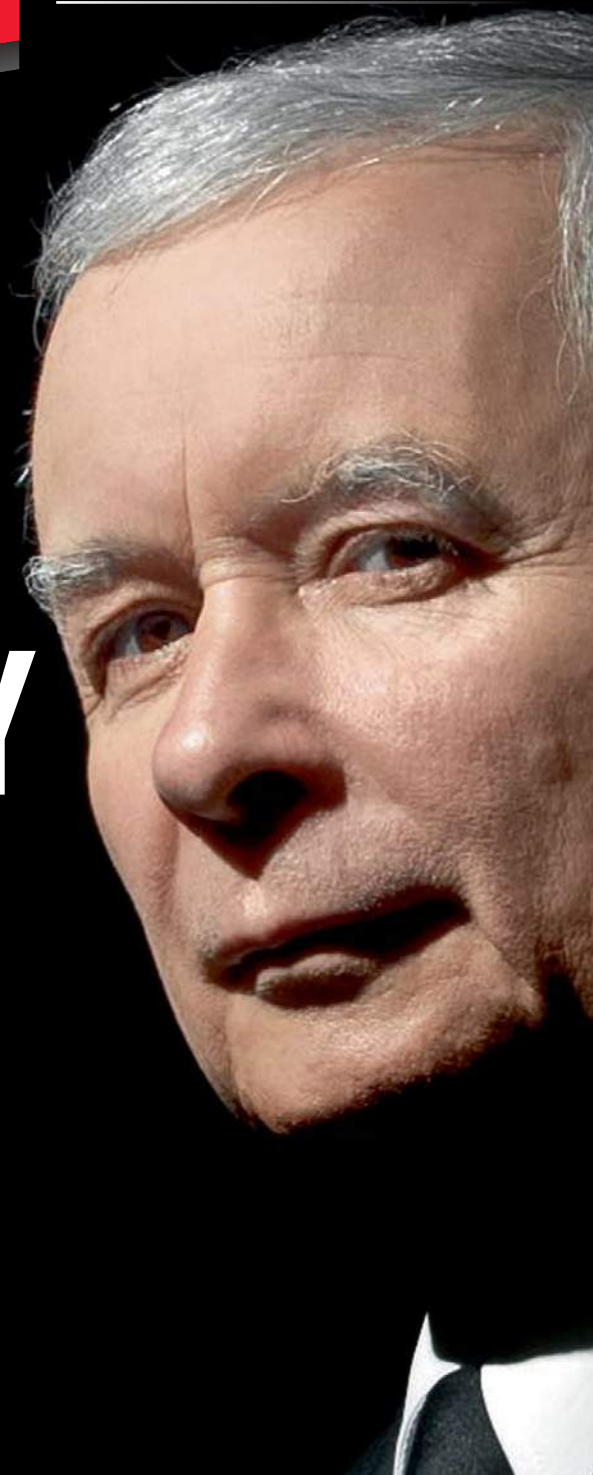

ISSN 2299-8500 Nr indeksu 288829

9 772299 850000 07 >

Nakład: 100 tys. egzemplarzy

Słuchaj relacji z Igrzysk Zimowych

Z MIŁOŚCI DO SPORTU

pjongczang2018.polskieradio.pl

eprasa.pl c435d7738c

PAWEŁ LISICKI

W RZECZY SAMEJ

Systemowy udział Polaków

Kiedy usłyszałem, że w rozmowie z premierem Mateuszem Morawieckim premier Izraela Beniamin Netanjahu miał powiedzieć, iż „Polacy w sposób systemowy uczestniczyli w Holokauście", pomyślałem, że się przesłyszałem. Jednak gdy słowa izraelskiego premiera potwierdził Jacek Czaputowicz, szef MSZ, już żadnych wątpliwości być nie mogło. I zalała mnie krew. Mam nadzieję zresztą, że nie tylko mnie i że te słowa, tak haniebne i bezczelne, dotarły do polskiej opinii publicznej oraz pokazały jej podstawowy problem, jaki niesie w sobie religia Holokaustu. Odbiera nam ona prawo do własnych ofiar i dokonując manipulacji na języku, spycha Polaków do kategorii współsprawców. Systemowy – to jest zorganizowany, zaplanowany, przygotowany, zbiorowy.

Mimo całej sympatii do intencji polityków Prawa i Sprawiedliwości nie potrafię uznać, że w przypadku nowelizacji ustawy o IPN Polska cokolwiek zyskała

Od tego czasu takich określeń pojawiło się w prasie światowej mnóstwo: „Polacy współpracowali przy zagładzie", „uczestniczyli w Holokauście", „systematycznie zabijali Żydów". Doprawdy, mimo całej sympatii do intencji polityków PiS, nie potrafię uznać, że w przypadku nowelizacji ustawy o IPN Polska cokolwiek zyskała. Przeciwnie. Do światowej opinii publicznej przebił się jeden prosty komunikat: Polska chciała (chce?) zrzucić z siebie winę za udział w Holokauście. Nie zmienią tego żadne zaklęcia i deklaracje.

Co gorsza, ten komunikat został jeszcze wzmocniony nieudolną i słabą próbą obrony. Pisałem już o tym przed tygodniem. Zamiast pokazać istotę kłamstwa holokaustianistów – Polacy byli ofiarami, terror niemiecki uderzył najpierw w Polaków, mamy swoje miejsca męczeństwa, których nie ma w żadnym innym państwie zachodnim, mamy nasze Palmiry, Piaśnicę itd., polskie państwo w sposób systemowy zwalczało kolaborację – polscy politycy starali się mówić, jak bardzo chcą bronić pamięci żydowskiej. Do licha! Żydzi naprawdę potrafią to robić lepiej. Jeśli już wywołaliśmy światową awanturę, to przynajmniej trzeba ją było wykorzystać do przypomnienia setek tysięcy Polaków, milionów, którzy zginęli z rąk Niemców, Sowietów czy ukraińskich nacjonalistów. Temu przecież miała rzekomo służyć zmiana w ustawie. Temu, żeby nie było lepszych i gorszych ofiar. Temu, żeby pokazać, iż polskie ofiary od żydowskich gorsze nie są.

Miałem też wrażenie, jakby słowa o „systemowym udziale Polaków" wygłoszone przez premiera Izraela zostały przez polską stronę przyjęte do wiadomości. Bo proporcjonalną odpowiedzią na oskarżenia premiera Netanjahu jest nie przypominanie o polskich sprawiedliwych, ale wskazanie na ofiary polskie i na banalny fakt, że w każdym narodzie, też żydowskim, są ludzie dobrzy i niegodziwi. Czyżby wśród Żydów nie było szmalcowników? Tak jak premier Izraela mógł sobie pozwolić na opowieść o „systematycznym udziale Polaków w Holokauście", tak polski polityk mógłby mówić o „systemowym udziale ludności żydowskiej" w działaniach ludobójczych władz sowieckich po 1939 r. albo o systemowym udziale Żydów w komunistycznym systemie terroru po 1945 r. To, że takie słowa nie padły, wynika z prostego faktu: w tej rozgrywce strona żydowska okazała się silniejsza i retorycznie zapędziła polski rząd w kozi róg. Żydowski polityk mówi, co myśli, i nie boi się oskarżenia o antypolonizm, polski cały czas gryzie się w język, bo, a nuż, ktoś uzna jego słowa za antysemickie. No więc po co była ta nowelizacja, skoro jej efektem jest debata, w której całemu światu obwieszcza się o polskich zbrodniach i Polacy kładą uszy po sobie?

Z góry też mogę przewidzieć, co będzie następnym etapem tej debaty. Już wkrótce, czytelnicy „Do Rzeczy" niech pamiętają tę prognozę, dowiemy się o tym, że w marcu 1968 r. to nie jedna frakcja komunistów wygnała drugą, ale że zrobili to „Polacy" swoim „żydowskim przyjaciołom/sąsiadom"! Zobaczą też państwo, że chęć podważenia tej absurdalnej opowieści będzie traktowana jako próba wyparcia się własnych win. Nic dziwnego. Skoro można znosić spokojnie twierdzenie o „systemowym udziale Polaków w Holokauście", to nauczymy się przyjmować opowieść o Polakach wyganiających Żydów w 1968 r. Wiadomo. To, co nie udało się „Polakom" za Hitlera, udało się „Polakom" w 1968 r.

W tej brutalnej walce o pamięć i przeciw prawdzie nie pomogą nam, niestety, żadni Sprawiedliwi. W holokaustiańskiej opowieści służą oni jedynie do wzmocnienia oskarżenia: „Patrzcie, przecież można było inaczej!".

Możliwości były dwie. Albo małymi krokami pracować nad zmianą obrazu przeszłości, budując grupy przyjaciół, albo – skoro już mleko się rozlało – bronić przynajmniej w warstwie retorycznej polskich racji. Wybrano trzecią drogę. Trudno dostrzec jej zalety. ©℗

RYSUNEK TYGODNIA

eprasa.pl c435d7738c

TEMAT TYGODNIA

16 ROZMOWA Z JAROSŁAWEM KACZYŃSKIM
POLSKA NIE BĘDZIE PŁACIŁA PODATKU OD NIEMIECKICH ZBRODNI
Uzyskanie większości konstytucyjnej graniczy z cudem

RAPORT O ANTYPOLONIZMIE

22 PIOTR SEMKA
DLACZEGO NIE CHCĄ NAS ZROZUMIEĆ?
Prawda o stosunkach Polski i Izraela

25 ROZMOWA Z PROF. JANEM ŻARYNEM
ANTYPOLONIZM MA DŁUGĄ TRADYCJĘ

28 WOJCIECH WYBRANOWSKI
POGRĄŻYĆ HISTORYKA

30 RAFAŁ A. ZIEMKIEWICZ
WOJNA OJKO-POLAKÓW

KRAJ

32 PIOTR GOCIEK
KRONIKA ZAPOWIEDZIANEJ KLĘSKI
Przyczyny wizerunkowej katastrofy, która przytrafiła się Polsce w ostatnich tygodniach, są głębsze, niż się wydaje

36 ŁUKASZ WARZECHA
PODSZYTE OBŁUDĄ

38 ROZMOWA Z NORWEŻKĄ STARAJĄCĄ SIĘ O AZYL W POLSCE
ZNALAZŁAM SCHRONIENIE W POLSCE

40 AGNIESZKA NIEWIŃSKA
KLĄTWA ISABEL

KULTURA

42 ROZMOWA Z ANDRZEJEM ZIELIŃSKIM
ŁÓŻKA, TRONY I KORONY
Namiętności polskich władców

44 ANDRZEJ HORUBAŁA
ELEGIA

NIE PRZEGAP

46 NASZ PRZEWODNIK
FILMY, KSIĄŻKI, PŁYTY, GRA

CYWILIZACJA

52 WALDEMAR ŁYSIAK
RÓŻA
Walentynkowo o różach

OPINIE

60 PIOTR ZYCHOWICZ
RYK TYGRYSA BEZ KŁÓW
Czy prawda nie może bronić się sama?

64 ROZMOWA Z BAWEREM AONDO-AKAA
VERHOFSTADT OBRAZIŁ NARÓD POLSKI

67 KRYSTIAN KRATIUK
POLSKA ZAWSZE WIERNA?

HISTORIA

68 SŁAWOMIR SIWEK
LECH KACZYŃSKI W MAGDALENCE
Bój o Solidarność

ŚWIAT

72 TERESA STYLIŃSKA
POWRÓT BERLUSCONIEGO
Przemiana premiera od bunga-bunga

74 TOMASZ P. TERLIKOWSKI
I TYLKO BOHATERÓW ŻAL

76 PIOTR CZYŻEWSKI
BITWA O IRLANDIĘ

EKONOMIA

80 JACEK PRZYBYLSKI
KOSMICZNY INTERES
Elon Musk – zuchwały wizjoner czy biznesmen szarlatan

SPORT

84
DODATEK: SKOKI NARCIARSKIE

O ZDROWIU

90 KATARZYNA PINKOSZ
NA WOJNIE Z RAKIEM
Polska goni Europę i świat

FELIETONY:
SEMKA (8), ZIEMKIEWICZ (10), WARZECHA (11), GMYZ, GOCIEK (14), POSPIESZALSKI (50), ZALEWSKI, WOLSKI (59), ZYCHOWICZ, KOPER (71), KOWALCZUK (78), GABRYEL, RYBIŃSKI (83), KOMUDA (92), TYRMAND (96), KATARYNA (98), ŁYSIAK (99)

eprasa.pl c435d7738c

Prezentowane produkty i usługi dostępne są na wybranych stacjach ORLEN.

KAWA na mieście?

Dla przejezdnych i przechodniów.
By złapać kawę lub zasięg.
Po nastrój i atmosferę.
Dla wszystkich i o każdej porze.

Kierunek jest jeden...

ORLEN

eprasa.pl c435d7738c

Drodzy Czytelnicy,

Jeden temat dominuje w redakcyjnej poczcie. Trudno się zresztą dziwić – przecież o tym bez ustanku rozmawiamy od kilkunastu dni.

Mord w Wierzbicy

Motywacją do napisania tego listu są ostatnie wydarzenia związane z uchwaleniem ustawy o IPN. Mało kto się orientuje, że w Polsce jest grupa rodzin, których krewni ratowali Żydów, a którzy najprawdopodobniej nigdy nie znajdą się w gronie Sprawiedliwych wśród Narodów Świata. Mówię to na podstawie wydarzeń we wsi Wierzbica. 29 stycznia 1943 r. Niemcy zamordowali trzy rodziny ukrywające Żydów: Kucharskich, Nowaków i Książków. Osobą, która wydała Niemcom te rodziny, a także swoją rodzinę, był Żyd Naftul. W sumie zostało zamordowanych 15 osób.

Egzekucję przeżył tylko 13-letni Bronisław Kucharski. Historia ta jest znana wśród historyków i została opisana w książce Juliana Grzesika „Zagłada Żydów w czasie II wojny światowej", a także przez Władysława Bartoszewskiego. To tragiczne wydarzenie niestety nie może się przebić do ogólnej wiadomości.
Myślę, że nasza klasa polityczna jest za bardzo poprawna politycznie, a nowemu pokoleniu Żydów wydaje się, że ich dziadkowie byli krystalicznie czyści. Takich przypadków jak w Wierzbicy były dziesiątki. Historię tę wysłałem do muzeum Polin, gdzie sprawą zajęła się p. Klara Jackl, koordynatorka projektu Polscy Sprawiedliwi, niestety bez żadnego efektu. [...]

Myślę, że tego typu polityka, nieprzedstawianie całej prawdy o Holokauście i założenie blokady na takie wydarzenia jak w Wierzbicy, teraz okrutnie się zemściły i doprowadziły do konfliktu z USA oraz Izraelem.

Jestem krewnym rodziny Książków i nie można powiedzieć, że nasza rodzina nie ma siły przebicia. Wnukowie zamordowanej rodziny Książków to Wojciech Książek, wiceminister w rządzie Jerzego Buzka, oraz Piotr Książek, wieloletni dyrektor elektrowni Żarnowiec.

Mam nadzieję, że zajmą się Państwo tym tematem w rzetelny sposób.

Z wyrazami szacunku
Jarosław Jasiński

Niewiedza

W ostatnim czasie przypuszczono ogromny atak na Polskę związany z ustawą o IPN.

Chciałem zwrócić uwagę, że Polska od wielu lat porzuciła edukowanie własnego społeczeństwa w sprawach najnowszej historii, w tym historii II wojny i hitlerowskiej okupacji.

Ze zgrozą zauważam, że NIKT nie zwraca na przykład uwagi na jeden „drobny" szczegół: Auschwitz NIE LEŻAŁ nawet w granicach Generalnej Guberni! Przecież ten teren został włączony do Rzeszy, oddzielony był od GG granicą, na jej przekroczenie należało mieć specjalną przepustkę.

Czy państwa polskiego nie stać na wydanie oficjalnego informatora, w wersji papierowej i elektronicznej, zawierającego wyłącznie dokumentację dotyczącą powstania obozu, stosowne mapy, rozporządzenia, np. nakazujące opuszczenie terenów przez mieszkańców, bez żadnych komentarzy, artykułów itp. dodatków?

Czy nie należałoby udostępniać takiej informacji, opartej wyłącznie na oryginalnych dokumentach, każdemu zwiedzającemu obóz, bezpłatnie, przy zakupie biletu? [...]

Zgroza ogarnia, gdy spostrzega się, że polska młodzież nie wie, kim byli volksdeutsche, kim Frank, Stroop, Kutschera, co wydarzyło się w Palmirach, na Zamojszczyźnie, co znaczyły nazwy al. Szucha, Pawiak, ulica Pomorska itd., itp.

Może należałoby intensywnie włączyć się w edukowanie polskiego społeczeństwa o historycznej prawdzie, ale także tej trudnej nie tylko dla nas (Chaim Rumkowski, Lejb Skosowski, wyroki wykonywane na szmalcownikach), byle opartej wyłącznie na udokumentowanych faktach.

Pozdrawiam, życzę utrzymania tak obiektywnej linii jak dotychczas.
Imię i nazwisko do wiadomości redakcji

TYGODNIK LISICKIEGO
DO RZECZY

ADRES: Tygodnik DO RZECZY
Batory Office Building II
Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa
tel.: +48 22 529 12 00, *fax:* +48 22 529 12 01
e-mail: listy@dorzeczy.pl, www.DORZECZY.PL

REDAKCJA:
Redaktor naczelny: **Paweł Lisicki**
I zastępca redaktora naczelnego: **Piotr Gabryel**
Zastępcy redaktora naczelnego: **Andrzej Horubała, Piotr Zychowicz**
Z ZESPOŁEM:
Sekretariat redakcji: **Jacek Przybylski** (I sekretarz redakcji), **Łukasz Zboralski** (II sekretarz redakcji), **Andrzej Dziekan, Radosław Wojtas**
Kolegium komentatorów:
Cezary Gmyz, Piotr Gociek, Waldemar Łysiak, Krzysztof Masłoń, Piotr Semka, Łukasz Warzecha, Rafał A. Ziemkiewicz
Stali współpracownicy i felietoniści:
Kamila Baranowska, Olivier Bault, Robert Bogdański, Joanna Bojańczyk, Grzegorz Brzozowicz, Sławomir Cenckiewicz, Wiesław Chełminiak, Dominika Cosić *(Bruksela)*, **Krzysztof Czabański, Roman Graczyk, Piotr Gursztyn, Katarzyna, Jacek Komuda, Sławomir Koper, Piotr Kowalczuk** *(Rzym)*, **Jakub Kowalski, Tomasz Lenczewski, Ewa Łosińska, Łukasz Majchrzyk, Marcin Makowski, Karolina Marchlewska-Trzmiel, Gabriel Michalik, Filip Memches, Agnieszka Niewińska, Maciej Pieczyński, Katarzyna Pinkosz, Anna Piotrowska, Jan Pospieszalski, Witold Repetowicz, Agnieszka Rybak, Krzysztof Rybiński, Stefan Sękowski, Teresa Stylińska, Artur Szeremeta, Tomasz P. Terlikowski, Błażej Torański, Matthew Tyrmand, Paweł Wawrzyński, Szewach Weiss, Piotr Włoczyk, Marcin Wolski, Tomasz Wróblewski, Wojciech Wybranowski, Igor Zalewski**
DoRzeczy.pl redaguje **Antoni Trzmiel** (także dziennikarz Telewizji Polskiej) z zespołem: **Zofia Magdziak** (zastępca), **Anna M. Piotrowska, Małgorzata Puzyr, Damian Cygan, Karol Gac, Mateusz Maranowski** (także Polskie Radio), **Jan Fiedorczuk**
Współpraca: **Miłosz A. Lodowski**
Studio graficzne: **Mariusz Daruk-Skarbek** (szef studia), **Wojciech Niedzielko** (grafik prowadzący), **Jacek Nadratowski, Anna Sobieska-Wójtowicz, Włodzimierz Zakrzewski**
Fotoedycja: **Edyta Bortnowska, Przemysław Traczyk**
Korekta: **Jadwiga Marculewicz-Olaś, Anna Zalewska, Marzena Dobosz, Agnieszka Wasilewska**
Rysownicy: **Andrzej Krauze, Cezary Krysztopa, Mirosław Owczarek**
Okładka: **MARCIN KALIŃSKI/WPROST/PAP**
WYDAWCA: **Orle Pióro sp. z o.o.**
Batory Office Building II
Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa
tel.: +48 22 347 50 00, *fax:* +48 22 347 50 01
Wydawca tytułu, spółka Orle Pióro, wchodzi w skład Grupy Kapitałowej PMPG Polskie Media SA, notowanej na GPW

Prezes Zarządu PMPG SA: **Michał M. Lisiecki**
Zarząd Spółki Orle Pióro:
Katarzyna Gintrowska, Paweł Lisicki
BIURO REKLAMY: reklama@dorzeczy.pl; tel. 503 016 998
PUBLIC RELATIONS
(PR manager), pr@pmpg.pl
DYSTRYBUCJA I PRODUKCJA:
Adam Borzęcki (kolportaż);
Aneta Suchta (prenumerata wydawnicza),
prenumerata@pmpg.pl, *tel.:* +48 22 529 12 10

ISSN 2299-8500
Nr indeksu 288829
Nakład 100 tys. egzemplarzy
DRUK: LSC COMMUNICATIONS EUROPE
Sprzedaż egzemplarzy aktualnych i archiwalnych po cenie innej niż cena detaliczna ustalona przez wydawcę jest zabroniona i grozi odpowiedzialnością karną.

PRENUMERATA:
Prenumerata realizowana przez RUCH SA:
Zamówienia na prenumeratę w wersji papierowej i na e-wydania można składać bezpośrednio na stronie www.prenumerata.ruch.com.pl

Ewentualne pytania prosimy kierować na adres e-mail: prenumerata@ruch.com.pl lub kontaktując się z Centrum Obsługi Klienta „RUCH" pod numerami: 22 693 70 00 lub 801 800 803 – czynne w dni robocze w godzinach 7–17. Koszt połączenia wg taryfy operatora.

Redakcja nie odpowiada za treść ogłoszeń ani nie zwraca materiałów niezamówionych. Zastrzegamy sobie prawo do skracania i adiustacji tekstów oraz zmiany ich tytułów. Na podstawie art. 25 ust. 1 pkt 1b prawa autorskiego wydawca wyraźnie zastrzega, iż dalsze rozpowszechnianie materiałów opublikowanych w tygodniku „Do Rzeczy" jest zabronione.

© ℗ Wszystkie materiały w tygodniku chronione są prawem autorskim. Wszelkie prawa zastrzeżone. Dalsze rozpowszechnianie artykułu tylko za zgodą wydawcy. Regulamin i warunki licencjonowania materiałów prasowych na www.dorzeczy.pl/regulamin/

eprasa.pl c435d7738c

Więzienie dla zwyrodnialców

Trzech nastolatków, którzy w sierpniu zeszłego roku napadło na polskich turystów w Rimini, usłyszało wyroki skazujące. Sąd skazał ich na dziewięć lat i osiem miesięcy więzienia

Najmłodszy z barbarzyńców ma 15 lat, a najstarszy 17. Dwaj oprawcy to bracia z Maroka, jeden z pochodzenia jest Nigeryjczykiem. Każdy usłyszał zarzuty wielokrotnego zgwałcenia obywatelki Polski oraz brutalnego pobicia towarzyszącego jej mężczyzny – również Polaka.

Sąd uznał nastolatków za winnych również dwóch innych napadów w Rimini. Ich tożsamość utrzymywana jest w tajemnicy. Obrońca Nigeryjczyka uważa zaś karę za zbyt wysoką i zapowiedział apelację.

FOT. ANSA/AP/EAST NEWS

Sąd zdecydował też, że pochodzący z Maroka rodzice gwałcicieli z Rimini zostaną wydaleni z kraju.

Wcześniej, w listopadzie 2017 r., wyrok skazujący usłyszał najstarszy z bestii: 20-letni herszt bandy, ubiegający się o azyl we Włoszech Kongijczyk Guerlin Butungu (na zdjęciu), został skazany na 16 lat więzienia.

Koszmar Polki i jej partnera rozegrał się w nocy z 25 na 26 sierpnia 2017 r. w znanym włoskim kurorcie Rimini. Para 26-latków wybrała się na spacer po piaszczystej plaży ok. godz. czwartej nad ranem. Nagle zostali zaatakowani przez nieznanych napastników. Mężczyzna został brutalnie pobity, a później na jego oczach sprawcy dokonali wielokrotnego, zbiorowego gwałtu na kobiecie.

Napad na młodych Polaków wstrząsnął zarówno włoską, jak i polską opinią publiczną. Proces Butungu relacjonowały największe włoskie stacje telewizyjne oraz wszystkie ogólnokrajowe dzienniki. ©℗ ***(jap)***

CORAZ TRUDNIEJ POD K2

Polska próba zdobycia szczytu K2 zimą staje się coraz trudniejsza. Najpierw część ekipy zdecydowała się nieść pomoc uwięzionym po zdobyciu Nanga Parbat Tomaszowi Mackiewiczowi i Élisabeth Revol.

W ubiegłym tygodniu już na K2 zdarzyły się dwa wypadki z kamieniami. Najpierw przy podchodzeniu do obozu C1 na wysokości 5800 m samoistnie spadający kamień uderzył w głowę Bieleckiego. Mimo kasku doznał złamania nosa. Koledzy sami zakładali mu szwy na rozciętej skórze.

Dwa dni później spadający głaz uderzył w Rafała Fronię łamiąc mu rękę. Podczas zamykania tego numeru „Do Rzeczy" Fronia po otrzymaniu pomocy medycznej oczekiwał na helikopter, który miał go ewakuować do Skardu. Stamtąd wróci do kraju. ©℗ ***(luz)***

RYSZARD CZARNECKI ODWOŁANY

Europoseł PiS Ryszard Czarnecki stracił stanowisko wiceprzewodniczącego Parlamentu Europejskiego. Deputowani pozbawili go tej funkcji w tajnym głosowaniu. Powodem dymisji był wywiad Czarneckiego dla portalu Niezależna, w którym porównał europosłankę PO Różę Marię Barbarę Gräfin von Thun und Hohenstein do szmalcowników. Słowa Czarneckiego to reakcja na wypowiedź Thun dla niemieckiej telewizji, w której europosłanka sugerowała, że w Polsce zaczyna panować dyktatura. To precedens w historii PE. Dominika Ćosić, korespondentka TVP w Brukseli, zauważyła: „Jestem korespondentką w Brukseli od 2005 r. – do tej pory PE zajmował się jedynie słowami, które padały na forum PE". ©℗ ***(raw)***

KONDOLENCJE

Z wielkim smutkiem przyjąłem wiadomość o śmierci

ŚP.

Sebastiana Rybarczyka

dziennikarza, publicysty,
członka Federacji Młodzieży Walczącej,
Konfederacji Polski Niepodległej oraz Solidarności Walczącej,
pracownika gabinetu ministra-koordynatora służb specjalnych,
członka założyciela Nowej Inicjatywy Atlantyckiej,
Forum Polska-Ukraina, Stowarzyszenia Polska-Kaukaz,
odznaczonego Krzyżem Kawalerskim Odrodzenia Polski
przez Prezydenta Rzeczypospolitej Polskiej.

W pamięci zachowam obraz Człowieka o wyjątkowej osobowości i sile charakteru, o których mogłem się przekonać w trudnych czasach przed 1989 rokiem.
W imieniu pracowników Najwyższej Izby Kontroli
Rodzinie i Najbliższym
przekazuję wyrazy głębokiego współczucia oraz słowa wsparcia.

Krzysztof Kwiatkowski
Prezes Najwyższej Izby Kontroli

eprasa.pl c435d7738c

PIOTR SEMKA

NA PIERWSZY OGIEŃ

Angela dopięła swego

Teoretycznie powinien dominować nastrój sukcesu i ulgi po prawie pięciu miesiącach jałowych negocjacji, gierek, konfliktów i drobiazgowych targów. CDU, CSU i SPD ogłosiły w Niemczech zawiązanie koalicji rządowej.

Jednak mało kto czuje optymizm. Gazety piszą, że wyszło na jaw, co jest politycznym celem Angeli Merkel. „Tym celem jest ona sama i jej władza" – pisze jeden z publicystów.

Tak, pani kanclerz dopięła swego, ale wrażenie wymuszonej, jałowej czwartej kadencji córki pastora z NRD dominuje. Tylko niechęć wobec wizji nowych wyborów i lęk przed kompromitacją niemieckiej demokracji przed całym światem skłoniły polityków z lewa oraz z prawa do stworzenia rządu.

W obozie chadecji – kwaśne miny. Aby doprowadzić do powstania rządu, Merkel oddała ministerstwo finansów socjaldemokratom, co niepokoi kręgi biznesowe. „Die Welt" pisze bez ogródek: „Żałosne jest to, że CDU nie zapewniła sobie żadnego kluczowego resortu. Kanclerz bardzo drogo kupiła sobie czwartą kadencję – i to nie dla dobra swojej partii". CSU cieszy się z ponownej władzy nad MSW, ale po cichu drży, czy socjaliści nie zmuszą koalicji do zbyt liberalnej polityki wobec imigrantów. Jednak i socjaldemokraci nie tryskają optymizmem. Nieuwzględniony w składzie nowego rządu Sigmar Gabriel nie musi już milczeć i grzmi o złamanym słowie danym wyborcom przez SPD.

A w tle jest jeszcze irytacja Waszyngtonu oszczędzaniem przez Berlin na Bundeswehrze. Umowa koalicyjna ogólnikowo mówi o „odpowiednim procencie PKB na obronę". Jak podejrzewają Amerykanie, oznacza to utrzymanie poziomu 1,2–1,3 proc. PKB na wojsko zamiast obiecanego przez kanclerz Merkel Donaldowi Trumpowi poziomu 2 proc.

Jak zwykle w chwili powstania nowego rządu pojawiają się zachęty do resetu w relacjach Warszawy z Berlinem. Teoretycznie jest to możliwe, gdyż sprawy zagraniczne pozostają w garści Angeli Merkel i to ona – a nie ministerstwo spraw zagranicznych – zadecyduje o linii rządu. Jednak RFN nadal ponoć naciska na procedurę zastosowania sankcji, rurociąg Nord Stream 2 i na dodatek nie pali się do zwiększania nakładów na obronę. Warszawy to nie zachwyci.

2 marca członkowie SPD (ok. 460 tys. ludzi) mają ostatecznie zadecydować w specjalnym referendum o powstaniu (lub nie) wielkiej koalicji. Sondaże wskazują, że 60 proc. socjaldemokratów jest za. Jednak młodzi socjaliści z dynamicznym Kevinem Kühnertem prowadzą kampanię pod hasłem #NoGroKo (NIE dla wielkiej koalicji), a w sondażach już od dawna ankietowani nie mówią do końca prawdy ankieterom. Zarzuty młodych z SPD są celne – czołówka partii kupiła sobie dodatkowe cztery lata u władzy, ale ich partia może nie przetrwać tego eksperymentu. Już teraz SPD ma w sondażach 17 proc. – tylko dwa punkty przed AfD.

Jedno jest pewne. Angela Merkel wymęczyła tę koalicję, aby zapewnić sobie kolejne, czwarte już kanclerzowanie. Pytanie: Jak słoną cenę zapłaci za spełnienie swej osobistej zachcianki? ©℗

FOT. ROB SCHUMACHER/USA TODAY SPORTS/FORUM

OLIMPIJSKI ZNICZ JUŻ PŁONIE

W piątek w Pjongczangu zaczęły się XXIII Zimowe Igrzyska Olimpijskie. Nasza reprezentacja jest rekordowa – liczy aż 62 sportowców. Zdaniem komentatorów ogromne szanse na medal mają m.in. nasi skoczkowie, biatlonistki oraz panczenista Zbigniew Bródka. Obrońca tytułu mistrza olimpijskiego w piątek niósł polską flagę w defiladzie sportowców. ***(jap)*** ©℗

CZYTAJ TAKŻE DODATEK SPECJALNY O SKOKACH NARCIARSKICH NA STRONIE 86

eprasa.pl c435d7738c

FOT. FOTOLIA

Wrocław najlepszy w Europie

Nazywana „polską Wenecją" stolica Dolnego Śląska zwyciężyła w najnowszej edycji prestiżowego międzynarodowego konkursu na najatrakcyjniejsze kierunki turystyczne w Europie European Best Destination 2018.

Na kolejnych miejscach znalazły się Bilbao w Hiszpanii, Colmar we Francji, chorwacka wyspa Hvar, a także Ryga, Mediolan, Ateny, Budapeszt, Lizbona, słoweński Bohinj, Praga, Kotor, Paryż, Wiedeń oraz Amsterdam. ©℗ ***(jap)***

DEBATA O NOWEJ KSIĄŻCE PIOTRA ZYCHOWICZA

W czwartek (15 lutego) o godz. 18.30 odbędzie się warszawska premiera książki Piotra Zychowicza „Skazy na pancerzach. Czarne karty epopei Żołnierzy Wyklętych". W dyskusji historycznej udział wezmą: Leszek Żebrowski – popularyzator wiedzy o antykomunistycznym podziemiu, prof. Oleg Łatyszonek – historyk zajmujący się dziejami polskich Białorusinów, Arkadiusz Karbowiak – jeden z twórców Muzeum Żołnierzy Wyklętych w Warszawie – i Piotr Zychowicz. Zapowiada się pasjonująca debata. Zapraszamy! ©℗

Klub Hybrydy, ul. Złota 7/9, Warszawa

REKLAMA

ZDROWE FERIE
Klinika Uzdrowiskowa „Pod Tężniami" Ciechocinek

KLINIKA UZDROWISKOWA® „Pod Tężniami" im. Jana Pawła II

Czy cierpisz na?
- bóle kręgosłupa, dyskopatie
- migreny kręgopochodne
- bóle mięśni i stawów
- stany po urazach i operacjach ortopedycznych
- ostrogi piętowe
- łokieć tenisisty i golfisty
- nietrzymanie moczu

Przyjedź na pobyt leczniczy z zabiegami.
Tygodniowe lub dłuższe pobyty w terminie 11.02 - 25.02.2018 r. oraz 25.02 - 29.03.2018 r.
posiłki w formie bufetu szwedzkiego
25 zabiegów na 7 dni pobytu
- dwa badania lekarskie oraz badanie postawy lub stóp
- wstęp na basen oraz do zespołu saun do 90 min. dziennie
- seans w Komnacie Solnej do 45 min. co drugi dzień
- wstęp na wszystkie imprezy kulturalno-rozrywkowe

Klinika Uzdrowiskowa „Pod Tężniami" im. Jana Pawła II
ul. Warzelniana 7, 87-720 Ciechocinek
www.podtezniami.pl
rezerwacja@podtezniami.pl
tel. 54 416 70 00

eprasa.pl c435d7738c

RAFAŁ A. ZIEMKIEWICZ

PŁYWANIE W KISIELU

Przeciwko Herodowi

Zawsze w modzie jest mówić o bezduszności biznesu, zwłaszcza tego wielkiego. Koncerny to, obok amerykańskich służb specjalnych, ulubione zło zachodniej popkultury. Koncerny niszczą środowisko, chowają pod sukno wynalazki, korumpują, kolonizują, wyzyskują i wszystko tylko po to, żeby kilku pozbawionych serc kapitalistów mogło sobie kupić gulfstreama i wyspę na Pacyfiku.

Tymczasem to nie nikt inny, tylko właśnie wielki koncern produkujący żywność – amerykański Nestlé – zdobył się na szlachetny gest, który może go kosztować duże pieniądze i na pewno narazi go na ataki lewackich mediów i campusów. W dorocznym konkursie na „dzieciaka Gerbera", którego twarz przez najbliższych 12 miesięcy zdobić będzie sprzedawaną pod tą marką żywność dla dzieci, wygrał półtoraroczny Lucas Warren, który od wszystkich swoich poprzedników różni się tym, że cierpi na zespół Downa.

Na Zachodzie dzieci z downem zostały już niemal oficjalnie uznane za podludzi

Nie jest to łatwa decyzja, nawet z racji biznesowych – nikt nie lubi patrzeć na choroby oraz nieszczęścia i nie wiadomo, jak to wpłynie na wyniki finansowe marki. Jednak przede wszystkim decyzja Gerbera przychodzi w momencie, kiedy w świecie zachodnim dzieci z downem zostały już niemal oficjalnie uznane za podludzi wyłączonych z prawa do życia. Ostatnio Islandia wręcz chwali się, że wada ta, dzięki aborcyjnemu odpowiednikowi nazistowskiej akcji T-4, została u nich wyeliminowana. Dzieci z downem są w stu procentach likwidowane przed urodzeniem, a wraz z nimi, czego już się nie dodaje, jakaś liczba dzieci zdrowych, bo diagnostyka prenatalna ma swoje ograniczenia. Cóż, pechowców też nowoczesne, laickie społeczeństwa nie potrzebują.

We Francji doszło nawet do tego, że sądownie zakazano prezentowania materiałów pokazujących osoby z syndromem Downa jako ludzi szczęśliwych, radosnych – by nie sprawić przykrości matkom, które swoje dzieci abortowały. W podobnym duchu szedł projekt polskiej lewicy (znów wracający do Sejmu, teraz jako projekt Nowoczesnej) wprowadzający kary więzienia za samo mówienie o szkodliwości czy bezzasadności aborcji. Na tym tle wybór Nestlé naprawdę zasługuje na docenienie. ©℗

WOJCIECH WYBRANOWSKI

CZERWONE I CZARNE

Smoleńscy fakemakerzy?

W marcu 2017 r., czyli mniej więcej rok temu, napisaliśmy w obszernym materiale poświęconym katastrofie z 10 kwietnia 2010 r., że prace podkomisji smoleńskiej to wielki humbug, że szacowne to ciało nie zebrało się przez wiele miesięcy, że kolejne wybuchowe „ustalenia" ogłasza przy okazji okolicznościowych rocznic, nie potrafiąc ich rzetelnie uzasadnić. Usłyszeliśmy wówczas oskarżenia, że jesteśmy smoleńskimi negacjonistami, a w ogóle to płaci nam Bruksela i Angela, i nieco cichsze głosy, że „trzeba jeszcze dać Antoniemu szansę". Można jednak odnieść wrażenie, że te „kolejne szanse" Macierewicza tylko obnażyły miałkość prac podkomisji. Ta bowiem ogłosiła właśnie, że na pokładzie rządowego tupolewa doszło do wybuchu, ba, że są na to niezbite naukowe dowody.

Tyle tylko że – jak wynika z wystosowanej na poselską interpelację odpowiedzi Marka Pasionka, szefa zespołu prokuratorskiego badającego katastrofę – ludzie Macierewicza nie dysponowali i nie dysponują wynikami prowadzonych za granicą badań laboratoryjnych w tej sprawie. Wreszcie, że prokuratorzy od dwóch lat nie mogą doprosić się, by członkowie podkomisji smoleńskiej przekazali im choćby szczątkowe dowody potwierdzające wygłaszane tezy.

Jasne, można zamknąć sprawę stwierdzeniem, że od dawna także po prawej stronie dało się słyszeć głosy podważające ustalenia podkomisji smoleńskiej i sens jej dalszej pracy, a z publicznych wypowiedzi Jarosława Kaczyńskiego można było wywnioskować, że i on utracił wiarę w śledcze zdolności ekipy Macierewicza. Warto jednak, by panowie z MON-owskiej komisji i prokuratorskiego zespołu, zamiast wzajemnych podchodów i gierek mocniej przyłożyli się do rzetelnego wyjaśniania przyczyn tragedii z 10 kwietnia. Odpowiedzi na najważniejsze pytania wciąż nie padły. ©℗

eprasa.pl c435d7738c

ŁUKASZ WARZECHA

NOTATNIK MALKONTENTA

Czy wy nie przeginacie?

Przyszedł na wywiad wicepremier i minister kultury Piotr Gliński. Przyszedł, ale chyba zapomniał, dokąd i do kogo. Sądził być może, że znalazł się w publicznej telewizji, gdzie mógłby najwyżej usłyszeć pytanie o to, jak to robi, że polska kultura ma się tak cudownie. Tak się jednak złożyło, że był w Radiu RMF u Roberta Mazurka, który najbezczelniej nie wykazał należytego entuzjazmu i zaczął pytać o Polską Fundację Narodową. W kontekście, rzecz jasna, jej całkowitej nieobecności w momencie potężnego kryzysu wizerunkowego, w którym się znaleźliśmy.

Pan premier dłuższy czas oganiał się od upartego redaktora, drążącego wciąż kwestię PFN. Przypominał przy tym z postawy wiceprezesa fundacji Macieja Świrskiego, który – goszcząc w tej samej audycji kilka miesięcy wcześniej – odpowiadał na równie uciążliwe pytania półgębkiem, od niechcenia, oglądając przy tym swoje paznokcie. W końcu Piotr Gliński orzekł, że pytania Mazurka są bezczelne. Przyznajmy – trzeba mieć tupet, żeby pytać przedstawiciela rządu o niewydolną fundację, zasiloną ćwierć miliardem złotych z pieniędzy spółek Skarbu Państwa, zamiast chwalić kolejne sukcesy władzy.

Trzeba mieć tupet, żeby pytać przedstawiciela rządu o niewydolną fundację, zasiloną ćwierć miliardem złotych z pieniędzy spółek Skarbu Państwa

Działo się to – traf chciał – w dniu, gdy Ewa Bugała rozpoczęła pracę jako szef pionu komunikacji Orlenu. Jako że posada łączy się z bajecznymi apanażami, a kariera pani Bugały wydawała się wielu osobom ściśle związana z komponowaniem wielozwrotkowych hymnów na cześć rządzących – nominacja wywołała niejakie zniesmaczenie i przypomniała mianowanie do zarządu tej samej spółki Igora Ostachowicza w 2014 r. Z tym że Ostachowicz zrezygnował po dwóch dniach intensywnej awantury.

Jeden z najlepszych polskich socjologów, dr Jarosław Flis, jeszcze w styczniu powiedział w rozmowie z portalem Onet: „Ale to, że PiS jest po dwóch latach arogancki w takim stopniu, w jakim PO była po siedmiu latach władzy – to inna sprawa. Z arogancji człowiek się leczy wolniej niż z histerii. Histeria się wypala, a arogancja się utwierdza". Nie będę się sprzeczał z fachowcem. Ciekaw jestem tylko, czy w głowach niektórych polityków partii rządzącej – przynajmniej tych, którzy wciąż zachowują choćby śladowy kontakt z rzeczywistością – powstaje czasem, może wieczorem, przed spaniem, taka myśl: „Czy my aby nie przeginamy?". ©℗

MIĘDZY TWEETAMI

Marcin Makowski

Bitwa o przyszłość

„Bronisław Wildstein jako pożyteczny idiota prawicy. W 1968 r. władza też miała Żydów, którzy mówili, że w Polsce nie ma antysemityzmu. Smutna, ale prawdziwa analogia" – napisał Wojciech Czuchnowski. „Ależ ty Wojtek jednak jesteś podły człowiek" – odpowiedział mu kulturalnie znany ze spokojnego usposobienia Tomasz Wróblewski. To ja również spokojnie i kulturalnie dodam, że o ile Wildstein idiotą nie jest, to są tacy, których nie da się posądzić nawet o pożyteczność.

Na froncie wojny polsko-polskiej jak zwykle czujny Jarosław Kurski. Tym razem wiceszef „Wyborczej" między jednym a drugim tweetem o PiS zdążył zareklamować tekst kolegi. „Znakomity Paweł Wroński. Ulmów wydał granatowy policjant Władek Leś. Wcześniej sam ukrywał Żydów, ale ich okradł. Leś był Polakiem, chociaż usiłowano zrobić z niego Ukraińca" – przyznał tryumfalnie. Niestety obaj nie dali już rady dodać, że kula, która go dosięgła, była również polska. Bo taki wyrok wydawało Polskie Państwo Podziemne na szmalcowników.

Prezydent podpisał nowelizację ustawy o IPN, ale skierował ją do Trybunału Konstytucyjnego. Pięć dni wcześniej Dominika Wielowieyska twierdziła jednak, że „Duda zawetuje ustawę o IPN" w ramach „diabelskiego planu prezesa Kaczyńskiego". Gdy po ogłoszeniu decyzji spotkaliśmy się w studiu TVN, przekonywała, że brak weta to gra według „scenariusza Nowogrodzkiej". Nie dawało mi to spokoju, więc podpytałem panią redaktor później na Twitterze, jakim zrządzeniem losu diaboliczny plan prezesa zmienił się w kilka dni o 180 st. Co usłyszałem? „To była tylko hipoteza". Można i tak.

W międzyczasie niejaki „człowiek bóbr" wystosował całkiem zgrabny apel do klasy politycznej, który za jednym zamachem może rozwiązać wszystkie obecne kryzysy dyplomatyczne. Co zrobić? „Niech już wróci do władzy PO – przeprosi za Holokaust, wprowadzi euro, kupi caracale i odda Niemcom LOT. Będzie spokój i znowu będziemy liczącym się graczem". Proste?

A na marginesie, i tak najmądrzej cały ten galimatias w dwóch zdaniach podsumował prof. Andrzej Zybertowicz: „To nie jest bitwa o pamięć. To bitwa o przyszłość". ©℗

eprasa.pl c435d7738c

ARESZT ZA WYGLĄD

Siostry Godlewskie to odkrycie polskiego show-biznesu z ostatnich miesięcy. Napompowane do granic możliwości siostry oprócz wydętych ust i biustów zasłynęły filmikami, na których śpiewały kolędy. Chociaż trudno ich fałsz nazwać śpiewaniem. Niemniej przebiły się skutecznie i teraz wszędzie ich pełno, we wszystkich programach śniadaniowych i nie tylko, gdzie opowiadają o sobie. Niezwykle ciekawe to opowieści. Jedna z sióstr opowiedziała np. o tym, jak na lotnisku w USA została zatrzymana za wygląd. Sztuczne rzęsy, usta i mocny makijaż nie spodobały się Amerykanom. – Już brałam swoją walizkę, byłam gotowa się zobaczyć ze swoim narzeczonym i ci Amerykanie mnie zatrzymali. Bez żadnej przyczyny. Po prostu nie podobał im się mój wygląd, bo nie wiem, w jakim celu mnie tak potraktowali, ale mnie zatrzymali. Powiedzieli, że mam oddać im wszystkie telefony, które posiadam. Oddałam im je – relacjonowała Małgorzata. – Później zamknęli mnie jak jakąś więźniarkę, podejrzaną, bardzo źle potraktowali. Zabrali telefony, kazali się przebrać w jakieś więzienne ubrania, całą biżuterię mi pozabierali, wszystko, co miałam na sobie – żaliła się. Po 20 godzinach koczowania na lotnisku Godlewską odesłano do kraju. Niestety.

KIM JEST RUSIN?

Kinga Rusin zaangażowała się w walkę z byłym ministrem środowiska Janem Szyszką w związku z prawem łowieckim i wycinką Puszczy Białowieskiej. Pojawiła się nawet w Sejmie na obradach komisji, która zajmowała się nowelizacją prawa łowieckiego. Po odwołaniu Jana Szyszki ze stanowiska Kinga nie kryła satysfakcji. Niedawno jeden z reporterów Wirtualnej Polski zapytał byłego ministra, co sądzi o zastrzeżeniach celebrytki. – A kto to jest Kinga Rusin? Proszę się zapytać tej pani, bo ja nie wiem, o kogo chodzi – stwierdził. Bardziej upokorzyć Kingi chyba nie mógł.

FOT. PAWEŁ GROMADA

PLANOWANIE RODZINY

Dżoana Krupa, która całkiem niedawno się rozwiodła, ma już nową miłość. Nowa miłość ma na imię Douglas, a o swoim szczęściu Dżoana postanowiła opowiedzieć w obszernym wywiadzie dla „Gali". Okazuje się, że ma dalekosiężne plany. W „Gali" zaplanowała już, że wezmą ślub, to, ile będą mieli dzieci i jakiej będą płci. – Chciałabym mieć dwoje dzieci, najlepiej chłopca i dziewczynkę. Z kolei Douglas marzy o trojgu. Ale to ja podejmę decyzję o pierwszej ciąży. Wszystko zależy od tego, czy Douglasowi uda się dopasować grafik swoich obowiązków, by był w stanie mi pomóc – stwierdziła. Dobrze, że Douglas nie zna polskiego. Bo po tym wywiadzie tylko to ratuje marzenia Dżoany.

FOT. VIPHOTO/EAST NEWS

COŚ ATRAKCYJNEGO

Państwo Majdanowie, promując swój nowy program, który ma być hitem ramówki TVN, wyskakują już z każdej chyba lodówki. Jeszcze chwila, a ostatecznie zohydzą swoją produkcję jeszcze przed emisją pierwszego odcinka. Żeby nie było, że nikt nie ostrzegał. Lady Rozenek jest jednak innego zdania. – Nie jesteśmy na tyle zadufani w sobie, żeby myśleć, że widzów interesujemy my jako my. Tam są też widoki – stwierdziła skromnie. Widoki inne niż widok lady Małgorzaty i jej małżonka? To jest szansa, że program choć w małej części będzie atrakcyjny! ©℗

eprasa.pl c435d7738c

MŁODZI WYKSZTAŁCENI I Z WIELKICH OŚRODKÓW

Kochani, w zeszłym tygodniu ten kraj hucznie obchodził grawitacyjnie uposażony czwartek, w czasie którego podkarpacie obżera się pączkami i chrustem. Of kors podkarpacie niewrażliwe na antydyskryminacyjne wymogi nowoczesnego świata nazywa owe świecko „tłustym czwartkiem". My tego dnia of kors przeprowadzamy odpowiednią dekonstrukcję i jemy bezglutenowe wegańskie pączki z jarmużem, topinamburem i batatem, usmażone na tłuszczu roślinnym przez zaprzyjaźnioną komunę lesbijek.

Jednak w tym roku naszą szczególną uwagę przyciągnął tzw. chrust, którym podkarpacie obżera się równie chętnie co pączkami. Kolegagej, który kiedyś przez pół semestru studiował etnografię (chociaż co prawda nie chodził na wykłady, to był jednak na liście studentów), wyjaśnił nam, iż jest to prastara tradycja. Otósh przed laty, kiedy nadchodził przednówek, podkarpacie wysyłało do lasu najstarszą waginoosobę w rodzie, iżby nazbierała chrustu na opał. Z czasem jednak okazało się, iż chrust poza opałem nadaje się także do obgryzania przy kubku samogonu, no i tak już zostało, a podkarpacie, czułe na tradycje, nie rezygnuje z tego po dziś dzień.

W XXI w. w środku Europy :/

Iż Elon Musk wysłał w kosmos samochód, musimy zaprotestować. Nie może być bowiem tak, iż po zawłaszczaniu przestrzeni miejskiej teraz samochody będą zawłaszczać przestrzeń kosmiczną. Co bowiem, jeśli powstanie wegańsko-miejski program kosmiczny, w ramach którego aktywiści zechcą wystrzelić w kosmos holenderkę, a ona nie będzie mogła swobodnie krążyć po orbicie, iż tam już jest Tesla, co sprawia, iż nie ma miejsca dla rowerów? Stanowczo protestujemy więc przeciw ekspansji samochodów na przestrzeń kosmiczną. W innych galaktykach dawno sobie z tym poradzili.

Trwają zimowe igrzyska olimpijskie. Wy już nawet wiecie, czy któryś z polskich skoczków nienawiści zdobył w sobotę medal. My natomiast chcielibyśmy się skupić na innym wątku. Otósh nie podoba nam się ta dyskryminacja Afryki czy Ameryki Południowej, które są wyraźnie niedoreprezentowane na tych igrzyskach. W związku z tym: zachowując ideę równości, czy nie można byłoby założyć, iż skoro kraje leżące na tych kontynentach mają deficyt śniegu i w związku z tym trudne położenie, to przyznamy im z automatu jakieś 60 proc. miejsc w każdej konkurencji?

W sumie to i medale można by było rozdać w podobny sposób – walka z dyskryminacją klimatyczno-geograficzną jest tego zdecydowanie warta. ©℗

REKLAMA

eprasa.pl c435d7738c

dwaj panowie g

Żegnamy Ryszarda. To znaczy wiceprzewodniczącego Richarda Henry'ego. A właściwie jego gabinet w Brukseli. Był piękny: przestronny, z widokiem i milionem szalików rozmaitych klubów. Teraz jako zwykły europoseł będzie musiał zmieścić się w gabinecie małym, gdzie jest miejsce najwyżej na trzy szaliki. Sic transit gloria Rycha.

Jest jeszcze gorzej. Odwołany Rychu utraci pewnie także większy gabinet w Strasburgu, w którym znajdowała się gustowna leżanka, na której można było się kimnąć w razie nudów w europarlamencie. Teraz Rychu będzie musiał spać na krześle. Ksiądz pana wini, pan księdza, a nam, antyszmalcownikom, zewsząd nędza…

Jednak niech żywi nie tracą nadziei. Brukselskie wiewiórki mówią bowiem, że ostateczne decyzje o tym, jaki komu gabinet się należy, podejmowane są wewnątrz poszczególnych frakcji, więc ostatecznie los Rycha i jego metrażu zależy od decyzji kierownictwa frakcji Europejskich Konserwatystów i Reformatorów. Trzymamy więc kciuki za szaliki i piękny widok na plac Luksemburski.

Zarazem witamy Ryszarda. Za sprawą wartej wiele milionów akcji promocyjnej, jaką zorganizowała mu Róża Thun, ma już gwarancję rozpoznawalności do końca świata i jeden dzień dłużej. A rozpoznawalność, jak wiadomo, to wybieralność. Taka sytuacja.

Rzadko mamy okazję potarmosić w naszej rubryce zagranicznych prawicowców, ale czasem trzeba. Włoscy eurodeputowani z Ligi Północnej oburzeni akcją antyrychową obiecali głosować za nim. Po głosowaniu dumnie oświadczyli, że zrobili nawet więcej – wyciągnęli karty i zbojkotowali głosowanie, żeby dobitnie pokazać, jak nienawidzą brukselskich biurokratów antyrychowych. Niestety, wyciąganie kart było działaniem ułatwiającym wrogom Rycha osiągnięcie większości w pomniejszonym kworum. Opowiadamy tę historię, bo ile można kpić z włoskiego wojska. Pokpijmy i z włoskich eurodeputowanych.

Mamy też donos na temat Róży Woźniakowskiej-Thun vel Róży Marii

Barbary Gräfin von Thun und Hohenstein. Otóż dawno, dawno temu, kiedy w Unii Wolności trwała tytaniczna walka o kontrolę nad partią między geremkowcami i liberałami z KLD, Róża była bardzo wrogo nastawiona wobec Donalda Tuska i głośno o tym mówiła. Przypominamy o tym cesarzowi Europy Donaldowi, bo wiemy, że lubi się mścić po latach. Wiemy też, że nieładnie donosić, ale donosząca na innych musi być przygotowana, że i na nią będą donosić.

Żeby nie było jednostronnie – były takie inicjatywy Róży Thun, które wspieramy. Na przykład w roku 2012 brała ona udział w Polskim Dniu Sprzedaży Bezpośredniej, promującym – zgodnie z nazwą – sprzedaż bezpośrednią. W konferencji na ten temat oprócz Róży brała udział także Hanka Gronkiewicz-Waltz. I my to rozumiemy. Uważamy, że sprzedaż bezpośrednia jest najlepsza. Zarówno w przypadku kamienic, jak i Polski.

Propagujemy także myśli Róży Thun, gdyż są tego warte. Dlatego często wracamy do jej poruszającej autobiografii „Róża". Z tej inspirującej opowieści niezwykłej kobiety można dowiedzieć się m.in., dlaczego tak trudne jest życie europosła. „W moim dzisiejszym zawodzie podejmuję decyzje, które dotyczą codziennego funkcjonowania wielu milionów ludzi w całej Europie" – tłumaczy Róża. No i codziennego funkcjonowania Rycha, dodajmy.

Uwaga, uwaga, przepowiadamy przyszłość! A komu? A Srebrnemu Lisowi Dyplomacji. Z klasą godną prawdziwego dyplomaty Waszczu łazi po mediach i opowiada, jak to wszystko za jego czasów w MSZ chodziło jak w zegarku, a teraz jacyś dyletanci zepsuli dobre stosunki polsko-żydowskie, polsko-amerykańskie i w ogóle wszystkie. Pamiętamy pewnego znanego polityka PiS, który po tym, jak publicznie walił w szefową MSZ z własnej partii – Annę Fotygę – musiał zmienić ugrupowanie. To Herr Paweł Zalewski. Nie mieliśmy pojęcia, że Srebrny Lis tak szybko zdecyduje się na marsz drogą Zalewskiego.

Apropos relacji polsko-żydowskich. Mało kto wie, że padł już pierwszy trup w tej wojnie. Ciało zostało wyniesione po cichu i nikt o jego tożsamości nie będzie głośno wspominał. Wiewiórki z Nowogrodzkiej mówią, że denat nazywa się Duża Ustawa Reprywatyzacyjna.

Apropos chodzenia po mediach. Trwa tourneé Staszka Gawłowskiego. Sekretarz generalny PeŁo z zarzutami przyjęcia licznych wziątek chce bowiem uchodzić za pierwszego więźnia politycznego. Działalność ta budzi radość w CBA i w prokuraturze. Im bowiem więcej Staszka i jego mecenasa Romana w mediach, tym więcej śledczy dowiadują się o planowanej linii obrony. Z grubsza rzecz biorąc, wygląda to tak, jak gdyby alianci dostarczali Niemcom po kawałku planów operacji „Overlord", za każdym razem dopytując, czy czegoś jeszcze nie potrzebują.

FOT. ROBERT GARDZIŃSKI

eprasa.pl c435d7738c

To, co najpiękniejsze. Otóż Staszek przez CBA był rozpracowywany już za minionego reżimu, czyli przez swoich. Inna sprawa, że swoi przy okazji zadbali, by informacje spływały, ale by Staszkowi włos z głowy nie spadł. Musimy jednak przyznać, że za Pawła Wojtunika w CBA też pracowali ludzie, którym nie brakowało daru spostrzegawczości oraz poczucia humoru. Sprawie operacyjnej dotyczącej Staszka nadali kryptonim Dyzma. Szacun. Nic dodać, nic ująć.

Staszek Gawłowski przez CBA był rozpracowywany już za poprzedniego reżimu, czyli przez swoich. Inna sprawa, że swoi przy okazji zadbali, by informacje spływały, ale by Staszkowi włos z głowy nie spadł

Zupełnie innej beczki. Wiecie, co to jest MPT? Nie. Nie chodzi ani o Miejskie Przedsiębiorstwo Taksówkowe, ani Transportu. To popularna nazwa nowego resortu, na czele którego stanęła Jadwiga Emilewicz. Czyli Ministerstwo Przedsiębiorczości i Technologii. Jadwiga jednak jest jak królowa – panuje, ale nie rządzi. Na razie rządzi człowiek sławnego syna słynnego ojca, czyli Piotr Woźny. Żeby było zabawniej, rządzi też w emefie, jak popularnie nazywa się Ministerstwo Finansów. Podobno już niedługo, bo nowa pani minister Teresa Czerwińska okazuje się coraz bardziej samodzielna.

Tymczasem w Sejmie. Pamiętacie zapowiedzi, że w nowym roku będzie pracował na nowych zasadach? Miała być trójpolówka: jeden tydzień na obrady, jeden na prace w komisjach i jeden na robotę w okręgu. Jest jednak kłopot. Pomysłodawcy, znaczy PiS, obawiają się, że mało komu będzie się chciało przyjeżdżać na tydzień z komisjami i wstrętna opozycja uzyska wtedy w nich przewagę, krzywdząc dobrą zmianę. Nowe zasady mogą więc wkrótce okazać się stare. To znaczy niebyłe.

Marzec. Co się państwu kojarzy z tym miesiącem? Tak, wiem, komunistyczni ułani z ryngrafami na piersiach prześladujący Adama Michnika i płazujący antysemickimi szablami jego kolegów komandosów. Jednak my nie o rocznicy wydarzeń 1968 r., tylko o tym, że w marcu Peło ogłosi, kto w jakim dużym mieście startuje w wyborach samorządowych na prezydenta i dlaczego nie jest to człowiek serdecznego koalicjanta, czyli Nowoczesnej Kropki Katarzyny Petru.

Na koniec ostrzegamy. Źli ludzie chodzą po mieście i opowiadają, że nowy szef MON Mariusz Błaszczak wzgardził ochroną Żandarmerii Wojskowej i pozostał przy Biurze Ochrony Rządu. Źli ludzie są cymbałami, bo po pierwsze BOR już nie ma – jest Służba Ochrony Państwa. Po drugie, sprawdziliśmy – no i jednak Mariusza chroni Żandarmeria. Ostrzegamy więc, by nie wierzyć złym ludziom. A donosić – dobrym. Czyli nam. ©℗

REKLAMA

Podpisz petycję do biskupów polskich!

JE Arcybiskup Stanisław Gądecki
Przewodniczący Konferencji Episkopatu Polski

Czcigodny Księże Arcybiskupie!
Jako wierny świecki zatroskany o los katolickich małżeństw i rodzin w naszej Ojczyźnie, zwracam się do Księdza Arcybiskupa z gorącą prośbą o potwierdzenie przez Konferencję Episkopatu Polski nauki Kościoła w sprawie nierozerwalności małżeństwa, jak i niedopuszczania do sakramentu ołtarza osób żyjących w tak zwanych związkach niesakramentalnych.

Po ogłoszeniu przez Papieża Franciszka adhortacji apostolskiej *Amoris Laetitia* pojawiły się niepokojące interpretacje – w szczególności ze strony episkopatu niemieckiego – nagłaśniane przez media i chętnie podchwytywane przez niektóre grupy katolików, jakoby nauczanie Kościoła w wyżej wymienionych kwestiach uległo zmianie.

Niestety, rozpowszechnianie tego typu opinii przyczynia się do coraz większego zamętu w duszach wielu wiernych, którzy pomimo presji rewolucji obyczajowej i relatywizacji zasad moralnych starają się nadal wytrwać w wierności nauce Chrystusa o małżeństwie.

W tej wyjątkowo trudnej sytuacji, w jakiej znalazły się chrześcijańskie małżeństwa i rodziny, brak oficjalnego dokumentu wyraźnie potwierdzającego dotychczasowe stanowisko Kościoła we wspomnianych kwestiach, wyrażone między innymi przez Ojca Świętego Jana Pawła II w adhortacji *Familiaris Consortio*, przyczynia się do rosnącej liczby zwątpień i odstępstw od wielowiekowej nauki i praktyki w odniesieniu do sakramentu małżeństwa i Eucharystii.

Mając w pamięci zdecydowane stanowisko polskich biskupów, którzy podczas synodów poświęconych rodzinie odważnie stanęli w obronie nauczania Kościoła i duchowego dziedzictwa Papieża Polaka, z miłością i ufnością oczekuję potwierdzenia tegoż nauczania przez Konferencję Episkopatu Polski.

Złóż podpis!
www.PoloniaSemperFidelis.pl

eprasa.pl c435d7738c

Z Jarosławem Kaczyńskim, prezesem Prawa i Sprawiedliwości
rozmawia Kamila Baranowska

Polska nie będzie płaciła podatku od niemieckich zbrodni

eprasa.pl c435d7738c

FOT. BARTEK SYTA/POLSKAPRESSE/EAST NEWS

eprasa.pl c435d7738c

KAMILA BARANOWSKA: Prezydent podpisał nowelizację ustawy o IPN i jednocześnie skierował ją do Trybunału Konstytucyjnego. Przepisy zatem wchodzą w życie. Czy to oznacza dalszą eskalację konfliktu z Izraelem?

JAROSŁAW KACZYŃSKI: Nie sądzę, żeby w tej chwili konflikt miał się zaostrzać, chociaż oczywiście nie mogę tego zagwarantować na sto procent. Przypuszczam jednak, że cały spór będzie teraz miał tendencję do wyciszania.

Zaskoczyła pana reakcja Izraela i wszystko, co potem nastąpiło w związku z nowelizacją ustawy o IPN?

Tak, byłem tym zaskoczony. Muszę przyznać, że ja się bezpośrednio tą sprawą nie zajmowałem, ale nasza strona – mając na to liczne dokumenty – twierdzi, że nie było żadnych powodów do tak gwałtownej reakcji. Były rozmowy w MSZ z ambasadą, które toczyły się przynajmniej od połowy listopada, i nikt słowa na ten temat nie powiedział. Były inne rozmowy w Ministerstwie Sprawiedliwości i też nic nie wskazywało na to, że jest problem. Wreszcie była serdeczna wizyta przedstawicieli naszego rządu z panią premier Szydło na czele w Izraelu, z półprywatnym spotkaniem z Netanjahu w jego mieszkaniu, z jego żoną itd., podczas którego również ten temat się w ogóle nie pojawił. Przecież gdyby to był tak palący problem, to byłby wówczas sygnalizowany.

Były szef MSZ Witold Waszczykowski wskazuje dziś, że od kilku lat strona izraelska nie akceptowała tej ustawy i że MSZ przed tym ostrzegało.

Powtórzę, cała dyskusja wokół tej ustawy i wszystkie związane z nią kontrowersje, które do nas docierały, dotyczyły wyłącznie sprawy ukraińskiej (nowelizacja ustawy przewiduje także odpowiedzialność za zaprzeczanie zbrodniom popełnionym na Polakach przez ukraińskich nacjonalistów, chodzi m.in. o zbrodnie na Wołyniu i w Małopolsce wschodniej – przyp. red.). Parlament ukraiński wydał oświadczenie w tej sprawie itd. To dlatego przecież Platforma wstrzymała się od głosu, nie z powodu przepisu mówiącego o oskarżaniu narodu polskiego za zbrodnie Holokaustu, lecz właśnie przez wątek ukraiński. Oni uważali, że należy wymienić same nazwy ukraińskich organizacji, a nie Ukraińców jako naród.

Dlaczego zatem Izrael zareagował tak, jak zareagował?

Nie chcę snuć spekulacji, one mogą być szerokie i sięgać polityki międzynarodowej, ale nie będzie to w tej chwili służyło sprawie uspokojenia. Nie chcę interpretować, wolę patrzeć, jaki będzie efekt różnych zabiegów, aby ten spór został zażegnany.

A jaki, pana zdaniem, będzie efekt?

W tej chwili jeszcze nie potrafię tego powiedzieć, jest na to za wcześnie.

Czy to, że w ten spór włączyły się także Stany Zjednoczone, może mieć wpływ na naszą przyszłą współpracę, np. w zakresie bezpieczeństwa?

Zaangażowanie USA nie jest oczywiście wydarzeniem, które nas cieszy, sądzę jednak, że sprawa naszych wspólnych interesów strategicznych jest tutaj znacznie ważniejsza i to wydarzenie nie będzie miało na nią wpływu.

Strona izraelska podnosi dziś, że przepisy ustawy powinny być bardziej precyzyjne i że to można było wcześniej uzgodnić. Może gdyby nasza dyplomacja lepiej działała, całego zamieszania dałoby się uniknąć?

Cały ten spór między Polską a Izraelem nie dotyczy wyłącznie sformułowania o „polskich obozach" i to wyszło także w ostatnich rozmowach, tych nieco mniej znanych opinii publicznej. Przecież jeśli chodzi o mordy dokonywane przez Polaków na Żydach, nie przeczymy, że one miały miejsce, ale w przeciwieństwie do strony izraelskiej twierdzimy, że nie miały charakteru systemowego. Polskie Państwo Podziemne starało się pomagać w ramach możliwości, rząd na Zachodzie alarmował, żadna organizacja podziemna nie wydawała rozkazów, nie dawała przyzwolenia, więc oskarżenie strony izraelskiej jest całkowicie bezpodstawne i my je kategorycznie odrzucamy. Polska międzywojenna gwarantowała, przy wszystkich swoich ułomnościach, żyjącym tu narodom bezpieczeństwo. To upadek tamtej Polski otworzył drogę do ludobójstwa zarówno na Żydach, którzy byli najbardziej intensywnie i bezpośrednio niszczeni, jak i na Polakach, Białorusinach czy Ukraińcach. Nie możemy ograniczyć się tylko do zapisów o „polskich obozach", bo to otworzyłoby drogę do kolejnych bezpodstawnych oskarżeń. Już przecież padają liczby setek tysięcy rzekomych zbrodni Polaków. Musimy się przed tym bronić. I będziemy.

Pytanie, na ile walka o prawdę historyczną za pomocą ustawy będzie skuteczna. Robiąc dziś bilans zysków i strat: warto było dla tej ustawy narażać na szwank nasze relacje z Izraelem i USA?

Oczywiście, że było warto. Przy czym nie uważam, by nasze relacje uległy znacznemu pogorszeniu, myślę, że w toku rozmów i prowadzonych zabiegów dyplomatycznych rządu dojdziemy do porozumienia z Izraelem, a co za tym idzie także z USA.

Do tej pory nie mieliśmy żadnej polityki historycznej w zakresie ochrony dobrego imienia Polski i prawdy historycznej. Trzeba było od czegoś zacząć. Ten projekt nie służy temu, by blokować badania naukowe albo mówić, że Polacy w ogóle nie mordowali Żydów, czy też wsadzać do więzień Żydów, którzy mówią, że ich bliscy zginęli z rąk polskich chłopów.

Nigdy nie przeczyliśmy, bo byłoby to zaprzeczanie rzeczywistości, że pewne zdemoralizowane elementy, najczęściej ludność najniżej sytuowana i gorzej wykształcona, nie zachowywały się w czasie wojny w porządku. Tylko proszę pamiętać, że trzeba na to patrzeć w kontekście ogromnej fali bandytyzmu w czasie II wojny światowej. Żydzi padali ofiarą bandytów częściej niż inni, bo byli najbardziej bezbronni, często coś tam mieli, a do tego Niemcy tworzyli atmosferę, która wszelkim zdemoralizowanym elementom dodawała odwagi do czynów takich jak szmalcownictwo czy donosicielstwo. Sęk w tym, czego niektórzy nie chcą dostrzec, że to był margines. Najlepiej ten rozdźwięk interpretacyjny widać na przykładzie Jedwabnego. Z jednej strony mamy wizję Grossa, w której cała ludność polska się zebrała i wymordowała całą ludność żydowską, a z drugiej ustalenia śledztwa, z których wynika, że w mordzie uczestniczyło około 40 osób i tylko część z nich była z Jedwabnego, a duża część była karana. To była straszna zbrodnia i nikt temu nie przeczy, ale nie ma to nic wspólnego z twierdzeniem, że oto cała ludność, wszyscy mieszkańcy rzucili się, by mordować Żydów. To jest właśnie ta różnica między działaniem marginesu a działaniem narodu. Polaków, którzy udzielali pomocy Żydom, jest o wiele więcej niż tych z tytułem Sprawiedliwych, przyznawanym przez Yad Vashem. A pamiętajmy, że ryzyko było ogromne, bo nie było to wyłącznie ryzyko osobiste, lecz ryzyko dotyczące całej rodziny, także dzieci. Mimo wszystko ludzi, którzy je podejmowali, było bardzo dużo. Nam chodzi jedynie o to, by cały ten kontekst uwzględniać.

eprasa.pl c435d7738c

Dlaczego nowelizacja została przegłosowana w przededniu Międzynarodowego Dnia Pamięci o Ofiarach Holokaustu, co środowiska żydowskie odebrały jako dodatkowy afront? Przecież projekt leżał w Sejmie od półtora roku!

Zdecydowaliśmy się na to, uznając, że w końcu trzeba sprawę zamknąć. Przy czym podkreślam, że przez cały czas chodziło o Ukrainę, bo to była jedyna sporna kwestia. Uznaliśmy, że nie da się zaprzeczyć, że zbrodnicze organizacje odpowiedzialne za mordy na Polakach były ukraińskie, i trzeba po prostu być tu w zgodzie z prawdą. Zatem był spór o Ukrainę, a tu nagle jak grom z jasnego nieba spadła na nas reakcja ze strony Izraela. A do tego forma reakcji była dość szczególna, w Oświęcimiu podczas uroczystości rocznicowych, wśród braw. Warto tu przypomnieć, że podobny przepis, przewidujący karę za przypisywanie Polakom udziału w zbrodniach nazistowskich, obowiązywał już w polskim Kodeksie karnym w latach 2007–2008. Został uchylony przez Trybunał Konstytucyjny z powodów formalnych, chodziło o błąd przy legislacji. Zastanawiające, że wtedy dla nikogo nie stanowiło to problemu, nie było takich reakcji jak dzisiaj.

Wychodzi na to, że nasze relacje z Izraelem wcale nie były tak dobre, jak się mogło wydawać, skoro właśnie wszystko runęło jak domek z kart.

Zobaczymy, czy runęło, to jeszcze wcale nie jest przesądzone. Nasze relacje nigdy nie były łatwe. Mój śp. brat powtarzał, że musimy o te relacje dbać, i nasze środowisko zawsze było zwolennikiem tezy, że trzeba robić wielkie wysiłki w tym kierunku. I chociaż zdajemy sobie sprawę z nastawienia, nie zawsze entuzjastycznego, różnych środowisk żydowskich, i mamy świadomość, że to jest długa tradycja, przynajmniej z okresu międzywojennego, to wiemy także, że jeśli chcemy wypłynąć na szerokie wody w polityce międzynarodowej i zacząć być podmiotem, a nie przedmiotem, to musimy mieć dobre relacje z Izraelem. Zwłaszcza że są ku temu dobre historyczne podstawy, bo w dziejach polsko-żydowskich były rzeczy złe, ale były i bardzo dobre, więc jest na czym budować.

Dlaczego nie potrafimy zbudować opowieści o naszej historii, którą moglibyśmy sprzedać światu, tak jak robi to Izrael?

Przez lata nie mieliśmy żadnej polityki historycznej, nie robiliśmy tego, co należało, czyli nie odwoływaliśmy się do złego sumienia zachodnich sojuszników. Pamiętam, jak w 1991 r. wicekanclerz i minister spraw zagranicznych Austrii, jeden z nielicznych wtedy na Zachodzie życzliwych nam polityków, radził mi, byśmy wykorzystywali to, że zachodnie kraje mają wobec nas nieczyste sumienie. Mówił, że to potężna broń w polityce. Tymczasem u nas zaczęto wzbudzać wyrzuty sumienia, ale u Polaków. To było coś fatalnego. Teraz jesteśmy na początku kontrofensywy.

Kontrofensywa nie zaczyna się najlepiej, w świat właśnie idzie zmasowany przekaz, że Polska chce karać za mówienie prawdy o Holokauście. Siła narracyjna środowisk żydowskich jest nieporównywalnie większa od naszej.

Proszę pamiętać, że nawet w trakcie ostatnich wydarzeń pojawiły się korzystne z naszego punktu widzenia oświadczenia szefa niemieckiego MSZ Sigmara Gabriela, który wprost stwierdził, że pełną winę za Holokaust ponoszą Niemcy, nie naziści, tylko Niemcy. Było także ważne oświadczenie Mosze Arensa, byłego ministra spraw zagranicznych i wielokrotnego ministra obronym Izraela, osoby bardzo ważnej w izraelskiej polityce. Arens wprost mówi, że polskie podziemie broniło Żydów w czasie wojny, a polski rząd na uchodźstwie był jedyny, który im pomagał. Do tego wszystkie poważne media na świecie, nawet atakując nas za ustawę, jednocześnie przyznawały, że nie było żadnych „polskich obozów śmierci". To niemało, tego wcześniej nie można było nigdy uzyskać.

Czyli zgadza się pan z szefem MSZ Jackiem Czaputowiczem, który stwierdził, że Polska „bardzo zyskuje na tym sporze, też w tym sensie, że uświadamia opinii publicznej, jaka była prawda"?

Sądzę, że ostatecznie może wyjść z tego coś dobrego, bo już – przynajmniej wśród tych odbiorców, którzy czytają poważną prasę – przekaz, że to nie były polskie obozy, tylko niemieckie, był dosyć intensywnie upowszechniany. Czytelnicy poważnych gazet to mniejszość, ale najbardziej wpływowa i opiniotwórcza.

W Internecie hasło „polskie obozy śmierci" niestety w pewnym momencie biło rekordy popularności, pojawiło się miliony razy.

30 mln razy dokładnie. Tyle tylko że w Internecie taką popularność można dość łatwo wykreować, za jednym razem można kupić 100 tys. takich wyświetleń i potem mówić o nie wiadomo jakim zasięgu.

Co nie zmienia faktu, że oddziaływanie tego jest potężne.

Proces odwracania tego, co się działo w Polsce przez pół wieku albo więcej, licząc mniej więcej od 1968 r., będzie trwał. Jeszcze w kulturze masowej przełomu lat 50. i 60. Polska funkcjonowała jako ten kraj, gdzie Niemcy mieli najgorzej. W filmie „Babette idzie na wojnę" jest scena, w której gestapowiec w Paryżu grozi innemu, że wyśle go do Polski. Później ten prawdziwy obraz zaczął być wypierany. Teraz powoli będziemy próbować to zmieniać. Nic nie dzieje się od razu. Powtórzę, że cała poważna prasa odnotowała przy okazji tego sporu, że nie było „polskich obozów". Coś się zatem ruszyło.

Przez lata nie robiliśmy tego, co należało, czyli nie odwoływaliśmy się do złego sumienia zachodnich sojuszników

Czy zjawisko, które obserwujemy, można nazwać antypolonizmem?

Tak, oczywiście. Antypolonizm jest dziś zjawiskiem bardzo groźnym, jeśli nie najgroźniejszym z punktu widzenia interesów naszego kraju. Oskarżanie nas o niestworzone rzeczy, zapominanie, że byliśmy pierwszym krajem, który zbrojnie przeciwstawił się hitleryzmowi i Niemcom, i że na Polakach dopuszczano się potwornych zbrodni, które też miały charakter ludobójstwa, to stawianie sprawy na głowie. Pamiętam, jak kiedyś ambasador Lewandowski na jednym z wykładów powiedział, że Amerykanie, którzy dziś są dorośli, wiedzą, że Żydów wymordowali Niemcy, ale ci, którzy właśnie przychodzą na świat, będą przekonani, że to byli Polacy. Było to jakieś 30 lat temu. I rzeczywiście, gdy niedawno w badaniach na Uniwersytecie Kalifornijskim pytano, kim byli naziści, duży procent studentów odpowiadał, że Polakami.

To efekt niewiedzy czy złej woli połączonej z interesem politycznym?

Wszystkiego po trosze. Na pewno występuje w świecie polonofobia pewnych środowisk, tak było już od okresu

eprasa.pl c435d7738c

międzywojennego, z drugiej strony też ogromna niewiedza, bo przecież w okresie PRL żadnej polityki w tym zakresie nie prowadzono, na pewno przyczynił się do tego Marzec '68, no i są pewne interesy polityczne, jak choćby niemiecka polityka historyczna, która szła w kierunku rozwadniania niemieckiej odpowiedzialności. W tym sensie zresztą ostatnie oświadczenie pana Gabriela jest pewnym przełomem. On tam wprost przyznaje, że pełną odpowiedzialność za Holokaust ponoszą Niemcy. Niemcy, nie naziści.

Przy czym proszę pamiętać, że antypolonizm, który obserwujemy za granicą, ma głębokie korzenie także u nas w kraju i w dużej mierze wychodzi z Polski. Wciąż mamy silne środowiska, które są chore na antypolską manię, i to jest na pewno coś wzmacniającego negatywny przekaz zagraniczny.

Z tym negatywnym przekazem miała walczyć powołana do tego celu Polska Fundacja Narodowa, która dziś jest zupełnie niewidoczna i nieaktywna. Dlaczego, mając takie instytucje, nie wykorzystujemy ich?

To nieprawda, fundacja jest aktywna, nawet jeśli nie zawsze to widać. Trzeba wziąć pod uwagę, że choć rządzimy dwa lata, to wciąż pewne sprawy idą bardzo ciężko, także dlatego że wszędzie natykamy się na ludzi z ogromnym deficytem świadomości narodowej. Przełamywanie tego, a także innych rzeczy, takich jak mechanizmy biurokratyczne, różne ambicje itd., nie jest prostym przedsięwzięciem. Jestem przekonany, że zrobimy absolutnie wszystko, aby uchwalenie tej ustawy i nieoczekiwany szum wokół niej spowodowały, by nasze stanowisko przebiło się w świecie. To musi być ogromna i stała kampania, prowadzona bez względu na koszty. I ona będzie, tylko nie da się tego zrobić z dnia na dzień. Była początkowo koncepcja, żeby sfinansować potężny hollywoodzki film, ale to się okazało z różnych względów – także finansowych, choć nie tylko – niemożliwe. Chcieliśmy pokazać, przy silnym uwzględnieniu motywu żydowskiego, panoramę polskiej okupacji, żeby ludzie na Zachodzie zobaczyli, jak to naprawdę wyglądało. Nie rezygnujemy z tego pomysłu, ale musimy go odłożyć. Są jednak różne inne działania, które muszą być systematyczne.

Niektórzy twierdzą, że w tle całego sporu z Izraelem jest kwestia szykowanej ustawy reprywatyzacyjnej. Czy ta sytuacja będzie miała wpływ na prace nad tą ustawą?

Środowiska żydowskie bardzo się obrażają, kiedy te dwie sprawy się łączy, zarzucają nawet antysemityzm, a ja antysemitą nie jestem, wręcz przeciwnie: jestem jego zdecydowanym przeciwnikiem. Prace nad ustawą trwają, może przybiorą inny charakter, będziemy bogatsi o to doświadczenie, ale nie pozwolimy na to, by Polska płaciła podatek od zbrodni niemieckich. Na to zgody nie będzie.

Opozycja wytyka, że konflikt z Izraelem i USA to kolejne fronty, które PiS otwiera na arenie międzynarodowej, i że Polska traci na tym już nie tylko wizerunkowo.

Opozycja coś musi mówić i łączy sobie różnego rodzaju incydenty i zjawiska o zupełnie innym charakterze i wadze w jedną całość. Tymczasem polityka „brzydkiej panny bez posagu" to najgłupsze, co od czasów „Polska nierządem stoi" powiedziano w polskiej polityce. To właśnie ta polityka przynosiła rezultaty, że jesteśmy wszystkiemu winni, nic nam się nie należy, mamy być ciągle wdzięczni, mamy cicho siedzieć. Walczymy o to, by to się zmieniło, trzeba też zmienić ludzi i ich mentalność po polskiej stronie.

Konflikt rządu z Izraelem wpisuje się także w narrację opozycji, w której to PiS jest odpowiedzialny za budzenie demonów antysemityzmu i neofaszyzmu. Co pan na to odpowie?

To są bzdury, rojenia, prowokacje i tyle. W moim przekonaniu wszystko, co zrobił TVN, wszystko, co działo się przy marszach niepodległości w poprzednich latach, było czystą, zaplanowaną prowokacją. Takie jest moje osobiste przeświadczenie.

Kryzys w relacjach z Izraelem to także sprawdzian dla nowego rządu i nowego premiera. Jak radzi sobie Mateusz Morawiecki w pana ocenie?

Sądzę, że rząd z Mateuszem Morawieckim na czele od początku działał dobrze. I działa w dalszym ciągu, bo wciąż rozmowy i spotkania trwają. Bardzo szybko zarządzanie kryzysowe zostało ujęte w jakieś ramy i podjęto wiele skutecznych akcji.

Wszystkie ostatnie sondaże są dla PiS bardzo optymistyczne. Nie obawia się pan, że to będzie działało na pana partię demoralizująco i takie historie jak z senatorem Kogutem mogą się powtarzać?

Dobre sondaże bardzo demoralizują i zdaję sobie z tego sprawę. Trudno jednak, żebym na nie narzekał. Bardzo się cieszę z ich wyników, choć jednocześnie pamiętam, że sondaże nie wygrywają wyborów. Rzadko się zdarza, by najwyższe sondaże potwierdzały się w wyborach, najczęściej potwierdzają się te średnie. Chciałbym przy okazji pewną rzecz wyjaśnić. Wszędzie czytam, że dążę do większości konstytucyjnej. Owszem, bardzo bym chciał, ale uważam, że to jest coś, co graniczy z cudem. Celem naszej polityki jest ponowne przekonywające wygranie wyborów i samodzielne rządzenie, a większość konstytucyjna to jest piękne marzenie. Marzenia się czasem spełniają, częściej jednak się nie spełniają.

Czy do tych wyborów, które chciałby pan przekonywająco wygrać, PiS pójdzie z Mateuszem Morawieckim jako kandydatem na premiera?

Sądzę, że jeśli jakiś grom z jasnego nieba nie spadnie, to tak. Mam nadzieję, że nie spadnie, bo bardzo sobie cenię Mateusza Morawieckiego. Chociaż jest w polityce świeży, to dobrze sobie radzi. Sprawdza się, jest bardzo pracowity, nabiera doświadczenia.

Po podpisaniu przez prezydenta Andrzeja Dudę nowelizacji ustawy o IPN sekretarz stanu USA Rex Tillerson wyraził rozczarowanie, że przepisy wejdą w życie. Z kolei izraelski MSZ ma nadzieję, że do czasu decyzji Trybunału ustawa zostanie poprawiona. Jak to wszystko się skończy?

W momencie, w którym skończy się nasz spór z Izraelem, skończy się także nieporozumienie z USA, bo nie mamy żadnego autonomicznego sporu z USA. Oczywiście to nie jest dla nas komfortowa sytuacja, ale ostatnie oświadczenie Departamentu Stanu wzywało do tego, by obie strony się porozumiały. I mam nadzieję, że tak będzie. Jednak za to, czy do takiego porozumienia dojdzie, w tej chwili głowy nie dam. Daję jednak wysoki procent prawdopodobieństwa, że nie będzie to trwało długo, choć pewności nie mam.

Wszystko, co zrobił TVN, wszystko, co działo się przy marszach niepodległości w poprzednich latach, było zaplanowaną prowokacją

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl c435d7738c

TYGODNIK LISKIEGO DO RZECZY

Zacznij zdrowo Nowy Rok!

PRENUMERATA PÓŁROCZNA TYGODNIKA „DO RZECZY"

+

EASY SMOOTHIE BLENDER MANTA 350W SBL920

Cena: 149 zł
Oszczędność: 135 zł

MANTA
Polska firma rodzinna

PRENUMERATA ROCZNA TYGODNIKA „DO RZECZY"

+

OPASKA SPORTOWA MANTA SWT9303
KROKOMIERZ, MONITOROWANIE TĘTNA, LICZNIK SPALONYCH KALORII, WSKAŹNIK AKTYWNOŚCI FIZYCZNEJ, PRZYPOMNIENIE O AKTYWNOŚCI, LICZNIK DYSTANSU, MONITOROWANIE SNU

Cena: 239 zł
Oszczędność: 289 zł

MANTA
Polska firma rodzinna

JAK ZAMAWIAĆ PRENUMERATĘ:
WPŁATA NA KONTO: 62 1140 1010 0000 5184 9500 1007
ORLE PIÓRO sp. z o.o., Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa

JEŻELI MASZ JUŻ PRENUMERATĘ:
Skorzystaj także z tej oferty, przedłużymy Ci obecnie trwającą prenumeratę, a prezent wyślemy z najbliższym wydaniem.

WIĘCEJ INFORMACJI E-MAIL: **prenumerata@point-group.pl** TELEFON: **22 529 12 10** INTERNET: **prenumerata.dorzeczy.pl**

eprasa.pl c435d7738c

W ubiegły czwartek odbyły się protesty przed ambasadą RP w Tel Awiwie FOT. TOMER NEUBERG/FLASH90/FORUM

Dlaczego nie chcą nas zrozumieć?

Piotr Semka

Nadzieje, że ponad 28 lat normalnych stosunków Polski z Izraelem coś wyjaśniło we wzajemnych wizjach II wojny światowej, okazały się iluzją

Widok sędziwych Izraelczyków demonstrujących pod ambasadą RP w Tel Awiwie musiał zasmucić tych, którzy wierzyli w jakiś przewidywalny czas załagodzenia spięcia na linii Warszawa – Jerozolima. Burza medialna na temat nowelizacji polskiej ustawy o IPN pokazała, jak duże są wciąż pokłady niechęci, urazów i nieufności wobec Polski. O tak ostrych relacjach zadecydowała oczywiście przejaskrawiona informacja, że nowe polskie prawo zabroni możliwości jakiegokolwiek mówienia o okupacyjnych winach Polaków wobec Żydów pod karą trzech lat więzienia. Stąd już było niedaleko do gazetowych opowieści o polskich sądach czyhających na ocalałych z Zagłady i ich wspomnienia. To wskutek takich obaw pojawił się w dzienniku „Yedioth Ahronoth" słynny tytuł po polsku „Nie zaprzeczycie Holokaustu babci". Polacy zaskoczeni byli ujednoliceniem we wszystkich tekstach zmanipulowanego przekazu – bodaj żadne medium nie

eprasa.pl c435d7738c

zacytowało tekstu ustawy w oryginale. Jednak w ślad za tym pojawiło się znacznie poważniejsze pytanie: Dlaczego w Izraelu nie chcą nas zrozumieć?

Odpowiedź jest mało krzepiąca – po stronie izraelskiej za rzecz oczywistą uznano, że jedyną możliwą intencją ustawy jest negowanie Holokaustu i wybielanie polskich zbrodni. Nie zauważono polskiego wyczulenia na dobre imię. Nadzieje, że ponad 28 lat normalnych stosunków Polski z Izraelem po 1989 r. coś wyjaśniło we wzajemnych wizjach ostatniej wojny, okazały się iluzją.

Dlaczego pokłady niechęci są w tej sprawie tak duże, jak mocno sprzęgnięte są ze starymi traumami i jak 60 powojennych lat izolacji obu społeczeństw wzmocniło ten stan rzeczy? Bez takiej analizy nie da się zrozumieć skali różnicy wizji przeszłości wojennej w Polsce i w Izraelu.

CIERPIENIE RZADKO ŁĄCZY

Pierwsza odpowiedź brzmi – bo podzielił nas Holokaust i rany znów się otwarły przy pierwszym zderzeniu. Zbyt szybko uwierzyliśmy w Polsce, że ponad dwie dekady po nawiązaniu na nowo relacji w 1990 r. coś na trwałe zmieniły.

Na dodatek nie do końca rozumieliśmy, co znaczy zdanie, że Izrael żyje Holokaustem tak, jakby zdarzył się on niemal wczoraj.

No dobrze, ale skąd taka wrażliwość wobec Polski, nie wspominając już o Rosji czy np. Łotwie, skoro to Niemcy, a nie Polacy dokonali zagłady?

Jeśli w poszukiwaniu odpowiedzi szukać jakiejś analogii z kategorią ludzkich relacji, to jedyna – choć niedoskonała – analogia to sytuacja, w której mąż, który miał wcześniej z żoną liczne zadrażnienia – nie był w stanie potem obronić małżonki przed gwałtem. Tu sytuacja jest jeszcze drażliwsza, bo ofiara ma podejrzenia, że mąż mógł obserwować jej krzywdę z mściwą satysfakcją i był bierny z premedytacją, a może nawet pomógł w gwałcie. Wiem, to kulawe porównanie, bo mąż jest jeden, a Polacy byli zbiorem milionów jednostek, z których margines pomagał Niemcom lub sam mordował. A ponieważ mowa o wydarzeniach sprzed ok. 75 lat, to jeszcze trudniej cokolwiek liczbowo ustalić, za to łatwo rzucać oskarżenia. Przypomnijmy jednak starą prawdę – to, że ktoś cierpi obok siebie, ale jednak na różnych zasadach (dla Żydów gorszych), nie skłania potem ofiar do solidarności, ale do obcości.

Nie jest przypadkiem, że wiele małżeństw, w których żona padła ofiarą zewnętrznego gwałtu, się rozstaje. Niby krzywdę wyrządzoną przez obcego mogłaby zatrzeć uzdrowieńcza miłość dwojga ludzi, ale ludzie, na których padł cień takiej tragedii, nie bardzo są w stanie dalej z sobą żyć. I tak było z Polakami i Żydami po wojnie, na co nałożyła się jeszcze tragedia powojennego podboju Polski przez komunizm. Większość ocalałych Żydów wyjechała z Polski z podwójnym urazem – za wojnę i za to, co po wojnie. To, czego do niedawna nie wiedzieliśmy w sposób jasny, to to, że przekazali swój uraz dzieciom, wnukom i prawnukom.

Niewiele pomogły parokrotne przeprosiny polskich prezydentów czy przyjęcie nad Wisłą do wiadomości informacji o przypadkach niegodnych zachowań Polaków podczas okupacji. Także wiara, że szukanie na linii Warszawa – Tel Awiw wspólnych interesów w gospodarce, polityce międzynarodowej i obronności powoli rozładuje traumę, była mylna. Ci, którzy uwierzyli w jakieś braterstwa ofiar, też się mylili. Stało się tak jak przy spotkaniu rozwiedzionej pary – przy pierwszym spięciu po latach wylały się na nowo urazy jednej strony przy milczącym rozczarowaniu i poczuciu obrazy drugiej strony.

Podobne intuicje tak oto ubrał w słowa Piotr Skwieciński z „Sieci": „Zdecydowana większość izraelskich rodzin wywodzących się z naszego kraju [...] przekazała młodym pokoleniom pamięć o jakiejś podłości wyrządzonej dziadkowi czy pradziadkowi w czasie okupacji przez jakichś Polaków". I dalej: „Trzeba powiedzieć otwarcie – pamięć o Polsce jest (w Izraelu) pamięcią złą, nawet jeśli korygowaną momentami przez sporą dozę sentymentu, ale ten umiera wraz z pamiętającymi Polskę, natomiast złe skojarzenia są bez przeszkód transmitowane do nowych generacji".

Bywają odkrycia, które są smutne i obezwładniające. Przypominające fatalizmy wrogości między klanami na Sycylii czy plemionami na Bliskim Wschodzie przywodzą na myśl dramat każdego, kto chciałby naprawić z kimś relacje, a natyka się w każdym nowym pokoleniu na głuchą niechęć. Niektórzy Żydzi doznają takiego uczucia, gdy zawodzi kolejna próba porozumienia się z Palestyńczykami. A w wypadku Polaków temu odkryciu braku komunikacji towarzyszy na dodatek świadomość, że chodzi o relacje z krajem, który jest wpływowy i umie wywierać nacisk na wielkie mocarstwa – USA i Rosję.

Powtórzmy więc raz jeszcze – próba nowelizacji ustawy o IPN nie wynikała z chęci zamykania Żydom ust. Była nadzieją, że Izrael choćby milcząco zaakceptuje walkę Polski o rozsądnie wyważone dobre imię, nie o pełną ochronę przed jakimkolwiek zarzutem o zło w czasie wojny. Szło o unikanie generalizacji i uszanowanie braku państwowej kolaboracji z Hitlerem. Nadzieja okazała się chybiona. Izrael swoją racją stanu uczynił zasadę, że nie uzna najmniejszego osłabienia swego prawa do historycznej interpretacji win za Holokaust. I ta swoboda osądu mieścić ma w sobie przypadki nieuczciwego obrażania polskich wojennych postaw – choćby tak naciągane, jakie zdarzały się Janowi Tomaszowi Grossowi. W największym skrócie dzieli nas stosunek do Grossa.

Konflikt wzmacnia fakt, że w optyce spojrzenia przeciętnego Izraelczyka na Polskę nasz kraj nie mieści się w grupie pogromców nazizmu, jak np. Rosja. I to tak boli Polaków. Bo gdyby osądzano wszystkich równie źle, byłoby to łatwiejsze do zniesienia. Jednak fawory dla Rosji – kraju, który w czasie wojny nie zwracał najmniejszej uwagi na tragedię Żydów – każą Polakom podejrzewać podwójne miary.

40 LAT IZOLACJI

To, że Żydzi mieli złe wspomnienia z lat wojny, było wzmacniane poprzez długi okres izolacji obu krajów po roku 1950. PRL wpierw uznał państwo żydowskie za enklawę amerykańskiego imperializmu na Bliskim Wschodzie, a potem zerwał wszelkie relacje dyplomatyczne na długie 23 lata (1967–1990). Przez ten czas nie było komu opowiadać o tym, jak Polacy walczyli z Niemcami na Zachodzie, na Wschodzie i pod Monte Cassino. A legendy AK, ci, którzy się ukrywali, nie byli znani, bo tą sprawą Polacy żyli w swoim gronie, a po wojnie „leśni" kojarzyli się z zagrożeniem. Powoli wymierali ci nieliczni Żydzi, którzy mogli mieć jakieś sentymenty. Dodatkowo przeciw propolskim emocjom działała ideologia syjonistyczna ukazująca dawne kraje zamieszkania Żydów jako ich „dom niewoli" w kontraście od Eretz Israel.

Owszem, honorowano polskich „sprawiedliwych", ale widząc w nich osoby równie samotne i znienawidzone przez ogół Polaków jak sami ukrywa-

eprasa.pl c435d7738c

jący się Żydzi. Nad Wisłą nikt tego nie pojmował.

Nie odróżniano też komunistycznych władz od Polski, przez co łatwo obciążano wszystkich Polaków za Marzec 1968. Na dodatek do Izraela nie trafiali ci najbardziej zasymilowani Żydzi. Ci, którzy byli wierni II RP, tacy jak Marian Hemar czy Mieczysław Grydzewski, mieszkali w Londynie lub, jak małżeństwo Hertzów, w Maisons-Laffitte. Inni nieliczni, tak jak prof. Hugo Steinhaus, Henryk Elzenberg czy Leopold Tyrmand, zostali w kraju, zachowując dystans wobec systemu. I wreszcie – Żydzi komuniści budowali socjalistyczną Polskę, ale często odsuwali się od polskości po emigracji marcowej.

W rezultacie obecne elity Izraela od Beniamina Netanjahu po Yaira Lapida nabrały do Polski dziwacznego stosunku. Znały ten kraj tylko jako miejsce zagłady swojego narodu. A kolejne pokolenia uczestniczące po 1990 r. w wycieczkach do obozów widziały tylko miejsca Zagłady. Ciągłe narzekania, że młodzi Izraelczycy nie poznają ani kultury polskiej, ani pozytywnych stron dziejów Żydów w Polsce, nie brały pod uwagę, że to samym organizatorom tych wypraw Polska kojarzy się źle. Na dodatek czas spowodował szybką erozję pamięci o Janie Pawle II, symbolu, który nam w kwestii pojednania z Żydami wydawał się nieprzemijający. Skoro dziś w Kościele powszechnym kult JP II zbladł, to czemu ma być wciąż żywy w Izraelu? Wymieńmy też kolejny czynnik, który po 1991 r. fatalnie wpłynął w Izraelu na stosunek do Polski i Polaków. To fala ok. 1,5 mln sowieckich Żydów. Tej nowej fali, niezwykle dynamicznej i coraz bardziej wpływowej, Polacy nie kojarzyli się z niczym dobrym, a jeśli już, to z rusofobami i wrogami ZSRS, a tym samym Żydów z lat wojny.

A gdy już w 1990 r. zakończyła się izolacja Polski i Izraela – na dobre ruszyła fala publikacji o Holokauście, w której Polacy występowali coraz silniej jako powolni lub ochotniczy współuczestnicy Zagłady na terenie Polski. Na dodatek wielu badaczy – wskutek braku źródeł – coraz częściej zaczęło wychodzić poza twarde fakty, idąc tropem domniemań na temat możliwych odczuć i win Polaków jako świadków i pomocników Zagłady.

Co gorsze, młoda generacja badaczy, która sama nie mogła już pamiętać okupacyjnych realiów, zaczęła postrzegać los Żydów jako wyizolowane inferno bez woli porównywania go z analogiczną sytuacją ludności polskiej. Stąd wzięło się szokujące dla wojennego pokolenia pytanie: Dlaczego Polacy nie wystąpili zbrojnie z pomocą dla powstania w getcie warszawskim? Pojawiły się dywagacje: czy polskie gospodarstwa mogły uratować więcej Żydów na wsi lub dlaczego do AK nie przyjmowano Żydów.

Pytania te zdradzały, że ich autorzy nie do końca rozumieli ostrości podzielenia przez Niemców terenów okupowanych na dwa światy – jeden dla Żydów, drugi dla Polaków. Niekiedy można odnieść wrażenie, jakby szczególnie badacze z USA uznawali, że wszędzie w Europie okupacja wyglądała tak jak w Danii, którą po latach chwalono za wzorowy szmugiel Żydów do Szwecji. Tolerowano też – jak w wypadku Jana Tomasza Grossa – zwykłe błędy warsztatowe w imię ogólnej słuszności badań. Błędy często tak wyraziste jak sprawa rzekomego zdjęcia z domniemanych wykopków polskich chłopów w poszukiwaniu złotych zębów. Dwóch reporterów, Paweł Reszka i Michał Majewski, wykazało, jak nonszalancko Gross traktował w tej sprawie fakty.

Żydów niepokoją ostatnie pseudożarty i wypowiedzi antysemickie. Nie sposób jednak milczeć o sądach krzywdzących Polaków

Dogmat, że każde badanie na temat Holokaustu winno być chronione i wspierane w ramach solidarności przeciw zapomnieniu o Zagładzie, w końcu zamienił się w zasadę stuprocentowej wolności badań i publicystyki. Tak doszło do zderzenia się z polską chęcią obrony dobrego imienia państwa polskiego i narodu polskiego.

ANTYPOLONIZM – SŁOWO WYKLĘTE

Czy to oznacza, że w Izraelu nie było przez te wszystkie lata głosów broniących Polaków i uznających wagę ich walki z Hitlerem? Owszem, były, ale w mniejszości. Teraz, w czasie ostatniego kryzysu, też się takie zdarzały. Głos zabrał felietonista „Haaretz", były premier Izraela Mosze Arens, który przypomniał, że Polacy odważnie walczyli z Hitlerem. Jeszcze bardziej godne uwagi było świadectwo zamieszczone na łamach „The Jerusalem Post", autorstwa byłego posła Knesetu i pisarza Uriego Awneriego, który w czasie kryzysu wskazał na istnienie od lat w Izraelu zjawiska antypolonizmu.

Awneri wspominał, jak przed laty odwiedził pierwszy raz Polskę: „Gdy odwiedziliśmy Warszawę, zaskoczyły nas liczne miejsca z metalowymi tabliczkami: »W tym miejscu (nazwisko) został stracony przez Niemców«. Do tego czasu nie mieliśmy pojęcia, że polski ruch oporu tak ostro przeciwstawiał się nazistom. Po powrocie do domu Rachel wpadła do sklepu z ubraniami i usłyszała rozmowę właścicielki z klientem po polsku. Nadal pełna tamtego odkrycia Rachel zapytała właścicielkę: »Czy wiesz, że naziści zabili również półtora miliona nieżydowskich Polaków?«. Kobieta odpowiedziała: »Za mało!«. Rachel była zdziwiona. Ja też. Wiedzieliśmy oczywiście, że wielu polskich Żydów nie lubi Polaków, ale nie byliśmy świadomi intensywności tej nienawiści. [...] Wielu Izraelczyków zostało nauczonych, by wierzyć, że Holokaust był wspólnym przedsięwzięciem polsko-niemieckim, a piece w Auschwitz były obsługiwane przez Polaków. Czy w końcu Auschwitz nie leżało w Polsce?" – pytał Awneri.

Określenie „antypolonizm" zbyt często używane jest przez ludzi, którzy z zapałem zbierają przykłady niechęci Żydów wobec Polaków z ostatnich 150 lat wzajemnych relacji. A jednak zjawisko niechęci wobec Polski, które wybiło na powierzchnię w trakcie ostatniego kryzysu, musi być tematem debaty, jeśli ma być ona równoprawna.

Żydów w Polsce i w Izraelu niepokoją ostatnie pseudożarty i wypowiedzi antysemickie i trzeba szanować te obawy. Nie sposób jednak milczeć jednocześnie o sądach krzywdzących Polaków.

Jak sobie radzić z tym wzajemnym ciężarem urazów, szczególnie jeśli można podejrzewać, że do pełnej normalizacji relacji jeszcze długa droga?

Może należy zacząć od refleksji na temat tego, co spowodowało pozór zamknięcia bolesnych rozdziałów. To się nie uda bez głębszej analizy wzajemnych złudzeń. Nie udawajmy zgody za wszelką cenę, lepiej bazować na szczerości i tam, gdzie się da, tworzyć choć fragmentaryczny konsensus.

Ale nie ma też co unikać mówienia o powadze sytuacji. Demonstracja ocalonych z Holokaustu pod polską ambasadą może oznaczać, że spór z Polska używany będzie – jak długo? – do gry politycznej wewnątrz Izraela. Nie wróży to dobrze szybkiemu rozładowaniu nieporozumień.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl c435d7738c

FOT. ANNA ABAKO/EAST NEWS

Z prof. Janem Żarynem, historykiem, senatorem PiS
rozmawia Maciej Pieczyński

Antypolonizm ma długą tradycję

MACIEJ PIECZYŃSKI: Kończą nam się sojusznicy, mamy coraz więcej wrogów na arenie międzynarodowej. Czy Polska stała się oblężoną twierdzą?

PROF. JAN ŻARYN: Jeśli mamy wrogów dziś, to znaczy, że mieliśmy ich także wcześniej. Jedyna zmiana polega na tym, że się ujawnili. Na arenie międzynarodowej przyzwyczajono się, że Polacy nie roszczą sobie pretensji do wolności i suwerenności na odcinku polityki historycznej. Natomiast rząd PiS od początku zapowiadał, że będzie prowadził suwerenną politykę zagraniczną. Dlatego społeczeństwo nam zaufało. Tym samym jednak przekroczyliśmy dozwolony przez pewne zagraniczne podmioty Rubikon, naruszając interesy tych, którym dotąd wydawało się, że strona polska jest na tyle spacyfikowana, iż nie będzie się wychylać.

W czym tkwi uniwersalność antypolonizmu, który łączy środowiska z krajów o tak różnej wrażliwości, mentalności czy doświadczeniach historycznych jak Niemcy, Rosja, Ukraina, Izrael, częściowo nawet USA?

Antypolonizm, który tak dzisiaj zaskakuje, ma co najmniej stuletnią tradycję. Odzyskanie przez Polskę niepodległości po 123 latach niewoli naruszyło pewną równowagę europejską. W 1918 r. znaleźliśmy się pod silną presją bardzo różnych środowisk. Działacze diaspory żydowskiej nie dowierzali, że II Rzeczpospolita sama z siebie będzie w stanie zagwarantować trwanie i rozwój narodu oraz kultury żydowskiej w ramach państwa polskiego. Taka była geneza tzw. małego traktatu wersalskiego, dotyczącego ochrony paw mniejszości. Polscy parlamentarzyści w dyskusji na temat ratyfikacji traktatu podnosili argument, że jego ustalenia oznaczają de facto naruszenie naszej suwerenności. Podobnie warto przypomnieć, że w okresie II wojny światowej polski rząd na uchodźstwie pomimo podjęcia olbrzymich starań na rzecz pomocy Żydom w kraju był krytykowany przez Europę Zachodnią i Stany Zjednoczone za rzekome sprzyjanie antysemityzmowi, za niewystarczającą determinację w pomaganiu Żydom. Wiele razy w historii doświadczyliśmy napięć wywołanych oskarżeniami o antysemityzm. Tak było z pogromem kieleckim, który sowiecka propaganda wykorzystała, by przekazać światu, że tą swołoczą, czyli polskim narodem, mogą rządzić wyłącznie komuniści, bo inaczej antysemickie katolickie ciemnogrodzkie społeczeństwo polskie rozwinie swoje nacjonalistyczne instynkty. Do oczerniania Polski wykorzystano też wydarzenia Marca '68, a ostatnio swoją rolę odegrali „Sąsiedzi" Jana Tomasza Grossa… W 1939 r. w Polsce było prawie 3,5 mln Żydów, którzy z wyboru wykazywali się daleko idącą odrębnością. Planowali też budowę nowoczesnego narodu żydowskiego. Proces, który Europa przechodziła w XIX w., czyli proces kształtowania się narodów, udziałem Żydów stał się dopiero w latach międzywojnia, i to w dużej mierze dzięki dobrej atmosferze, w jakiej mogła się w ramach II Rzeczypospolitej rozwijać kultura żydowska.

A czy przedwojenny antysemityzm środowisk narodowych wpłynął na dzisiejszą niechęć do Polaków?

eprasa.pl c435d7738c

Daleko idące nastroje antyżydowskie panowały nie tylko w obozie narodowym. Antyżydowskość i antypolonizm to zjawiska obiektywne. Żydzi, akcentując swoje pretensje podczas konferencji wersalskiej, byli po prostu zainteresowani podtrzymaniem jak najlepszej pozycji mniejszości żydowskiej na terenie nowego państwa. To nie musiało nam się podobać. Antyżydowskość z kolei była uwarunkowana autentycznym problemem, jakim było opanowanie przez mniejszość żydowską części zawodów drobnomieszczańskich. Inna sprawa, że oczywiście Żydzi nie byli winni światowego kryzysu ekonomicznego. Problemem był też brak zaufania wyznaniowego między judaizmem a chrześcijaństwem. Konwersja z judaizmu na katolicyzm wymagała specjalnego dowodzenia autentyczności wiary i trwała zazwyczaj dłużej niż konwersja z protestantyzmu na katolicyzm. Jako antysemicki potraktowano też ewangeliczny zapis o tym, że to Żydzi zamordowali Chrystusa. Chociaż, żeby była jasność, jest to interpretacja żydowska, bo Kościół nie obarcza konkretnych Żydów chodzących po polskich ulicach odpowiedzialnością za śmierć Syna Bożego.

A z czego współcześnie wynika izraelski antypolonizm? Czy to rywalizacja o to, kto był większą ofiarą wojny?

W żydowskiej opowieści o Holokauście nie ma miejsca na martyrologię jakiegokolwiek innego narodu. Jednak to nie jest polski problem. Polskim problemem jest nieskuteczność formułowania narracji na temat polskiej martyrologii. Ponadto niechęć wynika z różnicy pamięci. W pamięci polskich rodzin dominuje obraz pozytywny, heroiczny. W mojej rodzinie jest wielu Sprawiedliwych wśród Narodów Świata. Natomiast pamięć Żydów to przede wszystkim pamięć o totalnym strachu. Zanim Żyd dotarł do sprawiedliwego Polaka, często doświadczył spotkania ze szmalcownikiem. Musimy zaakceptować, że pamięć żydowska i pamięć polska nie muszą być ze sobą tożsame.

A jednak to wśród Polaków było najwięcej Sprawiedliwych. Skąd więc tak usilne starania, by przypisywać nam współsprawstwo?

To jest efekt niezrozumienia polskiej historii. Izrael nie musi jej rozumieć, dlatego to my musimy tłumaczyć nasze racje. Fakty są takie, że byliśmy jedynym okupowanym przez Niemców narodem, który nie tylko nie wytworzył żadnych formacji kolaboracyjnych, lecz także jeszcze miał własne państwo podziemne, które w sposób instytucjonalny pomagało Żydom. Bardzo możliwe, że my tę batalię o prawdę przegramy, ale to nie oznacza, iż mamy kłamać na temat własnej historii.

Izrael jest paradoksalnie sojusznikiem Rosji w sporze z polską wizją historii. Jerozolima, podobnie jak Moskwa, nieprzychylnie patrzy na dekomunizację, powtarzając argument o wyzwoleniu od faszyzmu.

Przyjście Armii Czerwonej dla nas oznaczało zamianę okupacji, dla Żydów zaś wyzwolenie od eksterminacji. Natomiast faktem jest, że to pakt Ribbentrop-Mołotow i sojusz z ZSRS otworzył Niemcom drogę do inwazji na Polskę, a w efekcie – do eksterminacji polskich Żydów. Nie możemy jednak zmuszać strony żydowskiej do zaniechania lansowania własnej pamięci, bo to nie ma sensu – ta pamięć taka jest i taka pozostanie. Chodzi natomiast o to, żeby równocześnie strona polska miała prawo do własnej opowieści, która jest rozbieżna z żydowską.

Rosyjski antypolonizm dziś przejawia się przede wszystkim w miażdżącej krytyce dekomunizacji. Moskwa zarzuca nam niewdzięczność za „wyzwolenie" od faszyzmu, a w konsekwencji – akceptację faszyzmu.

W odpowiedzi stronie rosyjskiej trzeba ustawicznie przypominać, że w latach 1944–1956 komuniści sowieccy i polscy wymordowali co najmniej 50 tys. Polaków. W stalinowskich więzieniach przebywało w sumie ćwierć miliona ludzi. W 1953 r. jednorazowo za kratami przebywało 118 tys. więźniów. Ponad 5 mln Polaków było inwigilowanych przez funkcjonariuszy Ministerstwa Bezpieczeństwa Publicznego albo przez Informację Wojskową, czyli wprost przez Sowietów. A to wszystko działo się w okresie tzw. pokoju. Europa Zachodnia tego zupełnie nie rozumie, że w czasie, kiedy w jej państwach odbudowywano zrujnowaną gospodarkę i suwerenność, Polacy wciąż musieli walczyć o niepodległość. Reasumując: nie umiemy być wdzięczni Rosjanom za 50 tys. zamordowanych polskich patriotów.

Na czym polegał sowiecki antypolonizm? Celem był podbój czy wyniszczenie narodu?

Zarówno sowiecka, jak i niemiecka polityka wobec Polaków polegała na eksterminacji elit. Dowodem są Katyń i akcja AB. Celem Sowietów nie była biologiczna likwidacja narodu, tylko bolszewizacja narodu osłabionego brakiem elit. Projekt bolszewizacji zakładał wychowanie nowego człowieka, nowego Polaka, który nie miałby już ani etycznego, ani historycznego związku z obrońcami Warszawy z 1920 r., rtm. Pileckim czy gen. Fieldorfem. To miała być polska wersja rosyjskiego przedstawiciela klasy robotniczej.

A jednak operacja polska NKWD była ludobójstwem, a jej ofiary ginęły wyłącznie za swoje pochodzenie.

Oczywiście. Przed II wojną światową na terenie ZSRS przeprowadzony został eksperyment, który polegał na próbie bolszewickiego wychowania mniejszości polskiej, skupionej w regionach Marchlewszczyzny i Dzierżowszczyzny. Warunkiem powodzenia miała być skuteczna ateizacja. Nie udało się jednak. Dlatego Sowieci podjęli decyzję o eksterminacji ponad 100 tys. Polaków, których nie udało się zbolszewizować. Kolejne tysiące zostały deportowane do Kazachstanu i na Syberię. Te dwa środki represyjne – ludobójstwo oraz łagry – będą narzędziami sowieckiej polityki aż do upadku ZSRS.

Część historyków uważa, że rosyjski antypolonizm jako konsekwentnie realizowaną ideologię należy datować od czasów Piotra Wielkiego, a więc od momentu, w którym Moskwa zaczęła uzyskiwać przewagę nad Warszawą. Czy podbój Polski od zawsze był geopolitycznym celem Rosji?

Wszystko zaczęło się od wojen o panowanie nad Bałtykiem, które Moskwa prowadziła nie tylko z Polską, lecz także z krajami skandynawskimi. Celem polityki rosyjskiej od początku było uwolnienie się od wpływów wschodnich, oddziedziczonych po niewoli tatarsko-mongolskiej, i ekspansja ekonomiczno-polityczna na Zachód. Z drugiej strony celem Niemiec była ekspansja na Wschód. W tej optyce Polacy jawią się jako naród, który nie ma prawa do własnej niepodległości, powinien natomiast być zawsze podległy jednemu z potężnych suwerenów, swoich sąsiadów. Widać to dobrze na przykładzie I wojny światowej. Gdyby to Niemcy wygrali ten konflikt, to Mitteleuropa, czyli Europa Środkowa,

eprasa.pl c435d7738c

stałaby się ofiarą niemieckiej ekspansji. W tym układzie nie byłoby miejsca na niepodległą Polskę. Podobnie gdyby I wojnę światową wygrała Rosja, najdalej posuniętą ofertą dla Polaków ze strony zwycięzcy byłoby zjednoczenie ziem polskich pod berłem cara. Tylko raz w historii zdarzyło się, że obydwa mocarstwa upadły, dzięki czemu wybiliśmy się, choć na krótko, na autentyczną suwerenność.

Aleksander Sołżenicyn stwierdził swego czasu, że o ile Ukraina jest niezbędna jako część rosyjskiego imperium, o tyle Polsce i Finlandii Moskwa powinna pozwolić na niezależność...

Podobna oferta padała już ze strony kolejnych pokoleń obozu narodowego. Jędrzej Giertych jeszcze w latach PRL proponował koegzystencję ZSRS i Polski poprzez wzajemne uznanie swoich racji. Polacy mieli uznać, że system sowiecki jest naturalną konsekwencją rozwoju państwowości rosyjskiej. W zamian Moskwa zaakceptowałaby ten fakt, że dla katolickiej Polski komunizm jest nie do przyjęcia. Oczywiście w okresie PRL Sowieci taką ofertą nie byli zainteresowani, bo wystarczali im podwykonawcy w postaci PZPR. Dzisiaj takie dywagacje byłyby jedynie grą intelektualną, ponieważ do tanga trzeba dwojga, a Rosja nie chce uznać odrębności światopoglądowej Polaków...

Czy Putin myśli jak Sołżenicyn i jego ekspansja zatrzyma się na Ukrainie czy też docelowo Polska też ma się stać ofiarą podboju?

Wydaje się raczej, że dobrą intuicję miał prezydent Lech Kaczyński, mówiąc w Tbilisi te pamiętne słowa: „Dzisiaj Gruzja, jutro Ukraina, a pojutrze możliwe, że i mój kraj, Polska". Ekspansja jest wpisana we współczesną doktrynę rosyjską. Świadczy o tym to, że Kreml kultywuje politykę pamięci o podbojach z czasów II wojny światowej. Sentyment do sowieckich pomników na terenie Polski to wspomnienie najazdów Armii Czerwonej na Polskę w latach 1939 i 1944–1945.

A jak postrzegać ukraiński antypolonizm? Razi nas kult OUN/UPA, który jednak ma antyrosyjskie ostrze. I co ciekawe, to właśnie neobanderowcy, historycznie antypolscy, współcześnie najbardziej chcą sojuszu z Polską...

W relacjach polsko-ukraińskich termin ludobójstwo ma zastosowanie wyłącznie w odniesieniu do działań ukraińskich nacjonalistów, którzy niezależnie od swoich niepodległościowych intencji byli odpowiedzialni za wymordowanie od 100 do 160 tys. Polaków podczas II wojny światowej tylko za to, że byli Polakami. Natomiast to nie zmienia faktu, że dziś państwo ukraińskie przeżywa różne problemy tożsamościowe. Nie możemy jednak udawać, że nie było ludobójstwa, bo to kwestia lojalności i solidarności wobec przeszłych polskich pokoleń. Z drugiej strony rozumiemy, że Ukraińcy chcą budować własną tożsamość na heroizmie swoich przodków. Jednak rozliczenie z przeszłością jest warunkiem sine qua non aspiracji europejskich Kijowa.

A może nie byłoby ukraińskiego antypolonizmu, gdyby Rzeczpospolita była nie Obojga, tylko Trojga Narodów, gdybyśmy docenili w odpowiednim momencie żywioł ukraiński?

> **Niemiecki serial „Nasze matki, nasi ojcowie" jest w pewnym sensie pokłosiem myślenia, zgodnie z którym Polacy to bydlęta**

Być może w tej kwestii powinniśmy uczynić dużo więcej mądrego, niż uczyniliśmy. Warto analizować ten stary spór, który jakże pięknie pokazał Sienkiewicz w „Ogniem i mieczem" w rozmowie między dwoma Rusinami dyskutującymi o historii Polski: ugodowym wojewodą bracławskim Kisielem a wojowniczym Jeremim Wiśniowieckim. Jest wiele sąsiedzkich narodów, które we wspólnej przeszłości miały liczne krwawe konflikty, ale pamięć o nich potrafiły jakoś przezwyciężyć na rzecz lepszego postrzegania siebie nawzajem. Tak było choćby z Francuzami i Niemcami. Być może Polakom i Ukraińcom potrzeba więcej czasu.

Paradoksalnie w tej całej nagonce na Polskę wsparły nas Niemcy. Polskiej odpowiedzialności za Holokaust zaprzeczył Sigmar Gabriel...

To był przejaw zdrowego rozsądku, który triumfuje w niemieckiej polityce. Słowa Gabriela to tak naprawdę antycypacja przyszłości. Szef niemieckiej dyplomacji doskonale zdaje sobie sprawę, że właśnie taki uczciwy obraz przeszłości wyłoni się z końcowych ustaleń polsko-izraelskiej komisji.

Być może Gabriel, broniąc Polaków w kwestii polityki historycznej, chce wpłynąć na złagodzenie roszczeń Warszawy w sprawie reparacji?

Trudno, żeby Niemcy występowali w roli chłopców do bicia. To my musimy zabiegać o reparacje, bo Niemcy mogą dzielić się kosztami symbolicznymi, ale nie podzielą się kosztami materialnymi za II wojnę światową.

Czy niemiecki nazistowski antypolonizm zakładał biologiczne wyniszczenie narodu polskiego?

O ile polskie elity były uznane przez Niemców za śmiertelnego wroga ich ekspansji na Wschód, o tyle zwykli Polacy byli traktowani jako podludzie, którzy nadają się wyłącznie do prac fizycznych, i właśnie na tym niskim etapie rozwoju kulturowego powinni pozostać. I ten poniżający stosunek do nas jest w pewnym sensie niemiecką tradycją, której powinniśmy się bacznie przyglądać. Niemiecki serial „Nasze matki, nasi ojcowie" jest w pewnym sensie pokłosiem takiego myślenia, zgodnie z którym Polacy to bydlęta. Różnica między naszymi narodami ma też związek z wyznaniem. Katolicyzm nie wypracował nigdy takich doktryn społecznych, które by prowadziły do uznania, że część ludzi ma większą niż inni możliwość zbliżenia się do Pana Boga. Inaczej niż w przypadku predestynacyjnego protestantyzmu, który taką wyjątkowość „nadludzi" mógł zrodzić, katolicyzm podkreśla równość wobec Boga.

Dlaczego naszym przeciwnikom tak łatwo przychodzi oskarżanie Polaków o faszyzm? Robią to zarówno Zachód, jak i Rosja, używając tylko innych argumentów.

Dlatego że faszyzm w swojej mitologicznej wersji uznany został za ideologię prawicową, wprost wywodzącą się z tradycji chrześcijańskiej Europy. Ta mitologia rodzi łatwe do powtarzania kalki, zgodnie z którymi ksenofobiczny ciemnogrodzki naród katolicki ze swoją pobożnością, obrzędowością ma tendencję do jakiegoś umysłowego zaślepienia, co z kolei ma dowodzić, że jesteśmy podatni na ideologię faszystowską. Nasi przeciwnicy nie chcą zrozumieć tego, co w polskości wyjątkowe, a co podkreśla w swojej wykładni naszej historii prof. Andrzej Nowak. Tą wyjątkowością jest prawdziwie polskie przywiązanie do wolności.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl c435d7738c

Wojciech Wybranowski

Pogrążyć

Wpływowi publicyści, politycy i aktywiści naciskali na wyrzucenie z pracy w USA polskiego historyka prof. Marka Chodakiewicza, blokowali jego karierę naukową. Tylko dlatego, że badaniami naukowymi podważył „ustalenia" Jana Tomasza Grossa

Jak ze znanego i cenionego historyka stać się „skrajnym prawicowcem", niemal Adolfem Hitlerem i negacjonistą tezy o zorganizowanym, systemowym polskim udziale w Holokauście? Wystarczy publikować wyniki prac naukowych i badawczych niezgodnych z interesami wpływowych środowisk lewicowych. To, czego doświadczył prof. Marek Chodakiewicz, pokazuje wręcz modelowo, jak często zakulisowo przeprowadza się kampanie dyfamacyjne wobec niepokornych naukowców.

PODPAŚĆ MIĘDZYNARODÓWCE

Marek Chodakiewicz jest autorytetem uznanym w zachodnim świecie naukowym, ma na swoim koncie kilkanaście książek historycznych i wiele publikacji naukowych. Na prestiżowym The Institute of World Politics w Waszyngtonie pełni stanowisko kierownika Katedry Studiów Polskich, a w 2005 r. prezydent George W. Bush powołał go w skład Amerykańskiej Rady Pamięci Holokaustu. Na spotkania z nim przychodzą tłumy czytelników.

– Jest to historyk bardzo rzetelny, doświadczony, bardzo pracowity, pracujący na źródłach, których analizuje ogromne ilości. Wszystko to przedstawia podparte wiarygodnymi materiałami i dobrze uzasadnione – mówi „Do Rzeczy" prof. Wojciech Polak, historyk z Uniwersytetu Mikołaja Kopernika w Toruniu i członek Kolegium IPN.

Jednocześnie od kilku lat trwa nagonka na prof. Chodakiewicza, której celem jest przypięcie mu łatki antysemity, skrajnie prawicowego oszołoma, niemalże „polskiego faszysty", a w konsekwencji wypchnięcie go poza obręb świata nauki.

– Oskarżenia o antysemityzm to pałka medialnej lewicy, nazwanie kogoś antysemitą to tak, jakby kogoś nazwać gwałcicielem i pedofilem, w konsekwencji oznacza śmierć cywilną. Chodzi o zniszczenie człowieka, zmuszenie, by uwikłał się w tłumaczenia, że nie jest wielbłądem, o zabranie mu czasu, który mógłby poświęcić na badania naukowe – uważa dr Wojciech Muszyński, historyk.

Jak to się stało, że ceniony na Zachodzie historyk, laureat prestiżowych nagród (m.in. Nagrody Literackiej im. Józefa Mackiewicza, stypendium Richard Hofstadter Fellowship), zdobywca grantów od amerykańskich prestiżowych uczelni i ośrodków naukowych zostaje celem takiej kampanii? Powodem, jak wiele na to wskazuje, są badania naukowe Chodakiewicza poświęcone stosunkom polsko-żydowskim, które zaowocowały licznymi publikacjami, m.in. „Ejszyszki. Kulisy zajść w Ejszyszkach", „Po zagładzie. Stosunki polsko-żydowskie 1944–1947" czy wreszcie „Żydzi i Polacy 1918–1955. Współistnienie – zagłada – komunizm".

– To jedna z najważniejszych książek poświęcona stosunkom polsko-żydowskim w XX w. Omawia nie tylko przykłady bohaterstwa, lecz także sytuacje, w których to obydwie nacje zasługują na wyrazy potępienia. Profesor Chodakiewicz wyraźnie pokazuje, że jak nikt nie ma monopolu na bohaterstwo, tak nikt nie ma monopolu na bycie złym – mówi „Do Rzeczy" dr Rafał Drabik, historyk.

A prof. Polak z uznaniem dodaje, że Chodakiewicz, podejmując trudny problem relacji polsko-żydowskich, „daleki jest od stereotypów, od mitów, utartych poglądów, nie zawsze słusznych, opiera się na prawdzie, czy to się komuś podoba czy nie".

Podważanie mitów o rzekomym polskim „zoologicznym antysemityzmie" nie mogło zostać przez wpływowe środowiska lewicowe przyjęte pozytywnie. A jeszcze amerykański historyk polskiego pochodzenia odważył się w kolejnych książkowych publikacjach („Złote serca czy złote żniwa? Studia nad wojennymi losami Polaków i Żydów", „Mord w Jedwabnem 10 lipca 1941: prolog, przebieg, pokłosie") poddać miażdżącej krytyce wiele głośnych dotąd ustaleń Jana Tomasza Grossa, wskazując na błędy warsztatowe, nieścisłości historyczne i przekłamania, jakich dopuścił się ten autor oskarżający Polaków o współudział w Holokauście.

Z HISTORYKA NA HITLERA

Książki i publikacje prof. Marka Chodakiewicza rozbijające w proch oskarżenia Polaków o zorganizowany, niemal wręcz systemowy antysemityzm, jakimi szermowali Gross i kilku innych zachodnich publicystów, nie pozostały bez reakcji. Natychmiast zaczęły się zakulisowe próby wyrzucenia Chodakiewicza z pracy na Uniwersytecie Virginia oraz naciski na amerykańskie władze, by usunąć go z Amerykańskiej Rady Pamięci Holokaustu. Kilka razy w ostatniej chwili odwoływano jego udział w prestiżowych konferencjach i sympozjach. Szykany w środowiskach polonijnych w Stanach były tak mocne, że część z nich opisał w artykule „The Shame of Polish Historical Studies in America" wybitny amerykański naukowiec polskiego pochodzenia John Radzilowski, profesor University of Alaska Southeast.

„Istnieje duże prawdopodobieństwo, że problemy prof. Chodakiewicza zaczęły się na początku

FOT. STEFAN MASZEWSKI/REPORTER

eprasa.pl c435d7738c

2001 r., kiedy jeszcze był doktorantem na Uniwersytecie Columbia. Profesor István Deák, emerytowany profesor historii i szanowany badacz historii Europy Środkowej i Holokaustu, dokonał przeglądu trzech książek na temat Holokaustu, w tym książki Grossa »Sąsiedzi« do »New York Review of Books«. Profesor Deák zwrócił się do Chodakiewicza z prośbą o dostarczenie mu materiałów do książki w świetle dostępnych dowodów. Materiał ten pozwolił prof. Deákowi napisać recenzję, która była znacznie bardziej krytyczna wobec Grossa niż inne" – stwierdził prof. Radzilowski.

Swoistą kampanię nienawiści wobec prof. Chodakiewicza zorganizowało również w Polsce środowisko „Gazety Wyborczej". Latem 2016 r. podczas debaty w Muzeum Historii Żydów Polskich redaktor naczelny dziennika Adam Michnik porównał prof. Chodakiewicza do Adolfa Hitlera, a jego książki do niesławnych „Protokołów mędrców Syjonu". Michnikowi kilka dni później w rozmowie z „Super Expressem" wtórowała dr Alina Cała, członkini stowarzyszenia Żydowski

historyka

Instytut Historyczny. „Przesadą jest, że książki pana prof. Chodakiewicza są »Protokołami mędrców Syjonu«. Natomiast prof. Chodakiewicz jest zdecydowanie antysemitą i propaguje antysemickie schematy" – przekonywała.

Historyk dr Rafał Drabik, pytany o to zdarzenie, nie kryje oburzenia. – To symptomatyczna łatka, która ma za zadanie przekreślić nie tylko samego autora, lecz także przede wszystkim to, co pisze, i to, co odkrył. W ten sposób sprytnie próbuje się dokonywać cenzury w białych rękawiczkach. To próba doprowadzenia do śmierci naukowej danej osoby – komentuje.

Marek J. Chodakiewicz pozwał Adama Michnika o zniesławienie. Proces toczy się ślamazarnie. Dwa tygodnie temu miało się odbyć kolejne posiedzenie sądu, ale zostało odwołane z powodu choroby sędziego.

PO WIZYCIE TRUMPA

Jak przeprowadza się akcję dyfamacyjną, w której pałką staje się domniemany „antysemityzm"? Na przykład tak, jak zrobiły to latem ubiegłego roku lewicowe amerykańskie media. Zaczęło się krótko po głośnej wizycie w Polsce Donalda Trumpa. Prezydent USA wygłosił wówczas mocne przemówienie pełne wzniosłych słów o polskim bohaterstwie, patriotyzmie, o zbrodniach nazistów w okupowanej Warszawie, o zagładzie Żydów i heroicznej walce powstańców warszawskich.

Doceniające Polskę słowa wywołują radość Polaków i słabo skrywane niezadowolenie lewicowo-liberalnych mediów. Amerykańskie wydanie tygodnika „Newsweek" piórem Toma Portera w ślad za ultralewicowym brytyjskim portalem Hope Not Hate napisało, że nad przemówieniem Trumpa pracował Chodakiewicz, i oskarżyło historyka o rzekome powielanie antysemickich poglądów, schlebianie ideologii skrajnej prawicy i ogólnie niechęć do Żydów. Na czym miałoby to polegać? Nie wiadomo. W artykule „Did a Polish Far Right Activist Help Donald Trump Write His Speech in Warsaw?" Porter nie sili się na przedstawienie żadnych dowodów domniemanego antysemityzmu Chodakiewicza, chyba że za taki uznać wzmiankę, iż historyk uczestniczył w spotkaniu Ruchu Narodowego, na którym padła deklaracja: „Chcemy Polski katolickiej, a nie bolszewickiej".

„Newsweek" podparł się opinią Rafała Pankowskiego, skrajnie lewicowego aktywisty związanego ze stowarzyszeniem Nigdy Więcej, który twierdził, że Chodakiewicz „znany jest przede wszystkim jako negator polskiej odpowiedzialności za akty antysemityzmu, w tym niesławny pogrom w Jedwabnem z 1941 r.". Nie zabrakło też głosu samego Jana Tomasza Grossa – w jednym z wywiadów miał powiedzieć o Chodakiewiczu: „Facet będący antysemickim ideologiem radykalnej prawicy". Oskarżenia o antysemityzm podchwyciły natychmiast inne, bliskie lewicy środowiska i media. Amerykańskie Southern Poverty Law Center, stowarzyszenie zajmujące się „monitorowaniem praw człowieka", w artykule napisanym przez Rafała Pankowskiego z Nigdy Więcej i Stephena Piggota oskarżyło Chodakiewicza o „niepokojące prawicowe poglądy". To zresztą nie pierwszy atak SPLC na tego historyka. W 2009 r. domagało się odwołania go z Amerykańskiej Rady Pamięci Holokaustu.

Sam prof. Marek Chodakiewicz, pytany przez nas o te zdarzenia, unika komentarza. – Pies szczeka, karawana idzie dalej – ucina.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl c435d7738c

Wojna ojko-Polaków

FOT. MACIEJ ŁUCZNIEWSKI/REPORTER

Rafał A. Ziemkiewicz

Opozycja właśnie nadaje trwałe cechy podziałowi Polski już nie tyle na solidarną i liberalną, ile wprost na „Polskę" i „anty-Polskę"

Zachowanie „opozycji totalnej" podczas obecnego sporu o penalizację „polskich obozów koncentracyjnych", pozycja, jaką w nim przyjęła, oraz narracja, jaką przedstawiła, mówią wszystko i o niej samej, i o podziale polskiej sceny politycznej. Wbrew pozorom jednak nie było ono przejawem tak często zarzucanej PO i Nowoczesnej nieudolności. Emocje rozpętane wokół nowelizacji ustawy o IPN wydobyły po prostu ze środowisk wrogich PiS to, co stanowi samą istotę ich tożsamości, ich ideowe DNA, wobec którego wybory polityczne pozostają kwestią wtórną.

Dodajmy, że mówiąc o narracji „opozycji totalnej", trzeba brać pod uwagę nie tylko oświadczenia i wywiady polityków, lecz także ton przyjęty przez antyrządowe media. Nie tylko dlatego, że komentarze tych mediów oraz kreowanych przez nie „autorytetów" docierają znacznie szerzej i jako takie są uznawane za głos opozycji przez większość odbiorców, lecz także dlatego, że politycy z reguły się do ich tonu dostosowują.

OSKARŻAJĄ POLAKÓW? TO MAJĄ RACJĘ!

Opozycja – poza pojedynczymi, zupełnie odosobnionymi przypadkami – nie próbowała nawet zaprezentować merytorycznej krytyki projektu (podczas jego głosowania, przypomnijmy, wstrzymała się). A przecież byłoby to nie tylko zgodne z elementarnymi zasadami demokratycznej polityki, lecz także nad wyraz łatwe. Losy projektu, jego długie trzymanie w sejmowej „zamrażarce" i nagłe wprowadzenie pod obrady bez konsultacji, w najgorszym momencie, były tak dziwne, niektóre zapisy tak nieprzemyślane, a związane z nim działania władzy chwilami tak nieudolne, że wszystko to aż prosiło się o miażdżącą, merytoryczną recenzję opozycji.

Ta jednak – poza klubem Kukiza – nie zajęła narzucającej się pozycji recenzenta. Owszem, pojawiły się oskarżenia, że PiS nieprzemyślaną i nieudolną próbą obrony dobrego imienia Polski bardziej sprawie szkodzi, niż pomaga, ale zupełnie zniknęły one w bardzo emocjonalnym przekazie, który daje się streścić nader prosto: „Oskarżają Polaków i Polskę o współsprawstwo Holokaustu? I mają rację!". Owszem, obozy zagłady były niemieckie, nie polskie – przyznają media i politycy „opozycji totalnej" (bo przyznali to nawet i najbardziej polakożerczo nastawieni politycy izraelscy, i minister spraw zagranicznych Niemiec), ale to wcale nie znaczy, że możemy się swej odpowiedzialności za tę zbrodnię wypierać. Stanowisko PO wyznaczyły słowa jej posła Marcina Święcickiego: „Mordowaliśmy [Żydów], tylko nie budowaliśmy obozów", a całego środowiska wypowiedzi takie, jak byłego premiera i szefa MSZ z rekomendacji SLD, Włodzimierza Cimoszewicza: „Oczywiście, że Polacy mordowali Żydów… antysemityzm był i pozostaje w naszym kraju endemiczny". Nawiasem mówiąc, słownik objaśnia, że zdaniem Cimoszewicza antysemityzm jest zjawiskiem wyłącznie polskim i nigdzie poza naszym krajem

eprasa.pl c435d7738c

w ogóle nie występuje; prawdopodobnie jednak żelazny gość TVN chciał tylko użyć mądrego słowa, nie rozumiejąc go, z kontekstu wynika, że „endemiczny" uznał za synonim słowa „powszechny".

Co do postawy antypisowskich mediów już w pierwszych dniach sporu wyznaczył ją materiał „Faktów" TVN, w którym Katarzyna Kolenda-Zaleska zgromadziła liczne wypowiedzi żyjących i historycznych autorytetów, mające przekonać widza, że minister edukacji Izraela oraz wtórujący mu politycy Knesetu mają w ocenie Polaków jako notorycznych antysemitów rację. Nic nie symbolizuje tej postawy lepiej niż okładka „Newsweeka" z twarzą Jana Tomasza Grossa i jego powtórzonymi po raz enty kłamstwami o „polskim antysemityzmie". Czy bardziej stonowana, ale równie jednoznaczna okładka „Polityki" ze stwierdzeniem, iż obrona Polski przez rząd przed oskarżeniami o współsprawstwo Holokaustu jest „niepotrzebna". Nie „nieudolna" albo „nieskuteczna", ale właśnie: niepotrzebna.

Zarówno dla polityków, jak i dla mediów opozycji atak rządu Izraela na polską ustawę stał się okazją do sekundowania oskarżeniom wobec Polaków oraz kolejnego ataku na Jarosława Kaczyńskiego, pod hasłem: Kaczyński „celowo… wydobywa z Polaków co najgorsze, antysemityzm, brunatny odcień patriotyzmu" (były minister i komisarz europejski Janusz Lewandowski, obecnie europoseł PO), „specjalnie gra antysemityzmem" (Jacek Żakowski), „gra kartą antysemityzmu, by nie mieć konkurencji po prawej stronie sceny politycznej" (Aleksander Kwaśniewski) – a wszystko to, by „rządzić trzy kadencje".

W STRONĘ SEKTY

Jedną z rzeczy, którą tu widać, jest to, że – jak należało się zresztą spodziewać – głośne niedawno badania zespołu dr. hab. Gduli pokazujące, jak daleki od wyobrażeń salonów jest elektorat PiS i jak inne od przypisywanych jego motywacje, spłynęły jak woda po kaczce po tych, którymi powinny były wstrząsnąć. W obozie III RP mamy wciąż tę samą opowieść, w której Kaczyński nie jest politykiem, lecz potworem z bajki, kierującym się czystą nienawiścią, kompleksami i żądzą władzy, a przyczyną jego zwycięstw jest fakt, że taka właśnie, do szpiku podła oraz pełna „złych emocji" („zawiść, rasizm, antysemityzm, szowinizm, wrogość wobec sąsiadów" – wylicza te emocje niosące jakoby popularność PiS Janusz Lewandowski we wspomnianym już wpisie w mediach społecznościowych) jest większość Polaków. Opowieść, której popularności w najmniejszym stopniu nie szkodzą oczywiste fakty – choćby ten, że w Polsce nie ma elektoratu antysemickiego, i każdy, kto po tę broń próbował sięgnąć, począwszy od „senioralnego" Stronnictwa Narodowego Macieja Giertycha, które w pierwszych wolnych wyborach w 1991 r. wzniosło hasło: „Ani żydokomuna, ani żydosolidarność", poprzez Tejkowskiego, Bryczkowskiego czy Bubla, lądował na skrajnym marginesie, z poparciem rzędu jednej lub dwóch dziesiątych procenta.

Przyjmując, że polityka jest dziedziną działań racjonalnych, nie sposób tego, co się dzieje, wytłumaczyć. Opozycja nie tylko po raz kolejny zacieśnia krąg swych zwolenników do sekty najbardziej nienawidzącej PiS i Kaczyńskiego, lecz także nadaje cechy trwałe wymarzonemu wprost dla PiS podziałowi sceny politycznej: już nie na „Polskę solidarną i liberalną", lecz wprost na „Polskę" i „anty-Polskę". Przy czym do „partii polskiej" obok PiS załapuje się – z sił, którym sondaże dają szansę na parlament – tylko Kukiz, ale i on traci podstawowy atrybut politycznej opozycji, czyli możliwość krytykowania rządzących; w każdym razie krytyka ta może być tylko bardzo ograniczona. Kiedy bowiem „tefałeny" i „opozycja totalna" podjęły spór nie na osi „czy ustawa jest dobra czy zła", lecz na osi „czy Polacy odpowiadają za zbrodnię Holokaustu", i to jednoznacznie po stronie „tak, odpowiadają", zaczął działać mechanizm, o którym krótko po wybuchu dyplomatycznej wojny z Izraelem pisałem w słowach: „Czuję się jak republikanin po Pearl Harbor". Polityka Roosevelta była z punktu widzenia interesów amerykańskich zła i istniało wiele powodów, by ją krytykować, ale w chwili, gdy Ameryka została zaatakowana, ta krytyka z oczywistych powodów ucichła. Podobnie jak nie sposób krytykować nowelizacji ustawy o IPN i sposobu, w jaki PiS „wrzucił" ją do debaty publicznej, w chwili, gdy Polska jest w bezczelny sposób z obozu aliantów w II wojnie światowej przesuwana na pozycje sojusznika Hitlera.

Mniejsza już jednak o to, że „opozycja totalna" po raz kolejny zapewniła PiS ten swoisty immunitet. Ochocze wejście w podział na „partię polską" i „partię antypolską" praktycznie zamyka jej drogę do przyszłych wyborczych sukcesów. Dlaczego, w imię jakiego szaleństwa, tak postępuje, szkodząc przy okazji swemu krajowi? Przecież płynące stąd antypolskie fałszerstwa są ochoczo podchwytywane przez wrogów Polski za naszymi granicami, i to wszystkimi (wystarczy spojrzeć, z jaką ochotą cytują antypisowskich polityków i media Sputnik i inne propagandowe tuby Kremla).

Otóż w każdym razie nie jest to szaleństwo niczym nowym. Nie odbiega w swym mechanizmie choćby od reakcji na sukces programu „500+". Wylewanie kubłami nienawiści na „hołotę" i pogarda dla biedy były nie mniej politycznym samobójstwem, choć nie aż tak skutecznym jak obecne. Podobnie jak ściąganie na Polskę unijnych sankcji i demonstracyjne radowanie się z każdego niepowodzenia własnego kraju na arenie międzynarodowej.

INSTYNKT NIENAWIŚCI

Rzecz nie daje się wyjaśnić inaczej niż głęboko tkwiącym w elitach III RP instynktem nienawiści – nie do tego czy innego polityka ani partii, lecz do tego, z czym się ona kojarzy: do polskiej dumy, do polskości w różnych jej przejawach. Kaczyński jest tylko totemem, na którym się ta nienawiść skupia. Były wszak czasy, gdy z równą zajadłością te same sfery pluły na Wałęsę, widząc w nim polityka, który „rozbudza demony polskiego szowinizmu i antysemityzmu".

O tym zjawisku, zwanym uczenie „ojkofobią", irracjonalną, przemożną nienawiścią do swojskości, do własnego pochodzenia oraz narodowości, napisano już wiele i pewnie pisać się będzie, bo nie zniknie ono prędko. Rzecz nie jest „endemiczna", teoria państwa postkolonialnego opisała ją dokładnie na wielu przykładach. Pogarda dla swoich, dla tubylczego „ciemnogrodu" to stała cecha elity „kompradorskiej", czyli – według definicji – obsługującej we własnym kraju cudze interesy. A taki właśnie charakter miały zakorzenione w czasach PRL elity zawodowe, polityczne i opiniotwórcze III RP, których reprezentantami i wyrazicielami są politycy, działacze oraz redaktorzy „opozycji totalnej".

Dodajmy, że na szczęście reprezentantami i wyrazicielami nieudolnymi, niepotrafiącymi ukryć swej nienawiści ani przewidzieć skutków tak nieskrywanego kierowania się nią.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl c435d7738c

Kronika zapowiedzianej

Piotr Gociek

Przyczyny wizerunkowej katastrofy, która przytrafiła się Polsce w ostatnich tygodniach, są głębsze, niż się wydaje. Wyruszyliśmy na wojnę z pustymi rękami

Jest wzmożenie i oburzenie. Wzmożenie zapowiada były minister spraw zagranicznych. – Musimy mieć własną narrację – mówił w TV Republika Witold Waszczykowski. Tak, to nie żart. Człowiek, który przez dwa lata był szefem dyplomacji, odkrył dwa miesiące po dymisji, że Polska musi mieć „własną narrację".

– Prawda nie obroni się sama – mówi prezes PiS Jarosław Kaczyński. Trudno się z nim nie zgodzić. Jednak kiedy dodaje: – Jesteśmy w trakcie tworzenia takiej machiny, która będzie broniła tej prawdy – na usta ciśnie się także pytanie: Jednak dlaczego dopiero teraz? I jak bardzo jesteśmy „w trakcie tworzenia"? Na początku, w środku, blisko finału czy może rację ma Waszczykowski, który dopiero postuluje: „Musimy"?

Uderz w stół, a nożyce się odezwą. TVP informuje, że powstał zespół, który zadba o „promocję historii Polski w kraju i za granicą, kształtowanie pozytywnego wizerunku naszego kraju oraz zapobieganie dezinformacji". Prezes TVP Jacek Kurski oświadcza: „Telewizja Polska wprowadza to jako stały element swojej działalności". Czyli dotąd te problemy nie były jej znane? A to ci szczerość! To idźmy dalej: A co z anglojęzycznym kanałem informacyjnym, najbardziej nieistniejącym ze wszystkich nieistniejących przedsięwzięć TVP?

Tyle o wzmożeniu. Jest i oburzenie. Na dziennikarza, że ośmielił się zapytać

eprasa.pl c435d7738c

FOT. FOTOLIA

i powątpiewać. – Pana pytania są aroganckie i nie na temat – usłyszał w Radiu RMF FM Robert Mazurek od wicepremiera i ministra kultury Piotra Glińskiego, gdy próbował się dopytać, jak na promocję wizerunku Polski wydaje pieniądze Polska Fundacja Narodowa obdarzona budżetem 250 mln zł i jakie są inne osiągnięcia rządu Zjednoczonej Prawicy w tej dziedzinie. Usłyszał też, że budowane są instytucje, przeprowadzane konkursy. I że „poważny film fabularny produkuje się, przygotowuje się produkcję 5, 10 lat, czasami dłużej".

DOKĄD JEDZIE TEN TRAMWAJ?

Wygląda na to, że wszyscy teraz, w ramach ogólnego wzmożenia (połączonego z oburzeniem), będą poprawiać wizerunek Polski. Aż mi ciarki po plecach chodzą i włosy stają dęba, bo nic z tego nie będzie, jeśli nie zaczniemy od rzeczy podstawowych: Jaki jest stan faktyczny i jaka jest wizja całości? Znaczy? Co jest, a co ma być?

Jest źle, dużo gorzej, niż sądzą ci wszyscy, którzy mają nadzieję, że obecne wzmożenie szybko coś naprawi. Jest źle, bo katastrofa, która obnażyła bezbronność Polski w zakresie budowy własnej narracji, jest dużo większa i ma dużo głębsze korzenie, niż przypuszczają politycy. Niektórzy przestrzegali – prof. Andrzej Zybertowicz alarmował, że wizerunek Polski za granicą jest dziś gorszy niż dwa lata temu i że brak odpowiedniej osłony propagandowej może dobrą zmianę wywrócić. Ostatnie wydarzenia sprawiły, że dyskusja o wyśmiewanej przez niektórych MaBeNie – Maszynie Bezpieczeństwa Narracyjnego – staje się kwestią palącą.

Czy potrzebna jest budowa nowej instytucji, czy też wystarczy wykorzystać istniejące? To kwestia do rozważenia. Na łamach „Do Rzeczy" (3/2018) Robert Bogdański wskazywał w tekście „O MaBeNie na poważnie", jak słabo działają w kwestii tłumaczenia polskiego stanowiska nie tylko PFN, lecz także Polska Agencja Prasowa, która nie posiada nawet anglojęzycznego konta na Twitterze. „Wystarczy sprawne działanie istniejących i posiadających całkiem spore budżety instytucji, odrobina wyobraźni i profesjonalizmu" – argumentował Bogdański. „Oraz świadomość, że przekaz, jaki formułujemy, ma swojego adresata w społeczeństwach zachodnich, a nie wśród rozmaitych »ludów«, których umysłami władają ludzie sądzący, że forsowaniem narracji »agresywno-godnościowej« cokolwiek w Europie ugrają" – dodawał.

Pozwolę sobie na luksus zgodzenia się i z Zybertowiczem, i z Bogdańskim. Ten ostatni ma rację, podkreślając niedomagania istniejących kanałów komunikacyjnych, ten pierwszy ma rację, wzywając do stworzenia… No właśnie, sam nie wiem, czy instytucji. Jednak wiem, o co chodzi: o mózg, sztab kreacji, kwaterę główną, zwał jak zwał – chodzi o stworzenie jednolitej wizji i konsekwentną jej realizację. Nie wizji politycznej, bo tego typu propagandę przyszłe obiekty perswazyjnych zabiegów wyczują na kilometr. Wizji kulturalno-historycznej. Tak, kulturalno-historycznej, a nie historyczno-politycznej, bo ta katastrofa ma głębsze korzenie.

KORZENIE PORAŻKI

Wiele było w ostatnich tygodniach szukania winnych, i nawet celnie ich wskazano. Żadna niespodzianka – wszelkie formy michnikowszczyzny, wielki zbiorowy wysiłek koalicji od Grossa i Holland do tłumu pośledniejszych miłośników europeizacji kosztem lżenia narodu, dla których przyklejanie Polakom gęby antysemity i szmalcownika miało być sposobem na wydźwignięcie samego siebie ponad „demony polskiego patriotyzmu" i całą tę czerń.

Jednak czy konserwatyści sami są bez winy? Ileż było debat o tym, że prawica przegrywa kulturę! I co? Co się zmieniło? Ileż szkód przyniósł nam elitaryzm, to podbudowywane cytatami z Rogera Scrutona, że kultura, panie, prawdziwa kultura, to tylko w filharmonii! No to doczekaliśmy się – to, co poza filharmonią, wzięli sobie twórcy „Pokłosia" oraz rozmaitych przedsięwzięć debilnych.

I to okrutne zadęcie. Ta powaga, która szybciej zabije polską prawicę niż najchytrzejsze knowania politycznych konkurentów. Brak lekkości, brak poczucia humoru. Dlaczego z lękiem witam zapowiedzi, że teraz wszyscy – specjalne zespoły w TVP i rozmaite inne specbrygady, które ani chybi zostaną powołane pod wpływem kryzysu polsko-izraelskiego – będą tylko ścigać się o to, kto stworzy dzieło bardziej jednoznaczne, wstrząsające i znaczące. Nie sądzę, by komuś przyszło do głowy hasło: „Bawiąc – uczyć", żeby ktoś zauważył, że lepsze jest nieraz delikatne przesuwanie akcentów zamiast walenie cepem. Nie, nie, zobaczycie, będzie superpoważnie. Autorzy memów internetowych już mogą zacierać ręce.

Mam powody do obaw, bo np. niemal ćwierć wieku III RP zajęło zrozumienie prawicy, że można opowiadać o historii w formie komiksu. Byle tylko, broń Boże, nie był zbyt odważny formalnie. Patrzę na te dzieła, jedno w drugie słuszne, i czasem nawet niezłe, a potem myślę sobie: Grzegorz Rosiński rysował lepsze w PRL, i jeszcze były od razu wydawane w paru wersjach językowych.

Kultura, narracje historyczne, popkultura, nowe media. Czy nasi decydenci od historii wiedzą o tym, jak bardzo Amerykanom podobają się polskie gry planszowe i strategiczne? Czy słyszeli o tym, że mała polska firma sama, wielkim nakładem środków i jeszcze większym talentu,

eprasa.pl c435d7738c

produkuje figurkowy system bitewny „Ogniem i mieczem", na którego punkcie Anglosasi mają hopla? Czy w jakimkolwiek ministerialnym memo ktoś zauważył kiedyś, że Polacy to mistrzowie w pisaniu gier na smartfony i że można to wykorzystać? Czy po światowym sukcesie gry „Wiedźmin" komuś przyszło do głowy: „A może by zapytać polskich projektantów i programistów, czy nie robią czegoś o II wojnie światowej?" i sprzymierzyć się z nimi, żeby w przyszłym hicie sprzedawanym na całym świecie osiągnięcia polskiego oręża były odpowiednio wyeksponowane?

NASZA WINA, NASZA BARDZO WIELKA WINA

Cieszymy się tłumami na targach książki historycznej. Jednak nikt nie mówi głośno, że wielu mamy pracowitych przyczynkarzy, a jeśli chodzi o zgrabne syntezy – to nędza. Jeden prof. Andrzej Nowak wiosny nie czyni. Mamy też bezcenne publikacje i archiwa IPN, ale do dziś nikt nie znalazł sposobu, jak popularyzować tę wiedzę, bo nakład 500 egzemplarzy dla pracy naukowej nijak się ma do pożądanych efektów edukacyjnych.

Trzeba zacząć od początku: od filmów dla dzieci, dla młodzieży, od ciekawej rozrywki. Od tego, by bawiąc, uczyć. Co jest do zrobienia? Wszystko

Martwimy się, że lewica wciąż dzierży klucze do dystrybucji prestiżu. A co zrobiliśmy sami, by to odmienić? Kto pomógł fundatorowi Nagrody im. Józefa Mackiewicza, gdy zaczął robić bokami? Gdzie jest konserwatywny odpowiednik Nagrody Literackiej Gdynia? Dziesiątków innych nagród, które salon przyznaje. Czy ktoś w ministerstwie przejmuje się tym, że co roku zdychają kolejne niezależne księgarnie, a dystrybucyjne monopole dławią rynek?

Jak to jest, że TVN mógł stworzyć i emitować program o książkach, a w TVP Info wciąż tylko ciosanie kołków polityczną siekierką? Wiecie, że dziennikarz mediów publicznych, który pokaże na antenie tytuł, jaki chciałby polecić, ściąga na siebie podejrzenie (kultura korporacyjna), że wziął w łapę za kryptoreklamę? Wiecie, że w zeszłym roku na kongresie tłumaczy w Krakowie wszyscy pytali mnie o Jacka Dukaja, bo Sapkowski już jest passé, a Dukaja świat ma za następcę Lema, i to lepszego od Lema? I wszyscy chcą go tłumaczyć – z Japonią włącznie. Kiedy ostatni raz widzieliście Dukaja w polskiej telewizji? A może by zrobić o nim film – uwaga… coś strasznego powiem… – po angielsku?

Dla żyjących w przeświadczeniu, że wiele spraw jest wygranych oraz oczywistych, mam złą wiadomość – nie jest. Gdyby tak było, gdyby to było takie proste i dane raz na zawsze, to Anglicy nie marnowaliby pieniędzy na kolejne ekranizacje Dickensa i Austen oraz na powtarzanie opowieści o tym, jakim zwycięstwem moralnym była klęska militarna pod Dunkierką, i o tym, jakie to szczęście dla świata, że miał Churchilla. Amerykanie nie kręciliby nowych filmów i seriali o wojnie w Europie oraz na Pacyfiku, Rosjanie nie wybielaliby swojego ludobójstwa w Czeczenii kolejnymi produkcjami stojącymi na bakier z prawdą, za to za pan brat z przekazem Kremla. A Niemcy nie wyłaziliby ze skóry, żeby udowodnić światu, że właściwie wszyscy w czasach Hitlera byli porządni, tak jak Sophie Scholl, i chętni zabić dyktatora, tak jak płk von Stauffenberg.

WSZYSTKO OD NOWA

Stare historie trzeba opowiadać na nowo, bo zmienia się język telewizji i kina. Jednak przede wszystkim dlatego, że są ważne, że wiele się można z nich nauczyć; dlatego, że są kotwicami naszej tożsamości. A oprócz tego zacząć od początku: od filmów dla dzieci, dla młodzieży, od ciekawej rozrywki. Od tego, by bawiąc, uczyć. Co jest do zrobienia? Wszystko. Brakuje klasyki w oprawie godnej XXI stulecia (protezy z tektury takie jak Teatr Telewizji pominę, bo celnie i słusznie przejechał się po nim Andrzej Horubała w „Do Rzeczy" [5/2018]). Brakuje współczesnych „Czarnych chmur", „Gniewka, syna rybaka" (pardon, „Znaku orła"), „Przyłbic i kapturów".

Właśnie, dokument. Gdzie są nasze seriale dokumentalne zrealizowane w nowoczesny sposób? Spójrzcie, jaki to dziś biznes, ile tego pojawia się w HBO i na Netflixie! Patrzcie, jakie piorunujące przynoszą efekty (słynny brytyjski serial „Naziści: ostrzeżenie historii")! Jednak… jest pewien drobny problem. Czy wiecie, że w Polsce nie jest uregulowana kwestia nawet tego, by rozmaite państwowe instytucje nie musiały płacić innym państwowym instytucjom koszmarnych pieniędzy za kopiowanie byle kawałka materiałów archiwalnych?

Czekamy na Mela Gibsona. Hm. Chwalił polskich piłkarzy Russell Crowe na Twitterze podczas Euro 2016. Czy ktoś wpadł na pomysł, żeby zaproponować mu rolę narratora w dokumentalnej serii o polskim sporcie? Wymarzony „wielki hollywoodzki film" niczego nie zmieni. Potrzebne jest tsunami składające się z setek drobniejszych inicjatyw. I potrzebna jest wizja – ku czemu to wszystko ma iść, jaką opowieść chcemy przedstawić. Proszę też zauważyć, że nie tknąłem nawet tego, jak działają i czego oczekiwać od rozmaitych polskich instytutów – Mickiewicza, Książki itp.

POLAK POTRAFI

Jaki powinien być cel? Nie narracja o tym, żeśmy narodem bez skazy, wykutym ze spiżu. I nie nieustanne narzekanie na zdrady sojuszników: że Churchill świnia, że Amerykanie daleko, że nikt nie zauważa, jak Żydów ratowaliśmy. Celem tej machiny powinno być przypomnienie światu, że Polacy dają radę. Zawsze dawali. Bili się i dawali radę. To nie znaczy, że zawsze wygrywali, ale nie dali się zniszczyć fizycznie, nie dali się upodlić moralnie. Kiedy nie można było siłą, walczyli kpiną. Kiedy nie można było bić się u siebie, bili się za granicą. Owszem, bywali lekkomyślni, czasem szaleńczo, ale dawali radę. Bo są narodem nie do zaje…, pardon my French. Narodem wynalazców, pisarzy, żołnierzy. Narodem, który uraz nie chowa zbyt długo – nawet po tym, jak Polaków Anglicy wyrzucili z parady zwycięstwa, ci pozostali w Wielkiej Brytanii i budowali statki, projektowali samoloty, wymyślali światłowody.

Przypomnienie, powiadam, bo kiedyś świat o tym wiedział. Że Polak bitny, honorowy, szaławiła, może i trochę stuknięty. Jednak warto na niego stawiać, bo stracić można mało, a wygrać bardzo dużo. Że nawet kiedy wszystko się przeciw niemu sprzysięgnie, Polak potrafi. I daje radę. Zacząć trzeba natychmiast, bośmy stracili prawie trzy dekady (wersja pesymistyczna), bośmy stracili ostatnie dwa lata (wersja optymistyczna).

Ja państwa teraz bardzo przepraszam, ale pisząc „zacząć trzeba natychmiast", jakoś nie potrafię wykrzesać z siebie wiary, że ktoś zacznie. A Ministerstwo Kultury przepraszam, że nic nie napisałem o tym, ile muzeów budujemy. Tylko że nikt nie zajrzy do muzeum, jeśli nie będzie miał powodu. A jaki może być dobry powód? Że jest tam coś ciekawego o tych niesamowitych Polakach. Wychodzi więc na moje.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl c435d7738c

MocArty
RMF CLASSIC
2017

15 RMF Classic

Wejdź na
www.rmfclassic.pl

Zagłosuj i wygraj
zaproszenia na Galę Finałową
oraz wiele innych
cennych nagród!

eprasa.pl c435d7738c

FOT. FOTOLIA

Podszyte obłudą

Łukasz Warzecha

Zakazanie hodowli zwierząt futerkowych w Polsce nie ma żadnych podstaw, a podszyte jest emocjami, które zawodowi ekomanipulanci opanowali do perfekcji

Zbliżając się do celu, z coraz większym niepokojem wciągałem nosem powietrze. Oczekiwałem, że potworny smród dostanie się do wnętrza samochodu nawet przez filtry. Niczego jednak nie poczułem. Jadąc wzdłuż ogrodzenia fermy norek w pobliżu Radomia, otworzyłem okno i wąchałem. Nic. No, może gdzieś unosił się bardzo lekki zwierzęcy aromat, podobny do tego w ogrodzie zoologicznym, ale ledwo wyczuwalny.

Zapach zwierząt był wyraźnie wyczuwalny na terenie samej fermy, a lekko odurzający robił się dopiero wewnątrz długich, otwartych na obu końcach hal, wypełnionych rzędami klatek. Z rolnictwem nie miałem nigdy do czynienia, więc spodziewałem się, że widok może być dla mnie, mieszczucha, trudny do zniesienia. Jednak znów się myliłem. W klatkach, niezbyt szerokich, ale za to długich, z półką wypoczynkową, spokojnie siedziały po dwie norki, czasem jedna, wyjątkowo trzy. Żadnego ścisku, tłoku, zagryzania się czy paniki. Zwierzęta były tylko lekko spłoszone na widok przechodzących ludzi. Obejrzałem też chłodnię do przechowywania paszy, wypytałem o proces usypiania norek (za pomocą dwutlenku węgla), przyjrzałem się niemożliwemu do sforsowania ogrodzeniu, wkopanemu na półtora metra w ziemię, tak żeby norki, gdyby nawet wydostały się z klatek, nie mogły się przekopać pod płotem. Można by podejrzewać, że właściciele przygotowali fermę specjalnie na wizytę dociekliwego dziennikarza, gdyby nie to, że zakład hodowlany na 30 tys. zwierząt jest na to zwyczajnie zbyt duży.

Z tego, co wiem, na żadnej fermie zwierząt futerkowych nie był nigdy żaden z dziennikarzy stanowczo domagających się likwidacji tego specjalnego działu rolnictwa w Polsce. Fermy nie odwiedzili też ani architekt nowelizacji ustawy o ochronie zwierząt Krzysztof Czabański, ani żaden z polskich europosłów, którzy w Parlamencie Europejskim zorganizowali wystawę „Odeślijmy futra do historii", ani tym bardziej Jarosław Kaczyński, który wspiera zakaz dotyczący dwóch branż. Na celowniku bowiem, za sprawą tej samej ustawy, jest również ubój rytualny, który już raz uratował się dzięki orzeczeniu Trybunału Konstytucyjnego. Teraz może zniknąć. Nie zostałby wprawdzie całkowicie zakazany, ale byłby dozwolony jedynie na rzecz związków wyznaniowych na terenie kraju, tymczasem siłą polskiej branży jest eksport coraz bardziej cenionego mięsa do gmin żydowskich za granicą i – co ciekawe – do gmin muzułmańskich na zachodzie Europy.

ŻADNEJ LOGIKI

Producenci futer zyskali niedawno zaskakującego sojusznika w osobie o. Tadeusza Rydzyka, który podczas jednego z programów w Radiu Maryja mówił: „Te futerka przejmie kto? Niemcy i Rosjanie najpierw. Czy kto jeszcze? I kotka żałować. Do więzienia wsadzą. Tu się szanuje zwierzątka. Trzeba je szanować, ale równocześnie zabija się dzieci w Polsce. I mówią, że to są katolicy. Pewnie wszyscy byli w kościele na Boże Narodzenie. I co to jest? To jest jakaś schizofrenia. Tu się zastanawiają nad tymi futerkami, rozdzierają szaty. Ale człowieka wolno zabić. I to prawica jest? I to ludzie są?". Media należące do toruńskiego redemptorysty oddawały kilkakrotnie głos przedstawicielom branży. W tej sprawie twórca telewizji Trwam stanął w wyraźnej opozycji wobec lidera PiS.

Pomysł likwidacji branży futrzarskiej trzeba analizować od fundamentu, żeby zobaczyć, dlaczego jest zły. Fundamenty są dwa, a żaden nie spełnia warunków racjonalności, logiki i obiektywizmu.

Pierwszy fundament to presja ekooszołomskich organizacji w rodzaju Vivy!

eprasa.pl c435d7738c

czy Otwartych Klatek. Drugi to osobiste przekonania ważnych osób w PiS, w tym zwłaszcza Kaczyńskiego. Prezes PiS jest, trzeba przyznać, niezwykle konsekwentny. W wywiadzie dla już nieistniejącego dziennika „Życie" w 1996 r. mówił Luizie Zalewskiej i Piotrowi Zarembie:

„A co pan myśli o oblewaniu farbą prawdziwych futer z lisów czy norek?

Jak najlepiej. Moja bratanica uczestniczy regularnie we wszelkich tego typu manifestacjach antyfutrzarskich.

Sam pan też by się przyłączył czy to już forma zbyt drastyczna?

To nie chodzi o drastyczność, ale o to, że moja bratanica ma lat 16, a ja trochę więcej. Ale samo takie działanie jest jak najbardziej pożądane".

To jednak dość szokujące, że Jarosław Kaczyński otwarcie popierał niszczenie cudzej własności w imię ekooszołomskiej ideologii. Czy dziś na podobne pytanie odpowiedziałby tak samo – nie wiadomo. Jednak jego wystąpienia w tej sprawie pokazują, że poglądów nie zmienił. Chociaż zadziwiać może choćby to, że w nagranym specjalnie dla Otwartych Klatek kilka tygodni temu przesłaniu uznał wprowadzenie zakazu hodowli zwierząt futerkowych za „europeizację" Polski.

Dlaczego zwierzęta futerkowe? To proste – stroną inspirującą są zawodowi obrońcy zwierząt, którzy do perfekcji opanowali techniki manipulacji. Wybiera się taki obiekt ataku, gdzie najprościej jest zagrać na emocjach tłumu, a potem będzie się atakować inne branże. Prawdopodobnie kolejnym celem będą duzi producenci drobiu. Cała reszta opowieści o złych „zerwiskórach" – jak elegancko nazywają przedsiębiorców z branży ich wrogowie – czyli nietrzymająca się kupy argumentacja zwolenników zakazu, jest ułomną próbą racjonalizacji post factum celu wybranego całkowicie arbitralnie.

Dlaczego łatwo o emocje w przypadku branży futerkowej? Pierwszy powód jest czysto psychologiczny: zwierzęta obdarzone futrem budzą u ludzi zawsze ciepłe uczucia. Po drugie – można zagrać ludzką zawiścią, podszytą poprawnością polityczną. Futro to towar luksusowy, na który niewielu stać – i faktycznie ten wątek pojawia się w argumentacji zwolenników zakazu. Niechęć do „elity" i „bogaczy" jest zaś wpisana w narrację PiS od początku rządów tej partii. A jeśli jeszcze są to „bogacze" zagraniczni – tak jak to ma miejsce w przypadku futer – narracja opowiada się sama: źli sadyści zrywają skóry z miłych futrzaków, żeby obrzydliwie się obłowić, opychając je wstrętnym zagranicznym krezusom.

Jednak czemu właściwie eksportowanie futer ma świadczyć przeciwko producentom? Czy branże, które produkują na eksport, są gorsze niż produkujące na rynek krajowy? Czy produkcja dóbr luksusowych ma być zakazana? Kto decyduje, co jest luksusem, a co nim nie jest?

Pojawiają się także argumenty, że futro nie jest niezbędne. Gdyby przyjąć takie kryterium, można by spytać, kto decyduje, co jest zbędne, a co nie. Przecież produktów faktycznie niezbędnych do życia jest dziś na rynku może kilka procent. Na dobrą sprawę nie jest do życia niezbędny np. samochód – wystarczy transport publiczny. A samochód – wiadomo, zatruwa powietrze (chyba że jest elektryczny, ale wtedy środowisko truje elektrownia produkująca prąd). Może więc zakażmy produkcji samochodów? (Wiem, nie powinienem podpowiadać).

Dowodząc, że branża futerkowa jest zbędna, zwolennicy zakazu zajmują się też liczbą zatrudnianych przez nią pracowników (razem z kooperantami i podwykonawcami szacowaną na ok. 50 tys.) czy wielkością odprowadzanych podatków. Te liczby nie powinny jednak mieć żadnego znaczenia i nie ma sensu się na nich skupiać. To zwykłe odwracanie uwagi od istoty sprawy – jeżeli zaczniemy kwalifikować branże do zamknięcia na podstawie tego, czy zatrudniają wystarczająco wiele osób i ile płacą do budżetu, to zaprzeczymy zasadzie wolności gospodarczej. Ważne jest tylko to, żeby daniny były płacone uczciwie.

Dlaczego łatwo o emocje w przypadku branży futerkowej? Bo zwierzęta obdarzone futrem budzą u ludzi ciepłe uczucia

FUTRO A DRÓB

Dla konsumentów ma natomiast znaczenie zależność pomiędzy przemysłem futrzarskim a ceną głównie drobiu. Jego producenci sprzedają bowiem poprodukcyjne resztki właścicielom ferm, którzy produkują z nich karmę dla niewybrednych futerkowców. Jeśli branża futerkowa zniknie, producenci drobiu będą musieli resztki przekazywać firmom utylizacyjnym, nie tylko na tym nie zarabiając, lecz także za to płacąc. Potentatem na rynku utylizacji jest, co ciekawe, firma z Niemiec.

W batalii zwolennicy zakazu posługują się ludźmi, którzy skarżą się na sąsiedztwo ferm. Ich uciążliwość jest różna w różnych okresach – intensywność zapachów zależy od tego, jaka jest pora roku i w jakiej fazie rozwoju znajdują się zwierzęta. Jasne jest, że sąsiedztwo fermy może nie należeć do przyjemnych. Tyle że dotyczy to każdego przemysłowego zakładu hodowlanego. Regularnie oprotestowywane są również chlewnie czy hodowle drobiu. Każdy taki przypadek trzeba rozpatrywać indywidualnie, sprawdzając, czy przedsiębiorca nie naruszył norm środowiskowych i miejscowych planów zagospodarowania. Jednak z pewnością nie jest to argument za skasowaniem całej branży.

Ostatecznie zwolennicy zakazu stwierdzają, że wszystkie powyższe zastrzeżenia zyskują na znaczeniu w koniunkcji z „cierpieniem" zwierząt futerkowych. Nie bardzo jednak wiadomo, dlaczego wyróżniają akurat ten rodzaj hodowli. O zadawaniu cierpienia zwierzętom możemy mówić w przypadku sadystycznych incydentów, gdy intencją sprawcy jest właśnie sprawienie bólu. Jeśli produkcję futer uznamy za zadawanie takiego właśnie cierpienia – a rozemocjonowanym przeciwnikom tejże przedsiębiorcy z branży jawią się właśnie jako skrwawieni sadyści – to dokładnie tak samo powinniśmy widzieć każdy dział rolnictwa, związany z zabijaniem zwierząt, a projektodawcy zakazu powinni ustawowo zrobić ze wszystkich Polaków wegetarian. (Tak, wiem, nie podpowiadać).

W batalii o zakaz hodowli zwierząt futerkowych uderza fanatyzm jego zwolenników. Nie chodzi o to, żeby wymóc na przedsiębiorcach przestrzeganie i tak wyśrubowanych standardów albo wyławiać tych, którzy ich nie przestrzegają (na czym zależy również samym hodowcom – nie chcą mieć złej prasy). Nie ma tu żadnego pola do kompromisu – zakaz nie daje pola do negocjacji.

Projekt ustawy leży na razie w Sejmie. Jego dalszy los będzie probierzem tego, czy dla rządzących ważniejsze są względy ideologiczne i koślawie pojmowany humanizm, czy realny, wymierny interes polskich przedsiębiorców oraz konsumentów.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl c435d7738c

FOT. TOMASZ RADZIK/SE/EAST NEWS

Z Silje Garmo, Norweżką starającą się o azyl w Polsce
rozmawia Olivier Bault

Znalazłam schronienie w Polsce

OLIVIER BAULT: Uciekła pani z kilkumiesięczną córką do Polski przed norweskim urzędem ds. ochrony dzieci – Barnevernet. Dlaczego akurat do Polski?

SILJE GARMO: Pierwszy powód był po prostu taki, że od lat mam bardzo dobrych przyjaciół Polaków w Norwegii, w Niemczech i w Polsce. Po drugie, miałam zaufanie do polskich sądów. Starszą córkę Barnevernet odebrał mi, gdy przebywałam z nią w 2015 r. u mojej rodziny w Hiszpanii. Na bazie kłamliwego zaświadczenia urzędniczki z Barnevernetu norweska policja wydała nakaz aresztowania [przez Interpol]. Wtedy pani z Barnevernetu poleciała do Hiszpanii, mając tylko urzędowe zaświadczenie [o odebranie dziewięcioletniej Frøyi – przyp. red.], a policja hiszpańska jej asystowała. Barnevernet znowu próbował tego samego triku, gdy przyjechałam szukać w Polsce schronienia, ale polska policja zażądała okazania im dokumentów mających moc prawną. Nie doczekała się do tej pory, ponieważ takich dokumentów nie ma, gdyż żaden sąd nie odebrał mi prawa do opieki nad moją drugą córką, Eirą.

Mieszkam teraz na stałe w Polsce, czekając na przyznanie mi azylu. Zgodnie z konwencją haską, której Norwegia jest sygnatariuszem od 2016 r., władny w sprawach opieki nad dziećmi oraz w kwestii praw rodzicielskich jest wyłącznie kraj zamieszkania, czyli w moim przypadku Polska. Pomimo tego władze norweskie wszczęły po moim wyjeździe trzy postępowania w mojej sprawie, łamiąc tym samym międzynarodowe zobowiązania Norwegii. Polska organizacja Ordo Iuris dawno poinformowała w oficjalnym piśmie przesłanym do władz norweskich i polskich o tym, że mój adres zamieszkania znajduje się teraz w Polsce. Jednak władze norweskie unieważniły mój paszport bez podstawy prawnej poza zaświadczeniem z Barnevernetu. Z tego samego powodu zostałam zarejestrowana przez Norwegię jako „zaginiona" w systemie Schengen (SIS).

Nie szukałam schronienia w innym skandynawskim kraju, ponieważ na mocy porozumień między Norwegią a pozostałymi krajami skandynawskimi zostałabym wydana wraz z córką bez żadnej decyzji sądu.

Pani problemy z Barnevernetem zaczęły się, kiedy zgłosiła pani podejrzenia o molestowanie seksualne starszej córki Frøyi przez jej ojca. Miała pani wtedy wyłączne prawo do opieki nad Frøyą po separacji z jej ojcem. Reakcją ojca Frøyi było złożenie donosu na panią do Barnevernetu.

Tak, ojciec Frøyi ma znajomości, a jego adwokat jest byłym członkiem lokalnej rady, która podejmuje decyzje w sprawach odbierania dzieci rodzicom na wniosek Barnevernetu, a na dodatek zna osobiście szefową Barnevernetu w moim okręgu w Oslo. Notabene ta urzędniczka prowadzi też własną prywatną działalność w dziedzinie opieki nad dziećmi. Taki konflikt interesów jest częstą praktyką. Ojciec Frøyi ponownie donosił na mnie do Barnevernetu, gdy dowiedział

eprasa.pl c435d7738c

się, że jestem w ciąży z Eirą. W listopadzie 2016 r. miała właśnie odbyć się rozprawa apelacyjna w sprawie opieki nad Frøyą. Barnevernet od razu zainteresował się moją ciążą, choć zgodnie z norweskim prawem nie może się zajmować sprawą nienarodzonego dziecka. Z dowodów zebranych przeze mnie i przez mec. Jerzego Kwaśniewskiego z Ordo Iuris w czasie jego pobytu w Norwegii wynika, że Barnevernet zażądał od szpitala udostępnienia poufnych danych medycznych dotyczących mojej osoby, co także jest sprzeczne z prawem. Jest jasne, że chcieli odebrać mi Eirę tuż po narodzeniu.

Podobno próbowali, ale im się nie udało.

Urodziłam Eirę przez cesarskie cięcie i nie mogłam jeszcze wstawać. Wtedy pojawili się urzędnicy Barnevernetu. Chcieli zabrać moją córeczkę. Na szczęście lekarze i pielęgniarki nie pozwolili im na to, fizycznie blokując im dostęp do Eiry. Sprzeciwił się też mój adwokat, który przyjechał do szpitala po 10 minutach.

Dlaczego chcieli odebrać Eirę?

Przygotowując się do rozprawy apelacyjnej w sprawie Frøyi, zatrudniłam prywatnego detektywa, byłego szefa policji w Oslo, i zamierzałam przedstawić zebrane dowody świadczące o tym, że podejrzenia o molestowanie seksualne, które wyszły przecież od Frøyi, są uzasadnione. Zebraliśmy też dowody pokazujące nadużycia ze strony Barnevernetu i policji. Rozprawa apelacyjna została jednak przełożona, kiedy Barnevernet rozpoczął postępowanie w sprawie nienarodzonej jeszcze Eiry. Nie mieli podstawy prawnej, żeby mi odebrać Eirę po jej narodzeniu, ale nękali mnie cały czas. Dwa tygodnie przed nową datą rozprawy apelacyjnej, która miała się odbyć w kwietniu 2017 r., Barnevernet zmusił mnie, pod groźbą natychmiastowego odebrania mi Eiry, do zamieszkania wraz z młodszą córką w domu samotnej matki. Uniemożliwili mi stawienie się na rozprawie apelacyjnej, a moja apelacja została w związku z tym odrzucona. To oznacza, że na żadnym etapie postępowania o przydzielenie prawa do opieki nad moją starszą córką Frøyą nie pozwolono mi na stawienie się w sądzie. Frøyę przymusowo repatriowano z Hiszpanii. Nie dano mi możliwości, abym była obecna na rozprawie w sądzie pierwszej instancji, który zadecydował o odebraniu mi prawa do opieki nad Frøyą na rzecz jej ojca – i wbrew woli córki!

Jak mi powiedział detektyw, którego wynajęłam, sprawy Frøyi i Eiry to tak naprawdę jedna sprawa. Postępowanie dotyczące Eiry służyło tylko temu, aby przykrywać nadużycia, które miały miejsce w sprawie Frøyi.

Gdy pani słucham, mam wrażenie, że Norwegia to państwo totalitarne. A w Europie modne stało się od dwóch lat mówienie o łamaniu praworządności w Polsce, a nie w Norwegii.

W moim odczuciu w Polsce bardzo rygorystycznie przestrzega się prawa do prywatności. Norwegia to takie dziwne państwo. Dla większości obcokrajowców to trochę kraj jak z bajki, taki raj na ziemi. Norwegia jest piękna, czysta i bogata. Jednak gdy człowiek zajrzy głębiej, odkrywa mroczne tajemnice. Barnevernet to taka ukryta narodowa tragedia. Myślę rzeczywiście, że w niektórych sferach Norwegia jest jak państwo totalitarne. Problem leży w systemie opieki nad dziećmi. Ten system daje ogromną władzę ludziom bez wykształcenia, gdyż nie potrzeba mieć szczególnych kompetencji, aby pracować w tym urzędzie. Norweskie prawo samo w sobie nie jest może złe, ale Barnevernet nie przestrzega prawa i nie spotykają go żadne konsekwencje z tego powodu. Problemem jest też tchórzostwo norweskich polityków. Kiedy zostałam umieszczona w domu samotnej matki, niektórzy posłowie zainteresowali się moją sprawą. Przyznawali mi, że Barnevernet łamie prawo, jednak dodawali: „Ale co możemy na to poradzić?". Co za hipokryzja! Ci sami politycy nie mieli oporów, kiedy przyznawali ogromną władzę temu urzędowi ds. ochrony dzieci poprzez ciągłe zmiany prawa na niekorzyść rodziców.

Kiedy złożyłam wniosek o azyl w Polsce, w Norwegii się śmiali, ale teraz już nie jest im do śmiechu

Może politycy w Norwegii boją się, że urzędnicy przyjdą też po ich dzieci?

Barnevernet zwykle dobiera się do tych, którzy go głośno krytykują. Jednak to jest też tak, że politycy nie chcą przyznać się publicznie, iż system, który sami stworzyli, skręcił w złą stronę. Dla nich to tak, jakby powiedzieć: „Wiemy od lat o tych wszystkich dzieciach i rodzinach, które są ofiarami państwowego systemu opieki nad dziećmi, i do tej pory było nam wszystko jedno, ale teraz już nie". Dlatego też jestem przekonana, że to się może zmienić dopiero pod presją międzynarodową.

Pani sprawa mogłaby przyczynić się do zmiany tego systemu?

Tak sądzę, ponieważ jestem pierwszą osobą, która wydostała się z Norwegii nie tylko ze swoim dzieckiem, lecz także z całą masą dowodów pokazujących, w jaki sposób tworzy się wymyślone historie tylko po to, aby odebrać ludziom dzieci. Chcieli, abym została im wydana, ale im się to nie udało. Myślę, że się teraz boją, ponieważ nie mogą już na mnie naciskać ani mnie szantażować, a ja mogę mówić swobodnie o tym wszystkim, co mnie spotkało. Zazwyczaj gdy Barnevernet odbiera dzieci rodzicom, grozi im, że jeśli będą o tym głośno mówić, to nigdy już nie zobaczą swoich dzieci. Tak mi też mówiono w przypadku Frøyi. Jednak teraz, gdy jestem w Polsce, nic nie mogą mi zrobić. Dlatego też czuję, że muszę walczyć nie tylko dla siebie i córek, lecz także dla wszystkich dzieci, które padają ofiarą tego okrutnego systemu.

A jeśli otrzyma pani azyl w Polsce, to czy będzie się pani starała o odzyskanie Frøyi tak, aby mogła dołączyć do swojej młodszej siostry przy pani?

Jeśli? Dla mnie nie ma innej opcji niż azyl w Polsce! Tak, moim ostatecznym celem jest odzyskanie Frøyi. To, co się dzieje, jest rażącym pogwałceniem praw podstawowych Frøyi i Eiry. Kiedy złożyłam wniosek o azyl w Polsce, w Norwegii się śmiali, ale teraz już nie jest im do śmiechu. Kiedy dostanę azyl, zamierzam wykorzystać materiały zebrane do postępowania azylowego przeze mnie i Ordo Iuris, aby zaskarżyć Norwegię przed Europejskim Trybunałem Praw Człowieka [gdzie na rozpatrzenie czeka już osiem spraw związanych z działalnością Barnevernetu – przyp. red.].

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

Rozmowa odbyła się 16 stycznia w domu pod Warszawą, w którym pani Silje – Cecylia po polsku – znalazła schronienie wraz z roczną córką Eirą.

eprasa.pl c435d7738c

Klątwa Isabel

FOT. KRZYSZTOF KULCZYK/FORUM

Agnieszka Niewińska

Jednego dnia w poważnej audycji krytykuje rząd, następnego Internet spekuluje, czy krzycząc na byłą żonę, siedzi na sedesie. Kazimierz Marcinkiewicz za sprawą eksmałżonki ma nikłe szanse na powrót do polityki

Idź do pracy, zajmij się czymkolwiek, czymkolwiek! Cokolwiek rób" – filmik z tymi pokrzykiwaniami, który w ubiegłym tygodniu podbijał sieć, to nie motywacyjna mowa popularnego coacha, tylko reprymenda byłego premiera Kazimierza Marcinkiewicza skierowana do byłej żony Izabeli Olchowicz-Marcinkiewicz, znanej jako Isabel. Materiał opublikował „Super Express". Został nagrany w 2013 r., kiedy były premier i Isabel byli jeszcze małżeństwem. – Idź na bezrobotne, zajmij się jakąkolwiek pracą, jakąkolwiek robotą – powtarzał wyraźnie zły na żonę Marcinkiewicz. – Przestań mnie nachodzić, a najlepiej odejdź – skwitował.

Od razu ruszyły spekulacje dotyczące filmiku, bo Isabel nagrała męża w mało medialnym entourage'u. Kazimierz Marcinkiewicz z gołym torsem robi żonie wykład w pomieszczeniu przypominającym łazienkę. „Isabel ujawniła prywatne nagrania GOŁEGO Kazimierza! Siedzi na sedesie…?" – dociekał Pudelek, który poszedł śladem spekulacji internautów. Film komentowały media – od portalu Natemat.pl do „Najwyższego Czasu!". „Super Express" następnego dnia poszedł za ciosem, diagnozując stan Kazimierza i Isabel: – Miłość zamieniła się w niechęć, a nawet nienawiść. Widać, że były premier dał się opanować tym skrajnym emocjom i zawiesił rozum na kołku – komentował psycholog społeczny prof. Zbigniew Nęcki.

„CZYTA SIĘ FANTASTYCZNIE"

Burzliwy związek byłego premiera z młodszą o 22 lata Isabel, którą poznał w hali odlotów, gdy był jeszcze żonatym mężczyzną, to historia sprzed niemal dekady. Rozwód pary trwa już dłużej niż całe małżeństwo. Dlaczego media wciąż drążą temat? – To była taka piękna i taka głośna miłość. Opinia publiczna bardzo kibicowała młodej parze, czy może raczej część opinii publicznej. Małżeństwo byłego premiera z młodym Kopciuszkiem było jednym z najchętniej podejmowanych towarzysko tematów – mówi Sławomir Jastrzębowski, redaktor naczelny „SE". – Teraz ta historia jest pojmowana jako sprawiedliwość kapryśnej, mściwej fortuny lub też przestroga połączona z głębokim współczuciem. Komu w tej sytuacji współczuć, przyznam uczciwie, nie wiem. Natomiast historia czyta się fantastycznie – deklaruje.

Isabel od kilku lat spowiada się „SE" ze związku z byłym premierem.

eprasa.pl c435d7738c

W 2015 r. jej opowieści drukowane były w odcinkach. Opowiadała o początkach znajomości, spotkaniach w Londynie, „olbrzymiej chemii". – Potrafiliśmy cały dzień spędzić razem w domu i nie wychodzić z sypialni – chwaliła się. – W okresie narzeczeństwa szaleliśmy. Był zachwycony, gdy zaprosiłam go na koncert ulubionego zespołu Coldplay. Skakał na koncercie. Był przeszczęśliwy – opowiadała z rozrzewnieniem.

Gdy były premier stracił pracę w Londynie, para wróciła do Polski. – Przestało mu na mnie zależeć. Stawał się coraz bardziej oziębły. Mniej czasu spędzał ze mną, coraz rzadziej rozmawialiśmy. Potem z dnia na dzień wyprowadził się z domu – żaliła się „SE" Isabel.

Tak jak medialny był ich związek, tak medialny był też rozwód. Isabel w sądzie pojawiała się z odkrytym ramieniem i ze specjalnym usztywniającym rusztowaniem, bo po wjechaniu samochodem w barierę dzwiękochłonną ma orzeczenie o niepełnosprawności. Sąd orzekł rozwód w 2016 r., ale nie jest on prawomocny, bo trwa spór o alimenty. Marcinkiewicz ma płacić byłej żonie 5 tys. zł miesięcznie, ale wnosi o obniżenie kwoty. Isabel w tym czasie informuje media, jaki ma u niej dług. – Z tytułu alimentów jest mi winny obecnie 55 tys. zł. Do tego dochodzi 6 tys. zł z podziału majątku – wylicza w „SE" Isabela. Utrzymuje, że toaletowe nagranie to nie jej sprawka. – To bardzo stary film, który krążył gdzieś dawno w mediach, a pojawił się po latach on-line. Przedstawia pewne zachowanie człowieka, nagrane przez przestraszoną tym zachowaniem osobę, która rzuciła miesiąc wcześniej życie w Londynie dla męża, a ten tak jej podziękował i odpowiedział, żeby go nie nachodziła – mówi „Do Rzeczy" Olchowicz-Marcinkiewicz. – Może szkoda, że taki osobnik do rozwodu mi sie trafił – dodaje.

Ujawnione nagranie raczej jej nie zmartwiło. W dniu, w którym tabloid je upublicznił, na Facebooku Isabel zamieściła selfie z promiennym uśmiechem i skomponowanym przez siebie wierszem: „Na tapczanie siedzi leń/ mecze ogląda cały dzień/ nawet koszuli nie wkłada/ natomiast umysłami innych świetnie włada".

KAZ BEZ WYJŚCIA

Były premier o życiu prywatnym rozmawiać już nie chce. Wyjątek zrobił w ubiegłym roku, kiedy to Isabel wydała książkę – o adopcji i depresji – jak zapowiadała, ale najwięcej jest tam o związku z Marcinkiewiczem. Były premier pytany przez Roberta Mazurka w „DGP" o medialny serial odpowiedział: „Mnie to gówno obchodzi! Do cholery, to było osiem lat temu. Ile można do tego wracać?! Ja nie piszę książek, wspomnień, nie opowiadam w telewizji o kulisach małżeństwa, nie wzywam na pomoc brukowców".

– Z sytuacji wizerunkowej, w jakiej znalazł się Kazimierz Marcinkiewicz, nie widzę wyjścia. Po całym medialnym show związanym z opuszczeniem pierwszej żony, po skandalizującej atmosferze wokół związku z młodszą o 20 lat kobietą, trudno temu politykowi prawicy, związanemu niegdyś z ZChN, budować swoją tożsamość, choć stara się to robić, odwołując się do stanowiska byłego premiera i wcielając się w eksperta komentującego życie publiczne z dystansu. Zwłaszcza że te obyczajowe historie wciąż wyciekają do opinii publicznej. Takie obrazy znaczą więcej niż tysiąc słów i są druzgocące dla niego – ocenia Joanna Gepfert, specjalistka w dziedzinie wizerunku. – Weźmy pod uwagę, że zdjęcia z bójki z policją będą ciągnęły się za byłym posłem Przemysławem Wiplerem do końca życia. Od posła Jacka Protasiewicza nigdy nie odklei się przepychanka z celnikiem na niemieckim lotnisku sprzed czterech lat. A nagłośniony w mediach skandal obyczajowy z udziałem Marcinkiewicza to przecież przygoda dużo bardziej rujnująca dla wizerunku – mówi Gepfert. I wskazuje, że to, jak trudno puścić w niepamięć obyczajowe perypetie polityka, obrazuje historia byłego francuskiego ministra Dominique'a Strauss-Kahna.

Były premier o życiu prywatnym rozmawiać już nie chce. Wyjątek zrobił w ubiegłym roku, kiedy to Isabel wydała książkę

Był szefem MFW, kiedy został zatrzymany w Nowym Jorku na pokładzie samolotu Air France pod zarzutem napaści seksualnej na pokojówkę. Został tymczasowo aresztowany. Ostatecznie zarzuty wycofano, ale wtedy oskarżenia o napaść seksualną wobec polityka wysunęła dziennikarka Tristane Banon. Media tygodniami wałkowały sprawę. Ostatecznie prokuraturze zabrakło dowodów. Skandal i tak jednak zakończył polityczną karierę DSK, a był on wskazywany jako mocny kandydat na prezydenta Francji. Dzisiaj we francuskich mediach występuje głównie w kontekście nowych partnerek, nieślubnych dzieci, procesów. – Kolorowe magazyny, tabloidy nie pozwolą uciec od skandalizującego wizerunku osobie, która w nich w taki sposób zaistniała i może dostarczać tym mediom wciąż nowych „gorących" tematów – kwituje Gepfert.

Czekająca na alimenty Izabela Olchowicz-Marcinkiewicz za miesiąc ma wydać kolejną – już trzecią – książkę pt. „Przemyślenia wierszowane". Czy bohaterem będzie były premier? – Żadna z moich książek nie podejmuje tematu związku. Debiutancka książka wspomina związek, jak wpłynął na moje postrzeganie rzeczywistości, relacji itp. Kolejna książka to poszukiwania i odnalezienie NIEZNANEJ – mojej matki biologicznej. Trzecia będzie wierszowana, czwarta o Londynie. Szczegóły zdradzę na moim fanpage'u w odpowiednim czasie – mówi tajemniczo. I choć rok temu zapowiadała w TVN, że chętnie zrezygnuje z nazwiska Marcinkiewicz, to dalej pod nim wydaje swoje książki. – W mocy prawa jesteśmy nadal małżeństwem, łatwiej zrobić to po prawomocnym rozwodzie, którego jeszcze nie ma – tłumaczy. I dopytuje: – Panią interesuje zmiana nazwiska, ale to, że były premier kraju, rzekomo uczciwy obywatel, uchyla sie od wyroku sądu, bo prawo, odpowiedzialność ma za nic, już nie? Ma wobec mnie długi z tytułu alimentów – z powodu mojej sytuacji zdrowotnej – oraz podziału majątku. Pożyczam pieniądze, aby móc funkcjonować.

OSTATNIA DESKA RATUNKU

Kazimierz Marcinkiewicz już w 2009 r. zamknął blog na platformie Blog.onet.pl, gdzie umieszczał osobiste wpisy. Dzisiaj pod dawnym adresem wisi tylko jeden – modlitwa przed wejściem do Internetu za wstawiennictwem św. Izydora. Czy umieścił ją sam Marcinkiewicz? Jedno jest pewne, byłemu premierowi przed wejściem do Internetu pomóc może już tylko modlitwa. Nie wiadomo, co Isabel ma jeszcze w swojej wideotece.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl c435d7738c

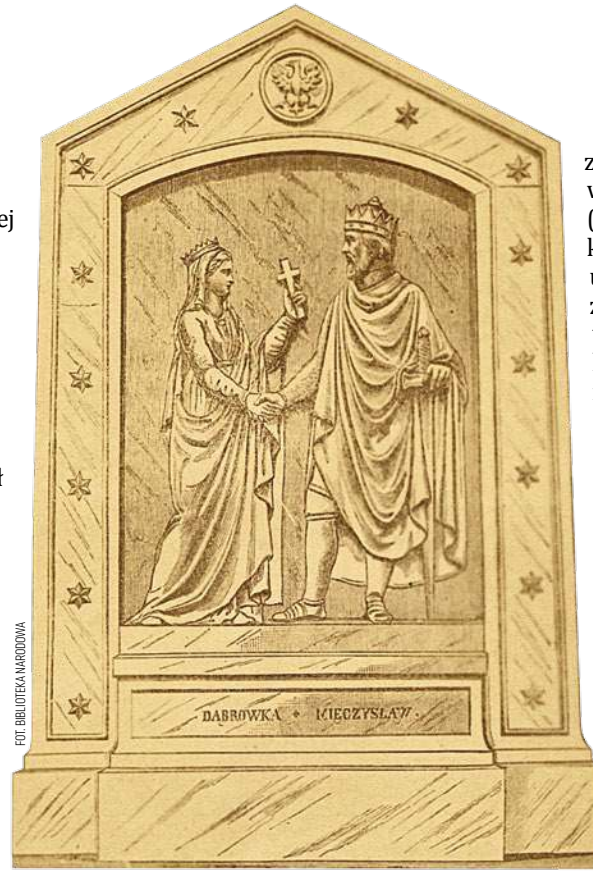

FOT. BIBLIOTEKA NARODOWA

Z Andrzejem Zielińskim, autorem książek historycznych
rozmawia
Tomasz Zbigniew Zapert

Łóżka, trony i korony

TOMASZ ZBIGNIEW ZAPERT: Gdyby nie biegłość Dąbrówki w ars amandi, Mieszko I by się nie ochrzcił?

ANDRZEJ ZIELIŃSKI: Teoria o rzekomej roli Dobrawy w chrzcie Polski była inspirowana wydarzeniami dziejącymi się w 496 r. na dworze władcy Franków salickich Chlodwiga I. Otóż król ten wprowadził wtedy w swoim kraju chrześcijaństwo za namową i… dzięki talentowi w sztuce kochania swojej żony Klotyldy. W uznaniu trudu, który poniosła, Kościół zaliczył ją w poczet świętych. Tę historię znał kronikarz niemiecki Thietmar z Merseburga i przypisał podobną rolę czeskiej żonie Mieszka I. Było to efektowne, lecz nieprawdziwe.

Mieszko I był władcą z ogromnym instynktem państwowym. Doskonale wiedział, że jeśli sam nie przeprowadzi chrztu swego państwa, to będzie ono stale narażone na niemieckie najazdy w imię niesienia krzyża. Wiedział też, że do obrony swojego państwa musi szukać sojuszników. Warto w tym miejscu przypomnieć, że ślub z Dobrawą zapewnił mu militarną pomoc Czechów w wojnach z Lutykami, podczas najazdu Wichmana czy w bitwie pod Cedynią, a przede wszystkim wzmocnienie swojej pozycji wobec margrabiów niemieckich i samego cesarza. Droga do baptysterium była drogą przemyślaną nie w łożnicy, ale dużo wcześniej, na książęcym dworze.

Jan Długosz pisał krytycznie o żonie Mieszka II, ponieważ przewodziła na jego dworze – jakbyśmy dziś określili – niemieckiemu lobby?

W świetle innych zapisów kronikarskich Długosz miał rację. Rycheza, przyjeżdżając do Polski wraz z Mieszkiem II, zderzyła się od razu z inną kulturą, innymi obyczajami, a nawet innym pojmowaniem chrześcijaństwa niż w jej rodzinnym Palatynacie Reńskim. Nie zaakceptowała tego nigdy, nie starała się poznać języka, nie lubiła tego kraju, stąd ten jej niemiecki dwór, niechęć do Polaków. Jednak za wszelką cenę starała się zapewnić koronę królewską swojemu synowi Kazimierzowi Karolowi, dlatego podczas wojny domowej (najazd Bezpryma i Ottona) stanęła przeciwko swemu mężowi i za obietnicę sukcesji Kazimierza wywiozła korony królewskie do Niemiec. Kiedy Mieszko II odzyskał władzę, odsunął ją od spraw dworskich, polecając budować kościoły w Małopolsce. Po skrytobójczej śmierci króla znowu wywiozła odtworzone przez niego korony do Niemiec, jako prezent dla swojego wuja cesarza, a przy okazji ogołociła skarbiec królewski.

Jej krajanką była też małżonka Bolesława Krzywoustego, która nakłoniła go do „testamentu dzielnicowego".

Salomea, hrabianka Bergu, szybko zdominowała męża, któremu imponowała wykształceniem i zapewne urodą (urodziła mu 13 dzieci, z których kilkoro zmarło w dzieciństwie). Nie ukrywała swoich proniemieckich zachowań. Wystarczy stwierdzić, że wtedy najważniejszym klasztorem dla książęcej pary był ten w Zwiefalten, fundacja hrabiów Bergu, do którego wspólnie z mężem słała nieustannie kosztowne dary, a po śmierci polskiego księcia jej doradcą został mnich z tego klasztoru Otto von Stuzelingen. W polskich kronikach zachował się zapis o wizycie w Polsce mnichów z tego klasztoru, którym księżna zezwoliła, aby: „Wybrali sobie ze skarbca w kościele małogoskim dary, jakie chcieli".

Jedna z hipotez dotyczących ustawy sukcesyjnej głosi, że powstała ona właśnie za namową księżnej Salomei, chociaż podają to w wątpliwość jej późniejsze intrygi, mające na celu obalenie tej ustawy i wyeliminowanie z jej zapisu księcia seniora Władysława Wygnańca, syna Krzywoustego z pierwszego małżeństwa.

Połowica Henryka Brodatego została świętą. Jednak chyba nie z racji chodzenia na bosaka tudzież wstrzemięźliwości seksualnej?

Nie tylko wobec Boga, lecz także wobec poddanych Jadwiga von Andechs zachowywała się z jednakowym szacunkiem i pokorą. Bardzo szybko nauczyła się języka polskiego, czyniąc go obowiązkowym na swoim dworze i wymagając go od dzieci oraz wnuków. Organizowała pierwsze w Polsce „białe niedziele", czyli wyjazdy z medykami w różne rejony Śląska, przy okazji wyszukiwała uzdolnionych chłopców, których nakazywała kształcić we Wrocławiu, a potem zatrudniała na swoim dworze. Wprowadziła przy każdym klasztorze obowiązek prowadzenia szpitala i schroniska dla bezdomnych. W latach nieurodzaju nakazywała bezpłatne wydawanie potrzebującym ziarna i mięsa z książęcych zapasów.

Położyła wielkie zasługi w rozwoju osadnictwa na Śląsku. Wspólnie z księciem Henrykiem Brodatym zakładała miasta i osady wiejskie, sprowadzając rzemieślników z Niemiec i Czech.

Nie wszyscy poddani wiedzieli o jej umartwianiu i postach. Natomiast powszechna była o niej wiedza jako naprawdę dobrej pani. Już za jej życia modlono się

eprasa.pl c435d7738c

do niej. Szybko też nastąpiła kanonizacja św. Jadwigi Śląskiej.

Węgierska wybranka Bolesława Wstydliwego swą postawą zapewniła sobie świętość, a mężowi przydomek?

Małżeństwo syna księcia Leszka Białego z węgierską królewną uznano za wielki sukces polskiego księcia Bolesława V. Z wielkim uznaniem przyjęto też bardzo wysoki jak na owe czasy posag, skutecznie rozwiązujący problemy finansowe nowego księcia krakowskiego. Liczono na stworzenie silnej dynastii krakowskiej. Szybko okazało się, że Kunegunda, zwana u nas Kingą, od dziecka była ogarnięta obsesją zachowania dziewictwa. Wszelkie próby namówienia jej na normalne małżeństwo się nie powiodły. Bolesław posag wydał, nie mógł zatem odesłać żony do ojca i zaakceptował to, co się stało szybko tajemnicą dworu. Już współcześni obdarzyli go przydomkiem Wstydliwy, który przetrwał do dzisiejszych czasów. Kinga natomiast wskutek nalegań Jana III Sobieskiego po udanej odsieczy wiedeńskiej została ogłoszona przez papieża Benedykta XIII błogosławioną, a 300 lat później przez papieża Jana Pawła II – świętą.

A jak Kościół mógł wynieść na ołtarze bigamistkę? W konsumpcji związku z Jadwigą pomógł Jagielle papież?

To był największy dramat jednostki w całej naszej historii. Dwunastoletnia dziewczynka zmuszona została do publicznego jednostronnego zerwania zawartego i prawdopodobnie skonsumowanego już małżeństwa oraz poślubienia wskazanego jej wybrańca polskich hierarchów i możnowładców. Cóż z tego, że wcześniej wybrano ją królem Polski? Musiała poślubić wielkiego księcia litewskiego, bo dzięki temu małżeństwu Polskę i Litwę połączyła unia personalna przekształcona później w Rzeczpospolitą Obojga Narodów. Oficjalnie chodziło o chrzest Litwy.

Niemniej było to podwójne małżeństwo Jadwigi, czyli bigamia. Dopiero po dwóch latach od jego zawarcia papież Urban IV oficjalnie uznał ważność tego związku. Nie był on udany. Król do końca życia Jadwigi podejrzewał ją o kontakty z poprzednim mężem, był chorobliwie zazdrosny. Dopiero po werdykcie papieskim Jadwiga zdecydowała się na urodzenie potomka. Zmarła wkrótce po połogu.

Papież Jan Paweł II doprowadził (w 1979 r.) do beatyfikacji, a następnie (w 1999 r.) kanonizacji królowej Jadwigi.

ANDRZEJ ZIELIŃSKI „ŻONY, KOCHANKI, DAMY, INTRYGANTKI. NIEZWYKŁE KOBIETY U BOKU NASZYCH WŁADCÓW”
PRÓSZYŃSKI I S-KA 2017

Matka królów aparycją nie zniewalała...

Elżbieta Rakuszanka cierpiała na skoliozę i lordozę. Miała wyraźnie przechyloną na prawą stronę głowę, nieproporcjonalnie do tułowia długie ręce. Dodać jeszcze trzeba wadę zgryzu, obwisłą dolną wargę, wystające spomiędzy warg górne siekacze... Króla Kazimierza, choć też nie grzeszył urodą, trzeba było długo namawiać do jej poślubienia. Ostatecznie niezwykle się pokochali, czego efektem było 13 dzieci, a królowa doczekała się w historii miana matki królów. Czterech jej synów nosiło królewskie korony, ich potomkowie oraz potomkowie jej córek niegdyś zasiadali bądź dzisiaj zasiadają na tronach Belgii, Niemiec, Szwecji, Danii, Norwegii, Wielkiej Brytanii, Holandii, Luksemburga i Monako. Od przybycia do Polski głównym jej celem politycznym – niestety zniweczonym przez jej synów – było stworzenie europejskiej dynastii jagiellońskiej na skalę Habsburgów czy Hohenzollernów.

Wizerunek Bony utrwalony za sprawą książki Haliny Auderskiej, a zwłaszcza jej filmowej adaptacji w reżyserii Janusza Majewskiego odpowiada prawdzie?

Starannym wykształceniem górowała nad królem i jego doradcami. Jej decyzje były na ogół kontestowane. A to królowej Bonie właśnie, poza pietruszką, zawdzięczamy komasację królewskich gruntów, zakaz rozdawnictwa królewskich ziem, budowę istniejącego do dzisiaj kanału melioracyjnego pod Kobryniem, założenie miasta Zygmuntowo (dzisiaj Augustów), budowę twierdzy Bar, kilku szpitali... Nie spotkały się z uznaniem królewskiego dworu jej dwukrotne próby odzyskania Śląska (nawet za cenę należących do niej księstw Bari i Rossano), a przede wszystkim koncepcja przeniesienia zakonu krzyżackiego w rejony Siedmiogrodu, aby tam walczył z mahometanami.

Dwóch spraw nie mogli w Polsce jej darować. Tego, że papież Leon X nadał jej, kobiecie, prawo odsadzania beneficjów kościelnych w Gnieźnie i w 13 największych polskich miastach oraz elekcji vivente rege, czyli wyboru następnego króla za życia istniejącego. Uznano to za rodzaj zamachu na liberum veto i wolną elekcję.

Barbara Radziwiłłówna, oferując wdzięki Zygmuntowi Augustowi, obdarowała go przy okazji śmiertelną chorobą?

Kiłą, doprowadzającą później do jej śmierci, zaraził Radziwiłłównę jej pierwszy mąż Stanisław Gasztołd, wojewoda nowogrodzki. Sam zmarł również z tej przyczyny. Jednak Zygmunt August zapadł na syfilis we wczesnej młodości – za sprawą Diany di Cordony, dwórki królowej Bony. Było to powodem jego bezdzietności i końca dynastii jagiellońskiej.

Marysieńka, na której cześć peany pisał Boy, poddawała się adoracji Jana III Sobieskiego z wyrachowania?

Rzeczywiście, król był bardziej zaangażowany uczuciowo w tym związku, o czym świadczą chociażby jego listy. Maria Kazimiera d'Arquien okazała się w małżeństwie samolubna i wyrafinowana. On wojował zwykle poza Rzecząpospolitą lub na jej rubieżach, ona rodziła dzieci albo przebywała w Paryżu, lecząc się tam z choroby wenerycznej, którą zaraził ją jej pierwszy mąż Jan Zamoyski, wojewoda sandomierski i kijowski, a którą „obdarzyła” także Jana III. W czasie małżeństwa z królem miała romans z kurlandzkim księciem Ferdynandem Kettlerem. Po śmierci Jana III prowadziła gorszące kłótnie z synem Jakubem o podział królewskiego majątku. Powszechne oburzenie wywołała także jej natychmiastowa próba małżeństwa z hetmanem wielkim koronnym Stanisławem Jabłonowskim, którego początkowo chciano wybrać królem. Kiedy hetman zrezygnował z ubiegania się o koronę, Maria Kazimiera zrezygnowała z niego. Intrygowała przeciwko kandydaturze własnego syna Jakuba podczas elekcji, na której królem Polski wybrano Augusta II Mocnego. Opuściła Polskę w 1699 r. skonfliktowana i z własnymi dziećmi, i z polskim środowiskiem politycznym.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

Andrzej Zieliński – dziennikarz i historyk, autor m.in. książek poświęconych zagadkowym i kontrowersyjnym epizodom historii Polski („Skandaliści w koronach”, „Sarmaci, katolicy, zwycięzcy”).

eprasa.pl c435d7738c

Elegia

FOT. PAWEŁ KRZYWICKI/NEWSWEEK POLSKA/FORUM

Andrzej Horubała

Ta wysmakowana książka składa się z przemilczeń. Półtonów, dotknięć materii, oświetlania punktowym światłem jakiegoś przedmiotu, epizodu wydobytego z odmętów zapomnienia

Marcin Wicha swoje pożegnanie z matką traktuje jako grę z pamięcią: pamięcią kapryśną, zadziwiającą, która przywołuje nagle to, a nie inne zdarzenie, która całe przestrzenie niewiedzy zastępuje wyrazistą anegdotą, a skomplikowane losy pozwala zamknąć w efektownej puencie.

Ton elegijny ujmuje w słowną dyscyplinę, zbliżając niektóre partie książki do ciągu aforyzmów. Tworzy szczególną więź z czytelnikiem. Jego żarty, urywane wątki, nieledwie sygnały ran i obrażeń sprawiają czasem wrażenie zdań wypowiadanych przez człowieka, który z trudem tłumi szloch, który jest na granicy rozpaczy, załamania. Ta lakoniczność, skrótowość, jakby autor mówił ze ściśniętym gardłem, nie oznacza ubóstwa. Przeciwnie: Wicha nasyca swój tekst całym mnóstwem odniesień do literatury, kultury, wspólnej pamięci.

TRAUMY

Ze wspomnień Marcina Wichy, urodzonego w roku 1972, wynika, że w czasach jego młodości rodzina dzieliła już z innymi rodakami los szarych ludzi, którzy musieli mocować się z urzędami, niedoborem towarów, powszechną brzydotą. Anegdoty z PRL – o polowaniu na dziecięcą książkę czy o awanturach z urzędnikami, odtwarzanie taktyki postępowania z administratorami, sprzedawczyniami, nauczycielkami, funkcjonariuszami... Świetnie zestawia Wicha swoją nieporadność z mistrzostwem, jakie osiągnęli w takich potyczkach jego rodzice. Z gracją inkrustuje swe wywody nieoczekiwanymi metaforami, porównaniami. Skrzą się jego historie od błyskotliwych aluzji, celnych puent, uogólnień. Czasem przekracza granice kiczu, tak jak np. we łzawej opowiastce o elektrycznym modelu kolejki wystawionym w Centralnym Domu Dziecka u Braci Jabłkowskich, ale szybko dyscyplinuje się i zdobywa czytelnika błyskawiczną zmianą tematu, szarżą, świetną anegdotą.

Wątek żydowski snuje od pierwszych stron. Wprowadza go z maestrią, pisząc o matce: „[...] miała to, co zacni współobywatele określali jako yhm. Podkreślam: »zacni«. Mniej zacni nigdy nie mieli problemów z wymową.

W ostentacji jej rysów było coś zbijającego z tropu. Miała, yhm, wygląd. Wygląd osoby, która ma, yhm, yhm, pochodzenie. A jakie pochodzenie? – Yhm. Upf.

Powinien istnieć specjalny znak interpunkcyjny. Graficzny odpowiednik skurczu krtani. Przecinek się nie nadaje. Przecinek to klin na złapanie oddechu, a tu potrzebny jest typograficzny węzełek, wybój albo potknięcie”.

Trauma, ciągły cień Holokaustu, geografia getta i świadomość Umschlagplatzu nakładające się na mapę Warszawy. I wielka niezręczność. Niezręczność bycia Żydem w Polsce. Stałe natykanie się na znaki wrogości – czy to w tradycji, czy w codziennych rozmowach. I w tym wszystkim matka autora, z furią rzucająca się na ludzi, którzy często z głupoty czy niewiedzy pozwalali sobie na antysemickie wstawki: „Zrywała się do walki jak przewrażliwiony semicki nosorożec. Rozzłoszczony desygnat niewymawialnego rzeczownika. Bezczelna Stara Żydówa”.

Jakże inna od zdumionych takim zachowaniem babć i ciotek, które przez lata nauczyły się żyć w symbiozie z poczciwie antysemickim otoczeniem. By nie sprawiać kłopotów, by nie naruszać tabu. „Sekretu strzegła cenzura. Na straży trwały dobre maniery. A czasem także uprzejmość. Obyczaje. Kultura, takt. Niechęć do ostentacji”.

Przejmująco punktuje Wicha te zranienia i traumy, także własne. Z „Panem Kleksem” Brzechwy w ręku, a kleks znaczy przecież Żyd, a Brzechwa znaczy Żyd, ćwiczy się w wypowiadaniu tego słowa, które brzmi jak obelga. Jew, Żyd.

Rejestruje różne strategie bycia Żydem tu i teraz, z goryczą przywołuje ciotkę, mistrzynię kamuflażu, wirtuoza milczenia, pochowaną „pod cudzym nazwiskiem, z cudzą biografią”. Przywołuje też scenkę, gdy jako dziecko wychodzi z rodzicami z kina i pyta o okrucieństwo historii:

„– Czy dzisiaj też mogą robić takie rzeczy? – spytałem po seansie.

– Nie – uspokoił mnie ojciec, a po chwili dodał: – Wymyślą coś nowego.

I zachichotał, ponieważ to nie on zajmował się w naszej rodzinie straszeniem”.

Bo trauma wciąż wisiała nad nimi. Nad matką: „– Jedno dziecko jakoś ukryję – mówiła – z dwoma nie dałabym rady.

Snuła geometryczne spekulacje, w których uwzględniła pociąg, peron, tobołek z resztą dobytku, siłę rąk i nacisk tłumu. Tłum napiera, uścisk słabnie, tłum napiera i rozdziela ją z tym hipotetycznym drugim dzieckiem. Albo ze mną. I wszystko to jest czarno-białe jak

eprasa.pl c435d7738c

najwybitniejsze kadry polskiej szkoły filmowej".

Oswaja swą opowieść kipiącą inteligencją, rozbraja patos kulturowymi tropami.

Oczywiście mocno ideologizuje. Niestety. Przytacza anegdotę o ciotce mieszkającej w czasie okupacji po aryjskiej stronie, która wybrała się święcić pięknie przystrojony koszyczek z cukrowym barankiem i pętem kiełbasy: „I nagle na schodach trafiło ją czujne spojrzenie sąsiadki.

– Co to takiego? Pokrojone jajka?

– A moja mamusia zawsze kroiła jajka! – Ciotka zachowała zimną krew i życie".

Piękna mocna puenta: „zimną krew i życie". Czy nie za łatwa?

Wspomina rok 1985 i telewizyjną emisję fragmentów „Shoah" Claude'a Lanzmanna:

„Matka mojej matki obejrzała film i nie powiedziała ani słowa.

Matka mojego ojca była oburzona. Rezonowała telewizyjne oburzenie. Wspierała je, lojalnie zestrojona z oburzonym spikerem. Potem jeszcze wiele razy widziałem takie współoburzenie. Szczere i pełne ulgi, że wreszcie można się przyłączyć do wspólnoty dotkniętych, ogrzać przy bratnim ogniu wspólnego gniewu". I szyderczo potem przytacza argument babki Teofili z czasów okupacji:

„Raz spotkałam na ulicy stróża z kamienicy, gdzie mieszkałam przed wojną. Na pewno mnie rozpoznał. Musiał mnie rozpoznać. A przeszedł obok jakby nigdy nic".

Nie przytacza jednak, bo zaburzyłoby mu to opowieść, historii, którą można przeczytać na stronie instytutu Yad Vashem poświęconej Anieli Cieszkowskiej – Sprawiedliwej wśród Narodów Świata, przyjaciółce, która ukrywała Teofilę Wichę, nie odnotowuje, że wspomagana była przez Żegotę, że i syn Teofili, wujek Jurek, został przerzucony z getta na aryjską stronę i przetrwał wojnę, na podkarpackiej wsi. Idzie Wicha na efektowne skróty, jakby nie chciał komplikować sobie obrazu przeszłości. Lepiej oskarżyć babcię o niezdrową chęć włączenia się w fałszywą solidarność, niż uznać w niej świadka historii.

WNUCZEK, SYN

Opowiada historię swojej rodziny, żydowskiej rodziny, ale czyni to w taki sposób, że czytelnikowi spoza jego otoczenia dopiero ostre poszukiwania pozwalają zrekonstruować ramy, w których się porusza. A przecież ramy te są niesamowite!

Jego siwy, wysoki dziadek, „dawno temu odsunięty od władzy", będący – jak z autoironią pisze Wicha – „jedynym przystojnym mężczyzną w rodzinie", to Władysław Wicha, członek KPP, PPR, PZPR, minister spraw wewnętrznych w latach 1954–1964, do roku 1968 – członek Komitetu Centralnego PZPR. I naprawdę anegdota o nim, jak to w czasach gierkowskich, kontemplując butelkę licencyjnej mirindy skojarzył jej nazwę z obozem Miranda de Ebro, to zdecydowanie za mało. Wicha ucina jednak sprawę i – zdumiewające – na kartach całej książki nie wraca do jego osoby.

Również babcia, Teofila z domu Lewin, „Tetka", działaczka KPP, później funkcjonariuszka w Czytelniku, jawi się tu jako poczciwa starsza pani, która lubiła Marka Nowakowskiego, a teraz załamuje ręce nad jego zaangażowaniem politycznym. Owszem, odnajdujemy ją też przy okazji dyskusji o filmie „Shoah", ale przecież jej postać zasłużyła na wyrazistszy obraz.

Także drugi dziadek, ze strony matki, Jan Zachariasz Rabanowski, pozostaje na kartach książki tajemniczym przodkiem, który się zastrzelił. Naprawdę pragnęłoby się trochę więcej usłyszeć o tym przedwojennym komuniście, potem członku PPR, wreszcie SD, ministrze komunikacji (1944–1951) i łączności (1956–1957).

Dawkuje Wicha wielką historię naprawdę oszczędnie, przemilcza rzeczy i sprawy, które przecież w zupełnie innym świetle ukazałyby rodzinne dzieje, choćby Marzec '68, rzeczywiście katastrofę dla ludzi, którzy wskutek walk frakcyjnych zostali definitywnie odsunięci od władzy. A tak? Ewolucja postaw polskiej inteligencji o żydowskich korzeniach, uwiedzionych komunizmem i instalujących tu sowiecki ustrój, jest ledwie zamarkowana w tej wyrafinowanej książce, która nieprzypadkowo zdobyła Paszport „Polityki".

A i formacja jego rodziców, jej bunt przeciw systemowi, udział w wybuchu Solidarności jest czymś fascynującym.

By zrozumieć, co nam opowiada Wicha, wciąż musimy sięgać do źródeł.

Wzmianka o internowaniu w grudniu 1981 r. brata mamy, Grzegorza Rabanowskiego, znajduje potwierdzenie w archiwach IPN. Postawa opozycyjna ojca, Piotra Wichy – we wspomnieniu pośmiertnym w „Gazecie Wyborczej", gdzie odnotowuje się, że użyczał swej pracowni architektonicznej przy ul. Bagno redakcji podziemnego „Tygodnika Mazowsze".

Zbyt powierzchownie traktuje autor losy pokolenia '68, pokolenia swych rodziców, serwując nam rozdział o ich poszukiwaniu wiecznej młodości, przebiórce z ciuchów Hofflandu na bluzy Cottonfieldu, o „słowach, które ich zawiodły".

NIEWIARA

Z sygnałów, z których utkana jest książka, można odtwarzać bardzo wiele spraw. Obcość czy też odrębność kulturowa, ujęta w lakonicznym passusie: „W następnych latach odkryłem istnienie katolików. To oni mieli copyright do tych świąt. Najwyraźniej obchodziliśmy Boże Narodzenie na pełnym nielegalu".

Nie chodzi tylko o święta. Marcin Wicha jest absolutnym, sterylnym ateistą. Dlatego jego opowieść o odejściu matki, o ceremoniach pogrzebowych, żałobie jest tak wstrząsająca. Autor nie szuka pocieszeń w jakiejkolwiek sferze spirytualnej, nie łudzi się, że duch matki gdzieś może wędruje, że jest ona nad nim, czuwa, że istnieje jako forma jakiejś energii. Ani katolicyzm, ani judaizm, ani żaden nawet New Age. Zwyczajna pustka.

MARCIN WICHA „RZECZY, KTÓRYCH NIE WYRZUCIŁEM" KARAKTER

To, co zostaje po matce, to przedmioty, okruchy wspomnień, wreszcie, przede wszystkim – uformowany przez nią i jej męża – syn. Bo „Rzeczy, których nie wyrzuciłem" wraz z wcześniejszą książką Wichy „Jak przestałem kochać design" (o której za tydzień) to niezwykła, sugestywna autobiografia, swego rodzaju Bildungsroman.

Wspomnienie matki i tego, co wdrukowała w swego syna. Doskonałe, skrótowe przytoczenia jej sarkastycznych uwag, ripost, pieczołowite odtwarzanie lektur, miniesej o długopisach i piórach – prawdziwy hołd dla drapieżnej inteligencji rodziców, którzy uczynili z Marcina tak wnikliwego komentatora rzeczywistości.

I choć książka rozczarowuje nieco w partiach finałowych, w których Wicha – ufny w moc paktu z czytelnikiem – częściowo porzuca swój wyrafinowany styl, to przecież w samej końcówce znów się skrzy, choćby wtedy, gdy na ostatniej stronie czytamy dobrą radę matki: „Od czasu do czasu mówić prawdę prosto w oczy. Nie zawsze, ale na tyle często, żeby się nas obawiali".

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl c435d7738c

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

WIESŁAW CHEŁMINIAK

PRAWDA CZASU, MAGIA EKRANU

Ojczyzna kontra synczyzna

★★★★☆☆

REŻ. URSZULA ANTONIAK „POMIĘDZY SŁOWAMI" HOLANDIA/ NIEMCY/POLSKA 2017

wyst. Jakub Gierszał, Andrzej Chyra, Justyna Wasilewska

Chopin gdyby żył, toby pił. Żeromski nie pisałby zaś powieści o ludziach bezdomnych, tylko o wykorzenionych. Albowiem emigracja to jeden z wielkich tematów polskiej kultury. Właśnie bierze się z nim za bary nowe pokolenie literatów i filmowców. Te zmagania z pewnością zostaną wnikliwie zanalizowane w dziesiątkach prac magisterskich. Mam nadzieję, że ich autorzy nie pominą psychodramy Urszuli Antoniak, która zna sprawę z autopsji, gdyż od 25 lat mieszka w Holandii.

Już pierwsze ujęcie wprowadza nas w odpowiedni nastrój. Przystojniak w garniaku stoi pod ceglanym murem, wciąż pokiereszowanym pociskami, choć od zakończenia wojny minęło 70 lat z hakiem. To nie Warszawa, gdzie dawne blizny już się prawie zrosły, to Berlin. Michał czuje się tu u siebie. Sztukę mimikry opanował do perfekcji. Z wyglądu i zachowania jest bardziej germański od Niemców, po godzinach szlifuje akcent i prawniczy żargon. Robi karierę w korporacji, która ociepla swój wizerunek, pomagając imigrantom.

Z rutyny wybija go wizyta nigdy niewidzianego tatusia. Panowie próbują się zbliżyć, lecz poza nałogiem nikotynowym trudno znaleźć im punkty styczne. Na pierwszy rzut oka Stanisław jest przeciwieństwem Michała. Podstarzały buntownik, bez stałego zajęcia, nawet po kąpieli wygląda nieświeżo. Z niemieckiego zna tylko słowo: Übermensch. Wie, że na europejskich salonach tacy jak on nie mają czego szukać. Juniora weekend spędzony w towarzystwie ojca marnotrawnego pozbawi złudzeń. Zrozumie, jak bardzo jest wyobcowany.

Wybierając aktorów, Antoniak trafiła w dziesiątkę. Gierszał wychował się w Hamburgu, w atmosferze multi-kulti. Niemcem nie został, lecz występuje w filmach kręconych za Odrą prawie tak samo często jak nieodżałowany Leon Niemczyk. Chyrze po „Długu" przepowiadano wielką, światową nawet karierę, lecz on sam wcale się do niej nie palił. Ojców grywa notorycznie. Ostatnio było o nim głośno z przyczyn pozaartystycznych. „Wolę być Europejczykiem niż zaściankowym, zakompleksionym Polakiem" – palnął w jednym z wywiadów. Gierszał staranniej dobiera słowa. Deklaruje się jako wyznawca patriotyzmu apolitycznego, pozbawionego emocji.

Antoniak od publicystyki stroni, jej filmy mają przechył estetyczny. To wystarczy, by zapewnić sobie reputację „twórcy niszowego". Poza tym – bądźmy szczerzy – alienacja i kryzys tożsamości to nie są tematy ściągające do kin miliony widzów. „Jesteś zupełnie innym człowiekiem, gdy mówisz po polsku" – dziwi się niemiecki kolega Michała. Gdyby znał naszych poetów, wiedziałby, że język jest jedyną prawdziwą ojczyzną. ©℗

KINOWA PREMIERA TYGODNIA: „KSZTAŁT WODY"

Połączenie fantastyki z thrillerem z czasów zimnej wojny, ale nie chodzi tu o technologiczne cuda. W tajnym laboratorium trwają badania nad tajemniczą istotą znad Amazonki, człowiekiem amfibią. Del Toro udaje, że to traktat o tolerancji, wytykając ludzką wrogość wobec wszystkiego, co inne. Wychodzi mu jednak romansidło. Cóż z tego, że robi to w charakterystycznym dla siebie, niezwykłym wizualnie stylu, skoro poza stylem nie ma na co czekać. ©℗

Piotr Gociek

- ***„Kształt wody" („The Shape of Water"), reż. Guillermo del Toro, wyst. Sally Hawkins, Octavia Spencer, Michael Shannon, USA 2017***

DO KIN WCHODZĄ TAKŻE:

- ***„Czarna Pantera" („Black Panther"), reż. Ryan Coogler, USA 2018***
- ***„Czwarta władza" („The Post"), reż. Steven Spielberg, USA 2017***
- ***„Żona czy mąż?" („Moglie e marito"), reż. Simone Godano, Włochy 2017***

eprasa.pl c435d7738c

13 gwoździ

Horror w stylu retro. Podupadły lekarz, szukający zapomnienia w laudanum i alkoholu, odzyska płynność finansową, jeśli poświadczy niepoczytalność wdowy po producencie karabinów. Zadanie wydaje się proste. Starsza pani zachowuje się bowiem co najmniej dziwnie. Non stop przebudowuje swoją rezydencję, twierdząc, że chcą tego duchy zastrzelonych. A drzwi do niektórych pokojów każe zabijać gwoździmi. Efektem kolaboracji z zaświatami jest wyjątkowy eklektyzm.

Nareszcie wiadomo, skąd biorą się owe szpecące nadwiślański krajobraz wille zwane gargamelami. Z wyrzutów sumienia, a nie – jak wcześniej sądziliśmy – z fatalnego gustu właścicieli.

Filmów o nawiedzonych domach nakręcono już bez liku. Wystarczy znać jeden, by wiedzieć, że w nocy nie należy zwracać uwagi na podejrzane odgłosy, zaglądać pod łóżko, a zwłaszcza wyprawiać się na strych lub do piwnicy. Bracia Spierig przyjęli jednak założenie, że publiczność nie oglądała dotąd żadnego horroru. W rezultacie „Winchester" zamiast straszyć, przynudza, a momentami nawet śmieszy. „Narzędzie do zadawania śmierci to silny łącznik ze światem pozagrobowym" – mówi Helen Mirren i nawet brew jej nie drgnie. To się nazywa zawodowstwo. ©℗

Wiesław Chełminiak

★★☆☆☆☆

REŻ. MICHAEL SPIERIG, PETER SPIERING
„WINCHESTER. DOM DUCHÓW" („WINCHESTER")
USA/AUSTRALIA 2018

wyst. Helen Mirren, Jason Clark, Sarah Snook

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

PUK, PUK, TU KLOWN PENNYWISE!

Nowa ekranizacja powieści Kinga ma jakość – widać pieniądze, piękne zdjęcia, plenery itp. To nie jest film robiony naprędce, bo rynek wchłonie wszystko. Jednak podczas seansu towarzyszyło mi narastające przekonanie, że czegoś jest za dużo: bombastycznej muzyki, straszenia na siłę, dosłowności. W horrorze często mniej znaczy więcej. Poza tym – nieźle. Świetna małoletnia obsada plus ciekawy Bill Skarsgård w roli monstrum nawiedzającego miasteczko Derry raz na 27 lat, by porywać i mordować dzieci. Dobrą decyzją było także rozdzielenie obszernej książki na dwie części. Film Muschiettiego (reżyser horroru „Mama") opowiada tylko o ponurych przygodach członków Klubu Frajerów w dzieciństwie, zostawiając do sequela konfrontację ze złem, której dokonali w dorosłym życiu. Ważna rzecz została w zgodzie z duchem prozy Kinga: sceny, w których dzieciaki padają ofiarą szkolnych prześladowców, są bardziej przerażające od niejednego spotkania z potworem. ©℗

★★★★☆☆

REŻ. ANDY MUSCHIETTI
„TO" („IT")
USA 2017, GALAPAGOS

wyst. Bill Skarsgård, Jaeden Lieberher, Finn Wolfhard

DOM PRZEGRANYCH

Co zrobić, kiedy przepuściło się pieniądze przeznaczone na studia córki, a obiecane przez miasto stypendium zostało wycofane? Bohaterowie „Domu wygranych" idą za radą uzależnionego od hazardu sąsiada i pomagają mu założyć nielegalne kasyno. Pomysł jak pomysł, ale oprócz niego potrzebny jest jeszcze zgrabny scenariusz, którego niestety nie dostajemy. Po zabawnym początku dalej jest już słabo. Kiedy scenariusz komedii zaczyna uciekać w stronę parodii, wiadomo, że autor ma kłopoty z oryginalnym materiałem. Dobre gagi policzyć można na palcach jednej ręki, dlatego „Dom wygranych" należy do rzadkiej kategorii filmów, które wywołują pierwsze zdrowe wybuchy śmiechu dopiero przy umieszczonych między napisami końcowymi gagach z planu. Żal, bo komiczny potencjał Willa Ferrella i Amy Poehler jest ogromny, tyle że tutaj nie mają nic do zagrania. ©℗ ***recenzuje Piotr Gociek***

★★☆☆☆☆

REŻ. ANDREW JAY COHEN
„DOM WYGRANYCH" („THE HOUSE")
USA 2017, GALAPAGOS

wyst. Will Ferrell, Amy Poehler, Ryan Simpkins

GRA TYGODNIA: „ASSASSIN'S CREED ORIGINS: THE HIDDEN ONES"

Po oszałamiającym graficznie i pełnym smaczków fabularnych „Assa- ssin's Creed Origins" mamy pierwszy z dwóch zapowiadanych dodatków. „The Hidden Ones" („Ukryci") to kontynuacja przygód Bayeka, który tym razem wędruje na półwysep Synaj, aby pomóc lokalnej ludności egipskiej w partyzanckiej walce z umacniającymi swoją obecność wojskami rzymskimi. Chociaż nowy teren działań wygląda równie spektakularnie co pierwowzór, to niestety do pięt mu nie dorasta pod względem fabularnym. Zadania są często powtarzalne, ograniczone do walki z hordami legionistów, historia Bractwa Asasynów naszkicowana pobieżnie. Szkoda. ©℗

Marcin Makowski

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

★★★☆☆☆

- ***Gatunek:*** *TPP/przygodowa*
- ***Platforma:*** *PS4/PC/XONE*
- ***Producent, dystrybutor:*** *Ubisoft*
- ***Klasyfikacja wiekowa PEGI:*** *18+*

eprasa.pl c435d7738c

KRZYSZTOF MASŁOŃ

MOJA PÓŁKA

Nad modrym Dunajem

Po niemal 30 latach od pierwszej lektury powtórnie przeczytałem „Dunaj" Claudio Magrisa, wznowiony obecnie przez Wydawnictwo Literackie, które wcześniej opublikowało najnowszą powieść włoskiego pisarza – „Postępowanie umorzone", a teraz zapowiada jeszcze jego nowy tom prozatorski „Migawki". Dla mnie jednak już na zawsze nazwisko tego autora rodem z Triestu wiązać się będzie z Mitteleuropą, której niezwykły obraz przedstawił w „Dunaju" właśnie, przedziwnej książce będącej połączeniem eseju, powieści i reportażu; książce kapryśnej, urzekającej pięknem języka, błyskotliwością skojarzeń, humorem, ale w wielu miejscach denerwującej swą naiwnością czy też o wiele za daleko idącym „ekumenizmem" politycznym.

Na „Dunaju" odcisnął się też czas, w którym powstawał. Były to wczesne lata 80.; w tej części Europy, o której pisał Magris, zwiastujące schyłek komunizmu i stawiające wielki znak zapytania nad niepewną przyszłością. Dzisiaj mądrzejsi o wiedzę o tym, co wydarzyło się w krajach, przez które przepływa najbardziej europejska z rzek Starego Kontynentu, jesteśmy w stanie rozstrzygnąć przynajmniej część dylematów nurtujących autora. Jednak też wiele problemów w tym czasie wyostrzyło się, a niepewność odnośnie do losów Europy, i to nie tylko jej środkowej części, bynajmniej nie zmalała.

Charakterystyczny jest pod tym względem rozdział, który Magris poświęcił Turkom pod Wiedniem, napisany w kontekście obchodzonej akurat 300. rocznicy oblężenia i bitwy z 1683 r., wsławionej odsieczą Jana III Sobieskiego. W stolicy Austrii urządzono z tej okazji liczne wystawy, m.in. na placu Karola zamontowano wejście do wielkiego namiotu pokrywającego fasadę Künstlerhausu, miejsce głównej ekspozycji obrazującej tamto historyczne, wiekopomne starcie Wschodu z Zachodem.

FOT. TANIA A3/EAST NEWS

„Zwiedzający, który wchodzi do makiety namiotu i sam staje się natychmiast postacią z wystawy – pisał Claudio Magris – czuje się niepewnie, nie wie, czy ma wyobrażać sobie, że jest ofiarą, jednym z tych jakże licznych więźniów prowadzonych jak niewolnicy do namiotów najeźdźcy, czy też napastnikiem, jednym z rycerzy Sobieskiego, którzy przez cały dzień łupili obóz i namiot Kara Mustafy". Trudno nie zwrócić uwagi na znamienne przesunięcie akcentów. W relacji Magrisa obrońcami stają się agresorzy, zaś napastnikami ci, którzy wówczas obronili cywilizację chrześcijańską przed muzułmańską nawałą.

Jednak taki właśnie był cel organizatorów obchodów rocznicy roku 1683. Jakże odmienny od tego, który zafundował wiedeńczykom 50 lat wcześniej kanclerz Engelbert Dollfuss, przez Magrisa określony mianem „społeczno-chrześcijańskiego". Gloryfikował on – czytamy – wyzwolenie Wiednia „w imię swego korporacyjnego i autorytarnego katolicyzmu przeciwstawianego przezeń zarówno nazizmowi, jak i bolszewizmowi. Później, na narodowosocjalistycznym pomniku upamiętniającym zwycięstwo, półksiężyc na sztandarze pokonanych Turków zastąpiła gwiazda Dawida". Oczywiście bez sensu, tak jak bezsensowne było założenie przyjęte pół wieku później, że dla zwiedzających rocznicową wystawę krzyże i półksiężyce, „sznury u kapucyńskich habitów i turbany" będą jednakowo ważne.

A stało się tak z powodów oczywistych. W Austrii, ale przede wszystkim w Niemczech, islam zdominował chrześcijaństwo. Meczety zaczęły wypierać kościoły, a w szkołach pojawiło się więcej dzieci tureckich niż jakichkolwiek innych. Mahometańscy gastarbeiterzy zapuszczali tu korzenie, ale i coraz silniej odczuwali dyskomfort z powodu swego niskiego społecznego statusu. Jeden z napisów pod fotografiami na wiedeńskiej wystawie głosił: „Nasi przodkowie przyjechali tu konno, a my zamiatamy ulice". „Winni – dodaje ten pełen uczciwości, nieszukający łatwego pocieszenia napis – jesteśmy my, a nie Austriacy".

Powiedzmy. Najważniejsze są inne słowa Magrisa: „Zachód upatrujący swój schyłek w zmniejszaniu się liczby urodzin reaguje z niespokojną pychą na skutki społecznego mechanizmu, który sam uruchomił. Możliwe, że zbliża się chwila, gdy historyczne, społeczne i kulturowe odmienności ujawnią gwałtownie niemożność koegzystencji; nasza przyszłość zależeć będzie również od zdolności zapobieżenia wybuchowi tej bomby nienawiści, przekształcenia się ludzi w obcych i wrogów w nowych bitwach pod Wiedniem". Ta chwila z całą pewnością nadeszła, choć gdyby chodziło wyłącznie o Turków, to byłaby to bułka z masłem. ©℗

★★★★☆
CLAUDIO MAGRIS
„DUNAJ"
WYDAWNICTWO LITERACKIE 2018

eprasa.pl c435d7738c

PIOTR GOCIEK

POCZYTANKI

Cynik widzi lepiej

Jest wiele powodów, dla których warto przeczytać książkę Luttwaka. Powód główny to świetny warsztat i wielka wiedza autora, który już w 1968 r. przedstawił sedno zjawiska znanego grubo przed jej opublikowaniem i grubo po nim. Obecne wznowienie (w Polsce – premiera), przejrzane i uzupełnione, nic na aktualności nie straciło. I nie straci, bo jest niemal tak uniwersalne jak „Książę" Machiavellego.

Rzecz jest prowokacyjna. Dowiadujemy się, jakie warunki muszą być spełnione, by można było przeprowadzić udany zamach stanu. Jak zorganizować spisek? Jakie siły i w jakiej kolejności neutralizować? Gdzie użyć przemocy, a gdzie szantażu? Czy najpierw przejmować lotniska czy stacje telewizyjne? Wszystko opisane na przykładach – od Dalekiego Wschodu, przez Afrykę, do Ameryki Południowej. Jednak i ty, Europejczyku, nie śpij spokojnie, wszak w ostatnim półwieczu zamachy stanu zdarzały się i na twoim kontynencie (Grecja, Portugalia) oraz w bliskim sąsiedztwie (kraje Bliskiego Wschodu, Turcja). Udane czy nieudane, Luttwak przygląda im się dokładnie. Autora nie interesują słuszność (czy rząd zasługiwał na obalenie) ani barwy polityczne (czy prawicowy zamach pożyteczniejszy jest od lewicowego). Interesują go mechanizmy.

Uważny czytelnik dostrzeże tu jeszcze więcej. Na marginesie głównych rozważań Luttwak ostro krytykuje naiwną wiarę w polityczne ucywilizowanie islamu. „Niekompatybilność islamu i demokracji – nieustannie negowana przez ludzi o dobrych intencjach, wiecznie potwierdzana w praktyce – gwarantuje istnienie rządów autorytarnych" – zauważa. I podkreśla, że źródło nie leży w sposobie postrzegania polityki, lecz w religii, przedstawianej przez głupców jako „religia pokoju".

Za zbrodnię większą od kolonializmu autor uważa haniebny sposób jego demontażu, to znaczy stworzenie politycznej próżni, która przyniosła wyzwalającym się państwom katastrofę gospodarczą i dekady politycznego zamętu. A kiedy przygląda się uważnie rozmaitym „świętym" antykolonializmu – takim jak Kwame Nkrumah, przywódca rewolucyjnej Ghany – jego ocena jest dużo bardziej trzeźwa niż w łzawych reportażach-laurkach Ryszarda Kapuścińskiego.

Najlepszym sposobem na przeciwdziałanie zamachom stanu jest – przypomina Luttwak – istnienie wspólnoty politycznej. Kto ją rozszarpuje (polecam te uwagi polskiej tzw. totalnej opozycji), ten toruje drogę przyszłym zamachowcom. ©℗

★★★★★☆
EDWARD N. LUTTWAK „ZAMACH STANU. PODRĘCZNIK" PWN 2017

NOWOŚCI KSIĄŻKOWE

Świetna książka jednego z najlepszych znawców tematu, niestety niezbyt znanego w Polsce (przełożono tylko jego „Sowiecką tragedię" i „Lokomotywy historii"). Tymczasem prace Malii godne są postawienia obok książek Richarda Pipesa.

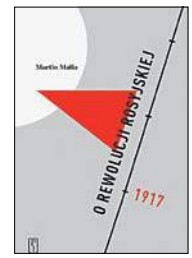

MARTIN MALIA „O REWOLUCJI ROSYJSKIEJ" PIW

Nowe tłumaczenie powieści klasyka rosyjskiej literatury XX w. Antyutopia, groteska, przypowieść filozoficzna i literacki eksperyment zarazem – brutalna i inteligentna rozprawa z mirażem socjalistycznej „lepszej przyszłości".

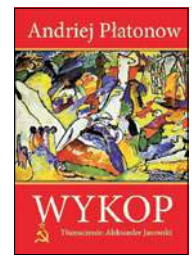

ANDRIEJ PŁATONOW „WYKOP" PSYCHOSKOK

Wszyscy o tym mówią, ale często nie zgadzają się, co naprawdę znaczy. Gdzie jest granica między patriotyzmem a protekcjonizmem i co ma z tym wspólnego rodzina oraz czy jest nam potrzebne euro – objaśnia poznański ekonomista.

ERYK ŁON „PATRIOTYZM GOSPODARCZY" ZYSK I S-KA

„Jak zbudować małżeństwo na całe życie?". To nie jest instrukcja obsługi, to próba odpowiedzi i wezwanie, by zacząć od sakramentu: wzajemnego uświęcenia, wspólnej drogi ku zbawieniu. Wtedy reszta to już tylko przypisy. ©℗ ***poleca Piotr Gociek***

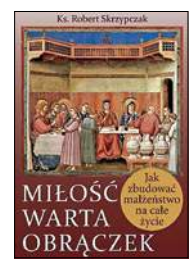

KS. ROBERT SKRZYPCZAK „MIŁOŚĆ WARTA OBRĄCZEK" FUNDACJA INSTYTUTU GLOBALIZACJI

BESTSELLERY KSIĄŻKOWE:

1. ***Beata Anna Dąbrowska „Dieta warzywno-owocowa dr Ewy Dąbrowskiej" (WAM) – zbiór przepisów opartych na popularnej diecie, autorka jest synową lekarki.***
2. ***Harlan Coben „W domu" (Albatros) – 11. tom serii o Myronie Bolitarze, rozpoczętej w 1995 r. bestsellerową powieścią „Bez skrupułów".***
3. ***Zygmunt Miłoszewski „Jak zawsze" (WAB) – skrzyżowanie political fiction i romansu, niestety poniżej poziomu cyklu o komisarzu Szackim.***
4. ***Pani Bukowa „Wielki ogarniacz życia" (Flow Books) – w czasach terroru poradników musiał się pojawić i antyporadnik. Generalnie chodzi o to, żeby się nie przejmować.***
5. ***Dan Brown „Początek" (Sonia Draga) – piąta powieść serii o Robercie Langdonie, której najbardziej znaną częścią był „Kod Leonarda da Vinci".***

(Najchętniej kupowane książki w sieci Empik od 1 do 21 stycznia 2018 r.)

eprasa.pl c435d7738c

JAN POSPIESZALSKI

KONTRA/BASEM

FOT. FOTOLIA

Radiofonia polska – muzyka obca

Proceder korumpowania szefów stacji radiowych przez wytwórnie płytowe w celu promowania swoich utworów jest stary jak radio. Ameryka co jakiś czas wstrząsana jest skandalami korupcyjnymi. Głośna sprawa sprzed lat, kiedy wytórnia Sony BMG Music Entertainment musiała zapłacić grzywnę 10 mln dol., nie była wcale jedyną.

Historia przypomina troszkę zabawę w policjantów i złodziei. Kongresmeni, walcząc z tymi praktykami, wymyślają nowe regulacje, sprytni marketingowcy wytwórni uczą się je obchodzić, aby mieć wpływ na radiowe playlisty. Korupcyjny proceder kwitnie i jest tak powszechny, że w Stanach ukuto nawet specjalny termin – „Payola".

Czy Polska wolna jest od podobnych przestępczych praktyk i czy polskie publiczne radio odporne jest na działanie takich „mechanizmów"? Wystarczy włączyć np. radiową Trójkę, a okaże się, że dominują zagraniczne przeboje. Polskie rozgłośnie ustawowo powinny emitować rodzimą twórczość, ale wymóg ten łatwo obchodzą. W prime timie, czyli w porze najlepszej słuchalności, grane są prawie wyłącznie kawałki anglosaskie, natomiast polska muzyka upchnięta jest w nocy. Trójka, bez żenady przyznając się do tego, zrobiła nawet specjalny dwugodzinny blok bez muzyki anglosaskiej... Pewnie dla stróżów nocnych, od drugiej do czwartej nad ranem.

Raport producentów ZPAV sporządzony na podstawie monitorowania ramówek 74 stacji radiowych ogólnopolskich i lokalnych oraz 11 kanałów telewizyjnych dowodzi, że jesteśmy rynkiem zbytu dla zagranicznych koncernów muzycznych. Obecność utworów polskich wykonawców w zestawieniu 50 najczęściej granych kawałków wynosi... siedem.

Takie miejsce dla naszych artystów wyznaczają spece od repertuaru. Dzieje się to w chwili, gdy pokolenie młodych twórców zaowocowało fantastycznymi talentami, ale jakoś tak się dziwnie składa, że w polskim eterze dla nich czasu nie będzie. ©℗

GRZEGORZ BRZOZOWICZ

NA SŁUCH

A gdzie uczucia?

Osiem dni temu Justin po raz trzeci wystąpił podczas przerwy w meczu o Super Bowl. W 2004 r. wokalista zerwał z Janet Jackson górną część stroju, odsłaniając pierś partnerki, co skończyło się gigantycznym skandalem.

Tegoroczny koncert w przerwie meczu gwarantował wielką promocję piątego albumu 37-letniego gwiazdora. 30 sekund telewizyjnego czasu reklamowego kosztowało aż 5 mln dol.! Justin miał 20 minut na występ i tym razem wszystko przebiegło według planu.

Każda płyta Timberlake'a brzmi perfekcyjnie. Przy tej pracowało aż pięciu producentów. Najwięcej utworów wyszło spod rąk stałych współpracowników wokalisty – duetu The Neptunes. Tyle że nawet najlepsi mistrzowie studia nagraniowego nie pomogą, jeśli w materiale nie ma iskry Bożej.

Otwierający album singlowy „Filthy" to kawał perfekcyjnego tanecznego popu, ale kolejne dwa nagrania prezentują czyste studyjne efekciarstwo. Mimo że z każdą piosenką podróżujemy wraz z różnymi rytmami, jakie Justin pamięta z rodzinnego Memphis, to wieje nudą. Lepiej wypada „Say Something" zaśpiewana w duecie z Chrisem Stapletonem. Kolejnych sześć nagrań to czysta popowa wata wyprodukowana za milion dolarów. I dopiero kończąca album poświęcona synowi Silasowi funkowa ballada „Young Man" ma w sobie odrobinę prawdziwych emocji. Dodam, że imię dwulatka znaczy właśnie Man of the Woods. ©℗

★★★★★

JUSTIN TIMBERLAKE
„MAN OF THE WOODS"
RCA

★★★★★

CRAIG DAVID
„THE TIME IS NOW"
SONY

Debiut „Born to Do It" sprzed 17 lat zapowiadał wielki talent. Tym bardziej pierwsza od 11 lat płyta Brytyjczyka z premierowym materiałem rozczarowuje. Głos wciąż piękny, ale na tle elektronicznych podkładów nie wywołuje dawnych emocji. ©℗

★★★★★

CALEXICO
„THE THREAD THAT KEEPS US"
CITY SLANG

Dziewiąty album romantyków ze sceny alternatywnej, którzy łączą meksykański melos, afrykański groove i country'owy lot. Płyta o przesłaniu „Miłość w epoce skrajności" zawiera do tego zadziorną trąbkę, organy Farfisa i gitarę graną przez „kaczkę" (efekt wah-wah). ©℗

eprasa.pl c435d7738c

REKLAMA

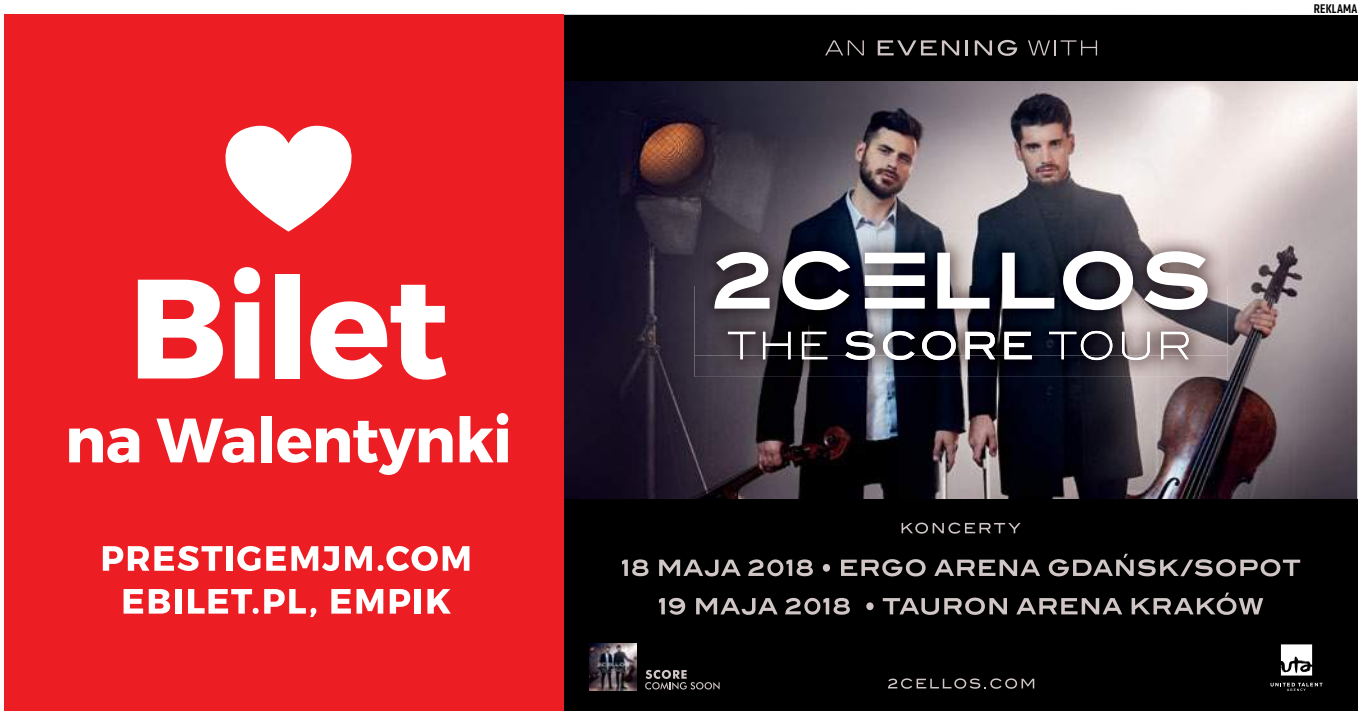

REKLAMA

eprasa.pl c435d7738c

Na Walentynki

Róża

[WSZYSTKIM ZAKOCHANYM]

Grafika Eugeniusza Geta Stankiewicza do poezji Rilkego (1991) i obraz Salvadora Dalego „Refleksyjna róża" (1958)

A. Asnyk: *„Ach ta róża! Ach ta róża, co się w twoje okno wdziera! Na pokusy mnie wystawia, sen i spokój mi odbiera".*

Waldemar Łysiak

Tradycja zobowiązuje. Od paru już lat honoruję Dzień Zakochanych prezentując na łamach ***„Tygodnika Lisickiego"*** swoiste godła (logo) par, które się mają ku sobie w sposób niemodny/niepostępowy/niesalonowy, czyli heteroseksualny, wyklęty dziś przez politpoprawność. Rok temu dałem jednorożca, dwa lata temu łabędzia, itd. Dziś czas na różę, ladies and gentlemen, meine Damen und Herren, darogije towariszczi. Na kwiat, o którym sądzicie, że go dobrze znacie, lecz za chwilę wybiję Wam z głów tę pewność. Bogactwo konotacji literackich, artystycznych, filozoficznych, historycznych, politycznych, duchowych i materialnych, seksualnych i funeralnych róży to istny Sezam. Nie dam rady odsłonić Wam całego, głównie wskutek godnego ubolewania sknerstwa RedNacza, który znowu (ciągle się na to skarżę) nie dał mi całego numeru dla tego artykułu.

KRÓLOWA KWIATÓW

Jeden ze starorzymskich mitów, utrwalonych w epice średniowiecznej, mówi, iż swą nazwę, swą koronę i swe znaczenie (głównie miłosne) róża zawdzięcza legendarium tyczącym Diany, bogini łowów, tudzież Flory, bogini kwiatów wiosennych. Dianę gniewało, że Amor, bożek miłości, kocha najpiękniejszą nimfę, Rozalię,

eprasa.pl c435d7738c

François Boucher, „Diana po kąpieli", 1742

zamordowała ją więc, podczas snu Rozalii w cieniu krzaka ciernistej tarniny. Krew nimfy obryzgała i Dianę (ta musiała wziąć kąpiel), i tarninę, która nazajutrz zakwitła pięknymi purpurowymi kwiatami, mającymi — podobnie jak tarnina — łodyżki pełne kolców. Od imienia nimfy kwiaty te nazwano różami (rosae).

Z kolei średniowieczne podanie mówi, że lubiąca się stroić kwieciem Flora, pielęgnując swój kwietny ogród, miała ciągły ból głowy z powodu sporów między kwiatami, które kłóciły się o to jaki kwiat winien wieńczyć ich panią. By zakończyć te awantury urządziła konkurs i na pomoc wezwała swego przyjaciela, Zefira. Zefir, najłagodniejszy z synów boga wiatrów, Eola, był wietrzykiem sprzyjającym wzrostowi kwiatów, często zalecał się do nich, a one kochały go. Ułożył na wielkiej polanie wszystkie rodzaje kwiecia, przyprowadził tam Florę (której wcześniej zawiązał oczy przepaską), postawił boginię w samym centrum polany, wręczył jej długi pręt, kilka razy ją obrócił i zażądał, by po omacku wskazała kwiatek. Wskazanym kwiatem okazała się róża, co wzbudziło płacz innych kwiatów. Odtąd Flora stroiła się już tylko różami, a inne boginie (Wenus, Terpsychora, Erato) robiły tak samo, zgadzając się, że róża jest kwiatem najpiękniejszym. Formalny tytuł *„królowej kwiatów"* przyznała róży bogini miłości: Wenus/Wenera. Nie bez przyczyny Sandro Botticelli w swych sławnych **„Narodzinach Wenus"** ukazał fruwające wokół bogini pąki róż.

Królewski prymat róży wśród kwiatów sławiono rymem od Starożytności. U nas (Zbigniew Herbert wierszem **„O róży"** zapewniał, że *„słodycz ma na imię: róża"*) i u cudzoziemców. Niżej jeszcze dwa przykłady polskie. Daniel Naborowski (pierwsza połowa stulecia XVII) unosił się w wierszu **„Róża"**:

„Róża, kwiat z kwiatów, insze kwiatki
tak przechodzi,
Jak się wyżej nad zwykłe wierzby
sosna rodzi.
Wtenczas, gdy róża kwitnie, wszystek
świat się śmieje,
Ziemia szatę odnawia,
zielenią się knieje".

Jadwiga Hoesick–Hendrichowa (pierwsza połowa stulecia XX) w wierszu **„Róża i różyczka"**:

„Jestem królową kwiatów nazwana,
Jam najpiękniejsza z ogrodu całego,
Swoim zapachem zachwycę każdego
Nocą, jak również w wieczór czy z rana".

Będąc królową wskutek bycia najpiękniejszą — róża automatycznie stała się bohaterką uniesień poetów (i tych średnich, jak Maria Pawlikowska–Jasnorzewska, i tych wielkich, jak Rainer Maria Rilke), a także metaforą superurody niewie-

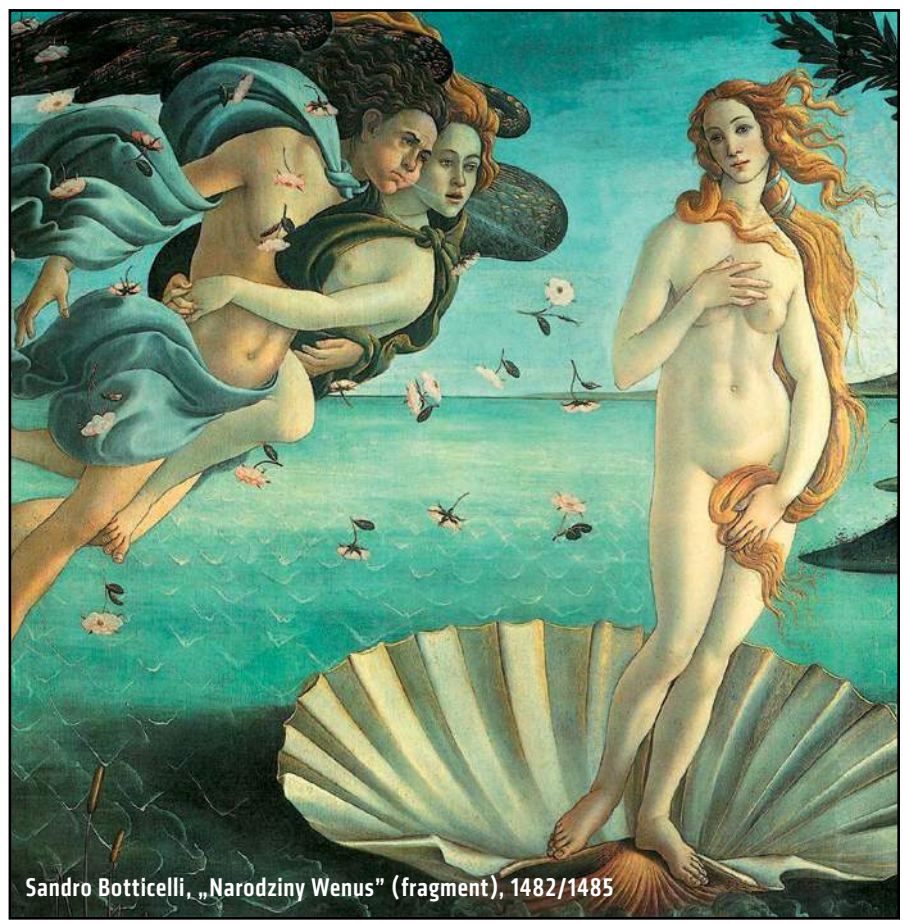
Sandro Botticelli, „Narodziny Wenus" (fragment), 1482/1485

eprasa.pl c435d7738c

ściej (*„piękna niczym róża”*). Jan Czeczot (pierwsza połowa XIX wieku):

„U prząśniczki siedzą
Jak róża dzieweczki,
Przędą sobie przędą,
Jedwabne niteczki”.

A będąc kwiatem bogini miłości, Wenery, musiała stać się (we wszystkich epokach) kwiatem zakochanych — mężczyzna wręczający kobiecie różę wyznaje swą miłość. Lecz czy każdą różę? Nie, tylko czerwoną bądź intensywnie różową.

KOLORY RÓŻ

Róża (łac. Rosa) kwitnie głównie w czerwcu (nieliczne gatunki zaczynają w maju). Łatwość krzyżowania gatunków róż dzikich i szlachetnych sprawiła, że dziś znamy blisko 200 gatunków o rozmaitych nazwach (m. in. róża damasceńska, francuska, burgundzka, burbońska, alpejska, indyjska, bengalska, chińska, herbaciana, piżmowa, mchowa, cynamonowa, jabłkowa, królewska, kapucyńska, fałdzistolistna, stulistna, etc.). W Polsce mamy też różę polną i około 20 gatunków róż dzikich. Nazwy są ważne dla akademików, lecz nie dla amantów i poetów; Mickiewicz traktował je jako drugorzędne:

„Co po imieniu? Róża,
choć nazwisko zmieni,
czyliż się mniej powabnym
kolorem rumieni?”.

Wiadomo, iż czerwona róża rumieni się miłośnie (o czym później), natomiast symbolika/metaforyka innych popularnych (powszechnie znanych) kolorów róż jest rozpoznawana słabo. Jeszcze sto lat temu ta wiedza była dużo większa dzięki tzw. *„zabawom towarzyskim”*. W stolikowych grach towarzyskich z użyciem drukowanych hasełek zamiast kart (takich jak choćby wydany przez krakowską księgarnię S. Taffeta tuż po I Wojnie Światowej **„Najnowszy Flirt Salonowy czyli Tajemna Rozmowa Kwiatów. Najmilsza towarzyska zabawa wywierająca magiczny wpływ na serca”**) grały ważną rolę róże kilku kolorów, nie tylko czerwone. Jednak symboliczne interpretacje tych barw często się różniły, także u wróżbitów, istniały bowiem rozmaite *„szkoły”* ich tłumaczenia. Weźmy przykładowo róże żółte. Według jednych pytają: *„czemu nie chcesz kochać?”* albo: *„czy miłość twoja jest szczera?”* (to pytanie wziąłem z przedwojennego wydawnictwa perfumerii dr. Drallego **„Co kwiaty mówią?”**), według drugich obiecują *„tylko przyjaźń”*, według trzecich symbolizują zdradę. Jerzy Machlejd (JAM) w dziełku **„Mowa kwiatów”** (1927):

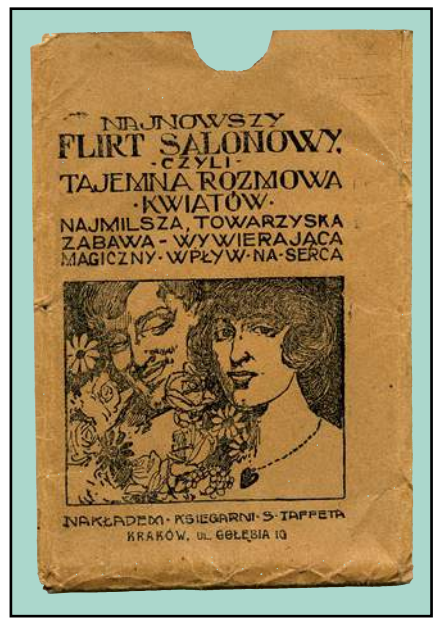

„Żółta róża znakiem zdrady,
Zgryzot, smutku jest przyczyną.
Nie pomogą dobre rady,
Dni wierności szybko miną”.

Podobnie róża biała. Według jednych symbolizuje *„czyste uczucie platoniczne”*. Według drugich głosi: *„jestem wart kochania”* (Adam Asnyk: *„najsłodsze serca sny kreśliłem na listku białej róży”*). Trzeci mówią, że oznacza nieśmiałość. JAM:

„Gdy nie śmiesz wyznać miłowania,
Gdy miota tobą tysiąc burz,
Nic nie mów, tylko dla wyznania
Ofiaruj bukiet białych róż”.

Można tu dawać różne przykłady. Np. róża fiołkowo–błękitna symbolizuje wyrafinowanie. Zaś tzw. róża jerychońska (pustynna roślina z terenów Maghrebu i Bliskiego Wschodu) to oddanie. Juliusz Słowacki na kartach **„Króla–Ducha”** pisał o wieszczu:

„A budził wiarę, która świętym służy,
W pomoc cudownej jerychońskiej róży”.

Tenże Juliusz na kartach **„Beniowskiego”** wyznawał, że przygnębienie każe mu marzyć o różach czarnych. Gdy miał lepszy nastrój — marzył miłośnie o czerwonych, *„krasnolicych”*:

„Ledwo słońce na wschodzie odsłoni swe lica,
Ledwo spojrzy po cichej, samotnej dolinie,
Mgła się mieni w łzy róży i na kwiaty spłynie,
Chyli się pod perłami róża krasnolica”.

Jedni zwali ją niegdyś *„krasną”* lub *„krasnolicą”*, inni *„purpurową”* (Leopold Staff wołał: *„Purpurowa ekstazo róż!”*), jeszcze inni *„szkarłatną”* lub *„pąsową”* lub *„krwistą”* — a każdemu z nich chodziło o czerwone róże dla ukochanej, takie, jakie w Dniu Walentynek dostawać winny

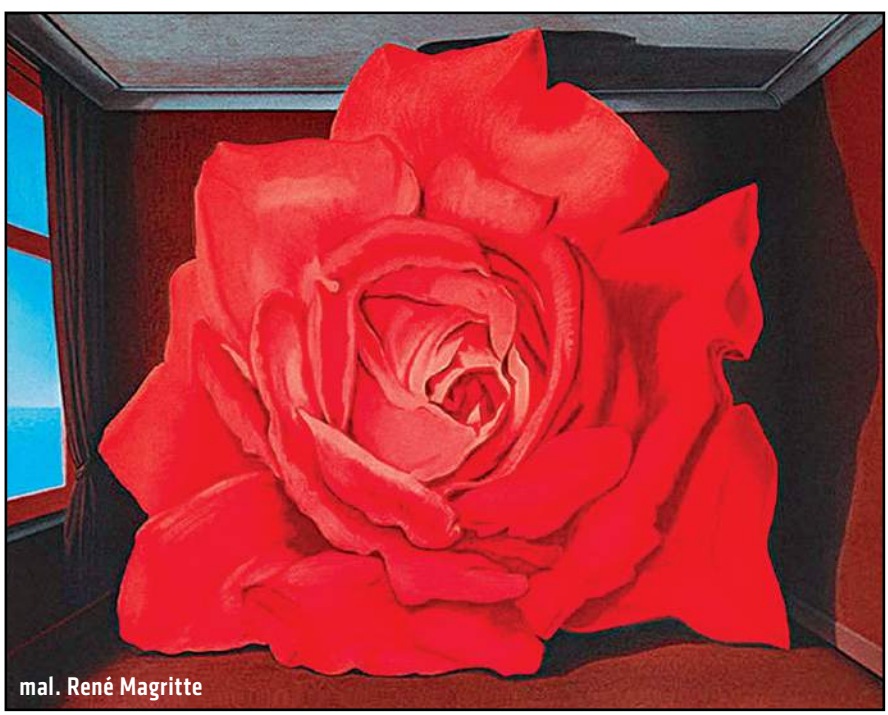
mal. René Magritte

eprasa.pl c435d7738c

wszystkie dziewczyny i kobiety darzone uczuciem przez chłopców i panów.

MIĘDZY PĄKIEM A KOLCEM

Czerwona róża według jednych krzyczy: *„kocham cię gorąco!”*, a według drugich oznacza *„miłość na wieki”* (według trzecich to jest to samo, lecz chyba niekoniecznie). JAM (**„Mowa kwiatów”**):

„Róża czerwona jak krew
Płomienne uczucie znaczy,
Zapomnij o rozpaczy,
Miłości świętej to zew”.

Z kolei różowa to pono *„elegancja i wdzięk”*, choć inni twierdzą, że to ślubowanie miłości. JAM:

„Królowa kwiatów, gdy różowa
Jest miłości ślubowaniem.
Taka bywa serca mowa,
Gdy szczęśliwe jest kochaniem”.

O tym szczęściu kochania wierszokleci nieraz jęczeli używając metaforycznie róż. Hajota (Halina J. Pajzderska):

„Kochaliśmy się... Ach któż nie wie
Co to jest miłość, rajskie słowo,
Gdy na zielonym życia drzewie
Zakwitnie różą purpurową?”.

Lecz któż z kochających nie wie, że róże mają też kolce oprócz płatków? Wydany w Krakowie nakładem oficyny Friedleina elementarz kwietny Antoniny Jachowiczowej (**„Abecadło polskie z kwiateczkami dla dzieci lubiących takowe pielęgnować”**, 1840): *„Słusznie róża jest zwana królową kwiatów, szkoda tylko, iż ma kolce, ale to po temu zapewne, by nas ostrzegała, że częstokroć w życiu znajdujemy przykrości tam, gdzie się najmniej ich spodziewamy”*. Franciszek Karpiński, poeta ery Stanisławowskiej, tęsknił do *„róż bez kolców”*, czyli do dam nie raniących partnera. W przeciwnym razie gorycz rozłąki ma się gwarantowaną. Maria Bartus:

„Ach, polecieli w strony dwie
Wiecznego rozłączenia!
A z róż opadłych został się
Cierniowy krzak wspomnienia”.

Ta ciernistość róż miewa wszelako uzasadnienie — Jadwiga Hoesick–Hendrichowa przemawiająca jako róża:

„Bardzo ostre kolce dostałam dlatego,
Bym kwitła dla znawcy, a kłuć mam innego.
O płatkach i kolcach przysłowia budują,
Do szczęścia i cierpień różę porównują”.

Skaleczeni różą pocieszają się wizjami róż nowych — Kazimierz Gliński (XIX/XX w.):

„Może ciebie róże smucą,
Że uwiędły już?...
Wróci wiosna, kwiaty wrócą,
Wróci chwila róż!”.

Na koniec, u schyłku życia, przychodzi czas bilansu. Marian Gawalewicz (pierwsza połowa wieku XX):

„Miewałem chwile dzikich burz,
Wichrem mnie gnały losy —
Miewałem wiosny pełne róż,
I pełne gwiazd niebiosy”.

RÓŻANA HISTORIA

Zostawmy róże w ludzkim życiu, zajmijmy się teraz różami w Historii. Biblia mieni Jerycho miastem palm i róż. Na terenie starożytnych imperiów (Egipt, Chiny, Grecja, Rzym) uprawiano róże jako rośliny ozdobne i olejkodajne. Podczas święta umarłych Rzymianie antyczni zdobili różami groby swoich familiantów. Dlatego zwano ten dzień: *„Rosalia”*. Z kolei we Francji nowożytnej *„Rosaliami”* vel *„Świętem Róży”* zwano uroczystość ludową, której początek sięgał Ludwika XIII (pierwsza połowa XVII wieku). Obchodzono tę fetę 8 czerwca (dzień św. Medarda, rzekomego pomysłodawcy) we francuskiej wsi Salency pod Nijon (departament Oise). Miejscowy możnowładca prowadził najskromniejszą i najpracowitszą dzieweczkę do kościoła, a później do swego zamku, by tam ją obdarować i uwieńczyć różami jako Królową Róży (*„La Rosière”*). Następnie inicjował wielką ucztę, tańce, igrce tudzież sportowe zmagania młodych junaków. Inne miasta francuskie (a także z sąsiednich

mal. René Magritte

akwarela J.–A. Merciera „Średniowieczna dama z różą”

eprasa.pl c435d7738c

Peter Paul Rubens i Jan Breughel, „Madonna w girlandzie z róż", 1618/1620

krajów, szwajcarskie czy nadreńskie) kopiowały ową fetę różaną. Bywały również słowiańskie *„Rosalia"*, z koronowaniem najskromniejszej dziewczyny na Królową Róż, ale Kościół zwalczał tę tradycję jako pogańską. Jedynie w Rosji i u południowych Słowian przetrwała aż do pierwszej połowy XX wieku.

Co nie znaczy, że Kościół negował róże jako takie. Przeciwnie: z wieńcami róż prezentowano św. Dorotę męczenniczkę, św. Joachima (ojca NMPanny) i samą Madonnę, czego pierwszorzędną ekspozycją są dzieła Rubensa oraz innych Flamandów. Od wieku XI lub XII papieże rozdawali jako splendor Złotą Różę (wykonany ze złota krzak róży) miastom, korporacjom, monarchom, książętom panującym i magnatom, zwłaszcza tym, którzy wzięli udział w rzymskich uroczystościach *„Dominica in rosa"*. Róża ta była poświęcana przez papieża w czwartą niedzielę Wielkiego Postu (*„Laetare"*). Pierwszy nadał ją Leon IX albo Innocenty IV. Pierwszym polskim królem, który ją otrzymał, był Kazimierz Jagiellończyk — od papieża Mikołaja V w 1448 roku. Po kilku wiekach papiestwo wręczało Złotą Różę już tylko małżonkom monarchów; spośród polskich żon królów dostały ją Anna Jagiellonka (żona Stefana Batorego), Anna Austriaczka i Konstancja (żony Zygmunta III Wazy), Maria Ludwika (żona Władysława IV Wazy), Eleonora (żona Michała Korybuta Wiśniowieckiego), Maria Kazimiera (żona Jana III Sobieskiego) i Maria Józefa (żona Augusta III Sasa). I tylko ta ostatnia Złota Róża przetrwała w zbiorach polskich — w skarbcu katedry wawelskiej. Łącznie polscy władcy i ich małżonki otrzymali 11 Złotych Róż. Zwyczaj ten przetrwał do czasów współczesnych (np. królowa włoska, Helena, została uhonorowana Złotą Różą w 1937 roku).

Także od Średniowiecza stała się róża godłem herbowym rycerstwa i możnych rodów. U nas herb Doliwa miał trzy czerwone róże na herbowej tarczy, herb Rola różę białą, herb Mieszaniec dwie białe róże, herb Włoszek cztery białe róże, herb Ramult pięć białych róż, a był też herb Róża z kilkoma różami. Trzydziestoletnia (1455–1485), niezwykle krwawa angielska Wojna Róż (vel Wojna Dwóch Róż) o tron wzięła swą nazwę z herbowych tarcz przeciwników, walczyły bowiem ze sobą dwie młodsze linie andegaweńskiego rodu Plantagenetów: Yorkowie (ich herbem była biała róża) i Lancasterowie (róża czerwona). Padło ponad milion (!)

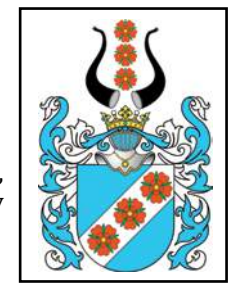

Henry Paine, „Zwaśnione wojennie białe i czerwone róże rodu Plantagenetów", 1908

eprasa.pl c435d7738c

Anglików (w tym większość szlachty, której przetrzebienie dało promocję mieszczaństwa), a dom Plantagenetów tak się wzajemnie wysiekł (ponad 80 książąt i mnóstwo krewnych), że właściwie przestał istnieć, wskutek czego tronem zawładnął dom Tudorów.

RÓŻA I KRZYŻ

Wielbiciele *„spiskowej teorii dziejów"* kochają różokrzyżowców tak samo jak masonów, Klub Bilderberg oraz inne stowarzyszenia mniej lub bardziej tajne. Sekretny zakon Róży i Krzyża działał od drugiej dekady XVII wieku we Francji (*„Fréres de la Rose–Croix"*) i w Niemczech (*„Rosenkreuzer"*), choć szerzył swą legendę późnośredniowieczną, wedle której założycielem miał być niemiecki mnich XV–wieczny Christian Rosenkreutz, czarownik czerpiący swą wiedzę od magów Egiptu i Wschodu. Prawdziwym założycielem bractwa był wirtemberski teolog Johann Valentin Andreä, autor dzieła **„Fama Fraternitatis des löblichen Ordens der Rosae Crucis"** (1614). Istotny wkład w rozwój różokrzyżowców włożył też angielski lekarz Robert Fludd. Ich godłem był krzyż św. Andrzeja na tle róży otoczonej cierniem, a ich hermetyczny sekciarski język roił się od kodów i szyfrowanych znaków.

Bractwo Róży i Krzyża stawiało sobie zrazu cele wzniosłe (*„ulepszanie rodu ludzkiego"*) i prosperowało jako ruch teozoficzny, by w XVIII wieku stać się sektą paramasońską, okultystyczną, alchemiczną, ezoteryczną, bo to było wówczas modne. W drugiej połowie tego stulecia przyjmowali nowych członków wyłącznie spośród masonów wyższej rangi (nie mniej niż trzeciego stopnia), nadając im tytuł: Brat Różanego Krzyża (*„Frater Roseae Crucis"*). Ich wewnętrzny system wtajemniczenia był 9–stopniowy i oparty na lożowym wolnomularskim rytuale, a ich doktryna czerpała z mądrości dawnych magów, takich jak Paracelsus, sławny szwajcarski medyk i alchemik wieku XVI. Gdy bractwo opanował głośny ówczesny szarlatan Giuseppe Balsamo (mniemany hrabia Cagliostro), człowiek, który mocno namieszał wówczas w Europie (zwłaszcza w Polsce i we Francji) — fraternia Róży i Krzyża pasjonowała się już tylko *„naukami tajemnymi"*, *„kamieniem filozoficznym"*, *„magnetyzmem zwierzęcym"*, *„przywracaniem młodości"*, magią czarną i białą, kabałą, transcendencją i spirytyzmem czyli wywoływaniem duchów. Cały ten pseudonaukowy cyrk został zdemaskowany i ośmieszony w Warszawie (1786) przez stolnika koronnego Augusta Fryderyka Moszyńskiego. Szalbierz czmychnął znad Wisły do Francji, gdzie wywołał detronizacyjną *„Aferę Naszyjnika"*, później zaś zgnił (1795) w papieskim więzieniu San Leo. Co nie przeszkadza bawić się różokrzyżowo dzisiejszym spadkobiercom Róży i Krzyża (m.in. USA — Rosicrucion Fellowship w Los Angeles; Holandia — Lectorium Rosicrucianum w Haarlemie; Anglia — Societas Rosicruciana w Londynie; itp., itd.).

Gdy mowa o róży i o krzyżu, przypominają się nasze XIX–wieczne insurekcje, bo walczyliśmy z zaborcami w imię krzyża nie żałując róż (Juliusz Słowacki: *„Nie czas żałować róż gdy lasy płoną"*; sto lat później Adolf Nowaczyński rzucił parafrazę: *„Izaż chuchać na róże trza gdy płoną lasy?"*). Jednak dzielny uczestnik Powstania Listopadowego, Seweryn Goszczyński, synonimował zryw z sadzeniem róż (wiersz **„Przy sadzeniu róż"**):

„Sadźmy, przyjacielu, róże!
Sadźmy je przyszłemu latu,
Może już nie ujrzym kwiatu,
Szczęśliwszemu sadźmy światu".

Dużo bardziej minorowo piał uczestnik Powstania Styczniowego, Mieczysław Romanowski (zginął w bitwie pod Józefowem):

„Co tam marzyć o kochaniu,
O bogdance, o róż rwaniu —
Dla nas nie ma róż!
My — jak ptacy na wędrówce —
Dziś tu, jutro na placówce
Może staniem już".

SZTUKI PRZEPIĘKNE

Spośród artystów zajmowali się różą głównie mistrzowie pędzla, mistrzowie pióra i mistrzowie kamery, chociaż budowniczowie też o niej nie zapominali, czego przykładem rozeta (czyli róża spłaszczona) w architekturze jako element okienny i dekoracyjny (vide katedry gotyckie). *„Królowa kwiatów"* królowała pośród tzw. *„martwych natur"* malarskich w bogatym dziale *„kwietny wazon"* (setki wybitnych prac). Sporo jest też pieśni i powieści mających różę w tytule, exemplum **„Yellow Rose of Texas"** (konfederacka piosnka Południa Stanów) czy **„Białe róże"** (legionowa, zaczynająca się od: *„Rozkwitały pęki białych róż"*), a w pisarstwie też **„Białe róże"** Heleny

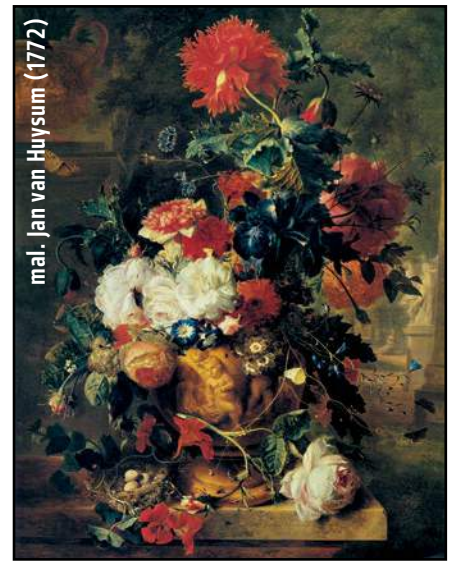
mal. Jan van Huysum (1772)

Zakrzewskiej (1922) czy peerelowski bestseller Marii Krüger dla dziewcząt **„Godzina pąsowej róży"** (1960), trzy lata później (1963) sfilmowany przez Halinę Bielińską (główne role grały czołowe róże ówczesnej rodzimej kinematografii: Elżbieta Czyżewska i Lucyna Winnicka).

Pierwowzorem i majestatycznym kanonem wszystkich róż literackich jest średniowieczna (XIII wiek) **„Opowieść o róży"** (**„Le Roman de la Rose"**), dzieło dwóch autorów pisane na przestrzeni 40 lat. Bohater części pierwszej, której autorem był Wilhelm de Lorris (~1237), spostrzega w ogrodzie kwiat róży i pokochuje tę różę. Sprzyja mu Bel Accueil (Przychylność), ale dostępu wzbraniają Danger (Niebezpieczeństwo), Honte (Wstyd), Malebouche (Obmowa) i Peur (Strach). *„Siła złego na jednego"* — Bel Accueil, obrończyni kochan-

Renesansowa ilustracja do „Le Roman de la Rose"

eprasa.pl c435d7738c

ków, przegrywa i zostaje zamknięta w wieży przez Envive (Zazdrość). Część drugą napisał blisko roku 1280 Jean Chopinel (Jan z Meung). Tam Raison (Rozsądek) usiłuje wyperswadować miłość zakochanemu, skłaniając go, by pokochał ją (boginię Rozumu), lecz bohater dalej szuka swej róży, wspomagany przez pułki alegoryczne, którymi dowodzi Amor i którym patronuje Wenera. Pułki te oblegają i zdobywają wieżę, Bel Accueil zostaje uwolniona, zaś róża oddana kochankowi. O ile część pierwsza stanowiła subtelne psychologiczne studium miłości (dominowały cnota i honor), o tyle druga nie stroniła już od fizycznych problemów *„ars amandi"* i satyry na małżeństwo, co oburzyło ówczesny establishment i Kościół (kanclerz Uniwersytetu Paryskiego, Jean Gerson, napisał w XV wieku cały traktat potępiający **„Le Roman de la Rose"**). Późniejsze generacje składały poematowi hołd (tylko do połowy XVI wieku miał aż 40 wydań!). Johan Huizinga: *„Przez kilka stuleci to arcydzieło dworskiej miłości było skarbcem, z którego czerpano żywotne treści duchowego rozwoju i erotyzmu"* (1918). Erotyzmu śmiałego (w części drugiej Amor i Wenus przysięgają sobie, że ich podopieczni całkowicie odrzucą wszelkie pozory i wstydliwość).

Kulminacją artystyczną takiej różanej rozwiązłości stała się kinematografia XX wieku. W tytułach (i treściach) mnóstwo róż: Marvina J. Chomsky'ego **„Braterstwo Róży"** (1989) — thriller szpiegowski o wrednej CIA; Jacka Golda **„Róża i Szakal"** (1990) — świetny, zapomniany romans szpiegowski o miłosnym uczuciu Allana Pinkertona, szefa wywiadu prezydenta Lincolna; Jeana–Jacquesa Annauda **„Imię róży"** (1986) — thriller średniowieczny według powieści Umberta Ecco o tym samym tytule (1980); Woody'ego Allena **„Purpurowa róża z Kairu"** (1985) — komedia w stylu Allen–brand; i in. Genialny jest tytuł oryginalny **„Wojny państwa Rose"** (1986) Danny'ego de Vito (notabene: według niektórych to najlepszy film o małżeństwie), bo **„The War of the Roses"** to dokładna nazwa makabrycznej średniowiecznej Wojny Róż, o której napisałem wyżej kilka zdań. Z kolei Orson Welles robił sobie *„jaja"* nie tytułem, lecz treścią w swym głośnym filmie **„Obywatel Kane"** (1941), parafrazującym biografię magnata prasowego Williama Randolpha Hearsta. Leitmotivem fabuły jest tam od początku do końca próba wyjaśnienia dlaczego ostatnie słowo, jakie wyszeptał konający Hearst, brzmiało: *„rosebud"* (pączek róży, różyczka). Padają różne interpretacje (metafizyczne, filozoficzne, itp.), bez żadnych seksualnych aluzji, choć było *„tajemnicą Poliszynela"*, że Hearst tym słowem określał *„cipkę"* swej kochanki. Ergo: Welles robi tu szelmowskie *„perskie oko"* do widzów.

mal. Pablo Picasso

Przedwojenni znawcy uważali, że autor słów legionówki **„Białe róże"**, kabareciarz Kazimierz Wroczyński, robił analogiczne (świntuszące) *„perskie oko"* ostatnią frazą pierwszej zwrotki, gdzie dziewczę przywołujące *„Jasieńka"* obiecuje mu dać za powrót *„róży najpiękniejszy kwiat"*.

Nie, nie zapomniałem o **„Małym Księciu"** (1946) Saint–Exupéry'ego, też filmowanym. Książę, usłyszawszy, że *„kolce nie służą do niczego, to tylko złośliwość kwiatów"*, odpowiada pełen gniewu: *„ — Nie wierzę ci! Kwiaty zabezpieczają się jak tylko mogą w przekonaniu, że z kolcami są bardzo groźne"*. Róża, którą pokochał na swej planecie, oznaczała się *„płochliwą próżnością"* i była *„wielką zalotnicą"*, stąd Mały Książę zrazu uważał, że *„ten kwiat jest bardzo skomplikowany"* i pytającej go żmii wyjaśnił: *„ — Mam pewne trudności z różą"*, a gdy trafił do ogrodu pełnego róż, zrozumiał, iż jego róża go okłamała twierdząc, że jest jedyną różą na świecie. Westchnął wówczas: *„ — Sądziłem, że posiadam kwiat wyjątkowy, a w istocie mam zwykłą różę, która nie różni się od innych"*.

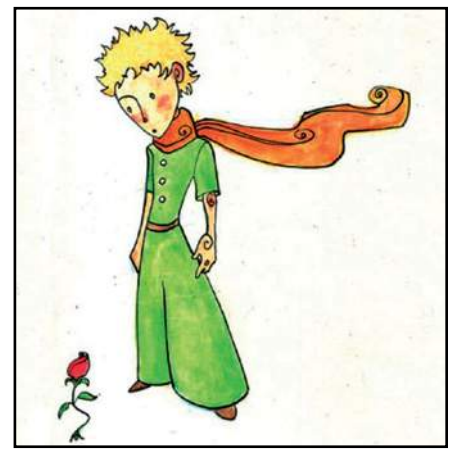

Pocieszał go lis: *„ — Kury też są wszystkie podobne do siebie"*. Jednak umiłowanie róży nie wygasło w sercu Małego Księcia — *„pozostał jej wierny, a obraz róży świecił w nim jak płomień lampy nawet podczas snu"* (tłum. Jana Szwykowskiego). Takiej stałości uczuć życzę wszystkim Walentynkowiczom w Dniu Zakochanych.

* * * * *

Czas na puentę. Róża? Nie mam nic przeciwko. Chyba że jest to Róża Thun. ©℗

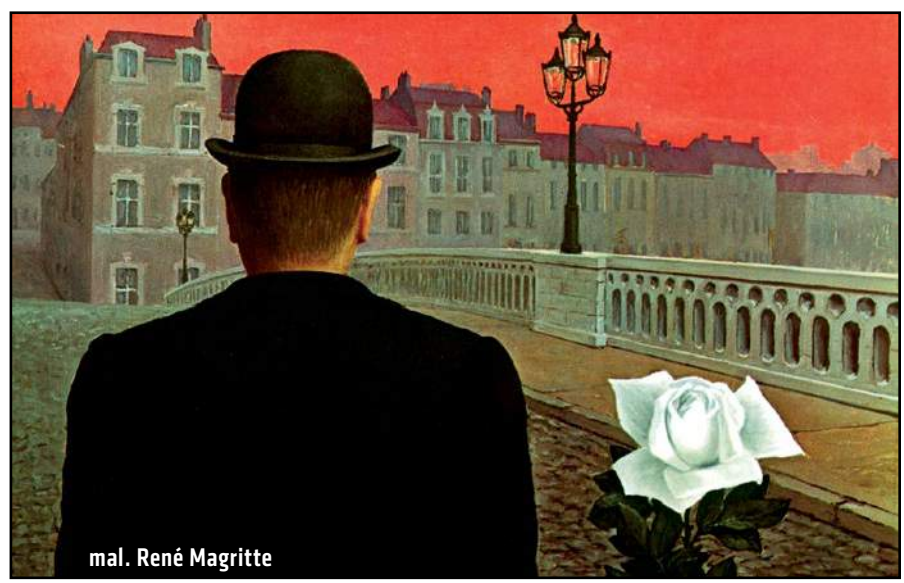
mal. René Magritte

eprasa.pl c435d7738c

IGOR ZALEWSKI

POD WĄS

Prawdziwy rasizm

Gdzieś tak od zwycięstwa PiS, a zwłaszcza od odpalenia programu „500+", mamy w Polsce wyjątkowe stężenie pogardy wobec ludzi, którzy są zwykli.

Właściwie nie bardzo wiadomo, jak ich nazwać. Nie chodzi o ludzi niewykształconych, bo wykształceni okazują się często nie gorszymi ignorantami od tych, którzy szkół nie kończyli. Dowodzi tego odcinek „Familiady" z roku 2015, w którym dziennikarze (!!!) pytani o największe państwa świata wymieniali Koreę Północną, Anglię i Amerykę Południową.

Ci, którzy gardzą zwykłymi ludźmi, nazywają ich rozmaicie. „Ciemny lud", „hołota", „chamy", „suweren". Chyba najlepsze byłoby już nieco anachroniczne określenie „lud". W każdym razie chodzi o ludzi, którzy nie są zaliczani do elity, a przynajmniej owa elita ich do siebie nie zalicza.

Z wielu wypowiedzi, artykułów i wpisów bije takie poczucie wyższości wobec tego ludu, że nabiera ono charakteru wręcz rasistowskiego. Lud nie jest w stanie samodzielnie myśleć, jest z gruntu zły, rozpity oraz antropologicznie odrażający. Mniej więcej w tym duchu musieli się wypowiadać o swoich niewolnikach plantatorzy bawełny z konfederackich stanów USA.

Jan Śpiewak szuka korzeni tej pogardy w czasach feudalnych. Brzmi to wiarygodnie. Pańszczyźniany chłop nie był właściwie postrzegany przez szlachtę jako istota ludzka. W faktycznej niewoli był trzymany do drugiej połowy XIX w., kiedy to jego właściciel ewoluował w inteligenta. Inteligent mógł odziedziczyć feudalny stosunek do ludu, tym bardziej że jako społeczeństwo nigdy właściwie nie uporaliśmy się – skoro mowa o rozmaitych upiorach przeszłości – z potworną krzywdą, jaką był system pańszczyźniany. Taka postszlachecko-inteligencka pogarda eksplodowała na chwilę już dwie dekady temu, gdy ludowiec Waldemar Pawlak ośmielił się zostać premierem RP.

Geneza tej pogardy bez wątpienia jest intrygująca. Mnie jednak jeszcze bardziej zadziwia inne zjawisko. Elita opluwająca prostych ludzi i narzekająca na ich prymitywizm nie zauważa dość oczywistej prawdy. Lud jest taki, jakim go wyedukowała elita. Jeśli faktycznie jest ciemny, zacofany, rozmodlony, zapijaczony, ksenofobiczny, to znaczy, że nasza inteligencja poniosła straszliwą klęskę. Że jest do niczego. Wszak nigdzie światłe społeczeństwo nie pojawiło się w efekcie samorództwa. Wszędzie było dekadami ciosane, oświecane i wychowywane przez społeczną elitę.

I wszędzie się udało. Praca u podstaw przyniosła efekty. Tylko w Polsce nie. To powinno elicie dać do myślenia. I dało. Jednak jeśli ktoś oczekiwał samokrytyki, to się nie doczekał. Inteligencja uznała, że z tymi chamami nic nie da się zrobić. Czy można jej załatwić drugie społeczeństwo, żeby spróbowała jeszcze raz? ©℗

MARCIN WOLSKI

KRÓTKO PO WOLSKU

Stracone złudzenia

Stare polskie przysłowie powiada: nie ma tego złego… itd. Kryzys związany z kłamstwem na temat polskiej odpowiedzialności za Holokaust, niezależnie od tego, jak się skończy, przyniósł nam jedną ewidentną korzyść. Pozbawił nas złudzeń.

Wydawało się nam, że uległością, pokorą i jednostronnymi ustępstwami sprawimy, iż wizerunek Polski w oczach świata się polepszy, że zostaniemy docenieni, poklepani po ramieniu, a w końcu rozgrzeszeni za niepopełnione winy.

Jedno już wiemy – skończyło się jednostronne sprawianie przyjemności naszym partnerom

Nic bardziej mylnego. Nasza koncyliacyjność została uznana za słabość.

Powiedziano nam otwarcie – zostaliście wyznaczeni do roli współkata i żadna uchwała wam nie pomoże. Przy całym dyskomforcie brak złudzeń ma swoje dobre strony – pozwala realnie patrzeć na świat. A wtedy stanie się jasne, dlaczego Polska nie istnieje w masowej wyobraźni świata.

Dlaczego nie ma hollywoodzkich filmów o największym ruchu oporu w czasie II wojny światowej, o polskim państwie podziemnym – fenomenie wszech czasów, o jedynej prawdziwej opozycji antykomunistycznej, która doprowadziła do zrywu Solidarności, i o podziemiu stanu wojennego?

Dlaczego agenci Zachodu na czele z Jamesem Bondem działają i współpracują z Węgrami, Czechami, Bułgarami, a szerokim łukiem omijają nasz kraj? Gdyby chcieć zachować proporcje i porównać nas z Czechami, których jedyna akcja, przeprowadzona zresztą z zagranicy – zamach na Heydricha – doczekała się dziesiątków filmów, to kinematografia światowa nie przerobiłaby dokonań polskich przez następne sto lat.

Jednak wnioski niekoniecznie skłaniają do beznadziei. Nawet jeśli mamy do czynienia ze zmową, to zawsze należy pytać: A co my zrobiliśmy w tej sprawie? Jak się promowaliśmy? Jak walczyliśmy o dobre imię? I jakimi środkami?

Jedno już wiemy – skończyło się jednostronne sprawianie przyjemności naszym partnerom. Liczenie na rewanż było pomyłką, a wzmagało jedynie roszczeniową hucpę.

Teraz, kiedy jest to już jasne, nie ma co załamywać rąk czy miotać oskarżeń. Nie trzeba też na siłę się zaprzyjaźniać, bo dopóki nie zaczniemy być traktowani jak partner, dopóty o tym nie ma mowy. Lepiej siąść przy wspólnym stole i pogadać o interesach. ©℗

eprasa.pl c435d7738c

Piotr Zychowicz

Ryk tygrysa

Nowa ustawa o IPN jest bezużyteczna w walce z „polskimi obozami". Może za to służyć do krępowania debaty publicznej w Polsce

Chyba od lat nic nie rozpaliło opinii publicznej tak jak spór o nowelizację ustawy o Instytucie Pamięci Narodowej. Olbrzymia część naszych rodaków uznała, że wprowadzenie nowych przepisów jest jedynym skutecznym sposobem na walkę z krzywdzącymi Polskę sformułowaniami w stylu „polskie obozy śmierci".

Taka była bowiem narracja rządowych mediów, które z poparcia dla ustawy uczyniły niemal probierz patriotyzmu. Mogliśmy w nich usłyszeć i przeczytać, że nasze władze podjęły batalię o prawdę historyczną, co wywołuje wściekłe ataki wrogów Polski i polskości oraz że kto nie z nami, ten nie jest prawdziwym Polakiem.

Narracja ta padła na podatny grunt, gdyż Polacy – i słusznie – mają serdecznie dość przypisywania im odpowiedzialności za cudze zbrodnie.

Chłodna, pozbawiona emocji analiza dowodzi jednak, że sprawy wyglądają zupełnie inaczej, niż przekonuje nas aparat propagandowy rządu. Otóż forsowana przez PiS nowelizacja ustawy o IPN w rzeczywistości nie może powstrzymać nikogo przed używaniem określenia „polskie obozy śmierci".

Dlaczego? Ano dlatego, że nikt takich określeń nie używa w Polsce. Pojawiają się one w przestrzeni publicznej na Zachodzie, głównie w Stanach Zjednoczonych i – ostatnio – w Izraelu. Żaden amerykański czy izraelski autor nie będzie zaś przejmować się ustawą przyjętą przez polski parlament. Polska nie ma bowiem żadnych realnych możliwości, aby nowe prawo skutecznie wyegzekwować za granicą.

Czy nasi komandosi polecą do Izraela, żeby uprowadzić członka Knesetu Yaira Lapida i zaciągną go przed oblicze polskiego sądu? A może wpakujemy na trzy lata do Wronek byłego amerykańskiego prezydenta Baracka Obamę, gdy znowu wyrwie mu się coś o „polskich obozach śmierci"? Bądźmy poważni.

Wyobraźmy sobie zresztą taką hipotetyczną sytuację. W „New York Timesie" ukazuje się artykuł pana X, znanego amerykańskiego dziennikarza żydowskiego pochodzenia. Artykuł ten zostaje uznany przez polską prokuraturę za „szkalujący naród polski" i rozpoczyna się rutynowe postępowanie. Akt oskarżenia, wniosek o ekstradycję.

Czy naprawdę ktoś na poważnie może twierdzić, że FBI zakuje pana X w kajdanki, wsadzi go na pokład samolotu i odstawi do Polski na proces? Proces, w którym – dodajmy – amerykańskiemu obywatelowi mogą grozić trzy lata odsiadki. A może rząd Izraela wyda nam piszącego o „polskich obozach śmierci" dziennikarza „Haaretz" czy „The Jerusalem Post"?

To oczywiście mrzonki. Ani Stany Zjednoczone, ani Izrael, ani żadne inne państwo Zachodu nie będzie pomagało Polsce w egzekwowaniu nowej ustawy o IPN. Jeżeli nasza prokuratura będzie rozsyłała po świecie pisma w sprawie „szkalowania narodu polskiego", to pisma te będą lądowały w koszu. Cierpieć będą na tym tylko prestiż i powaga Rzeczypospolitej.

eprasa.pl c435d7738c

bez kłów

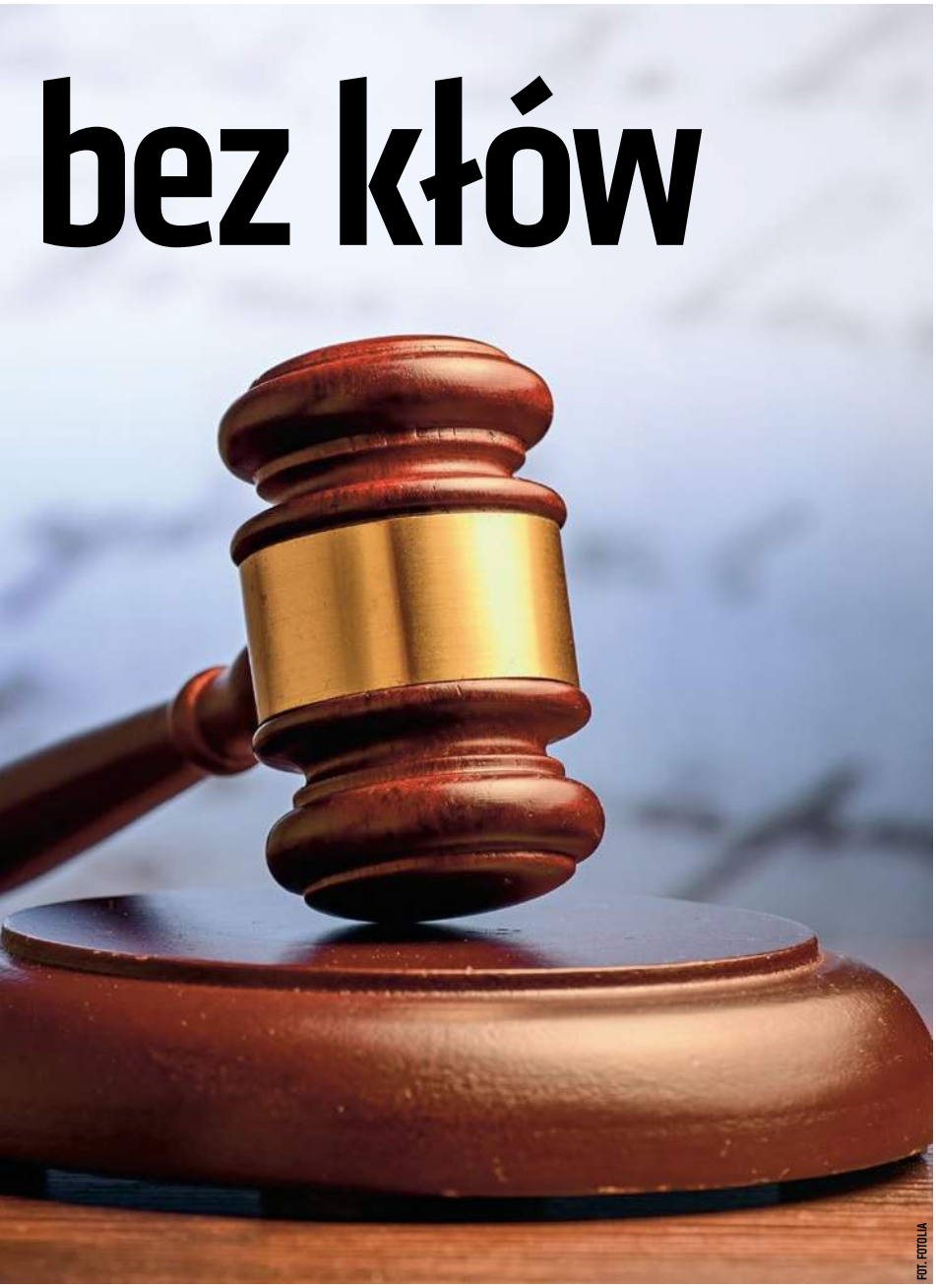

FOT. FOTOLIA

Nowa ustawa o IPN to ryk bezzębnego, papierowego tygrysa. Nie będzie ona miała żadnego realnego znaczenia w walce z „polskimi obozami śmierci". Kompromituje ona jedynie nasz kraj i podważa racje, których staramy się bronić. Bo co to za prawda, która potrzebuje na swoją obronę prokuratury i więziennych krat?

Oczywiście rodzi się pytanie: Po co tę nową ustawę w ogóle napisano? Dlaczego wprowadza się nowelizację, o której z góry wiadomo, że jest całkowicie bezużyteczna? Odpowiedź może być tylko jedna. Chodzi o kolejne przypochlebienie się elektoratowi i podbicie słupków poparcia.

„Patrzcie – przekonywali nas politycy PiS – wszystkie poprzednie rządy pozwalały na bezkarne plucie na Polskę, a tylko my zdecydowanie się temu przeciwstawiliśmy! Tylko my wprowadziliśmy taką ostrą ustawę!".

Niestety, po raz kolejny się okazało, że Prawo i Sprawiedliwość jest partią, która politykę zagraniczną podporządkowuje potrzebom polityki wewnętrznej. Skutki tego są opłakane i niezwykle groźne dla bezpieczeństwa oraz międzynarodowej pozycji Rzeczypospolitej.

Tak jak można było przewidzieć, Polska z dnia na dzień znalazła się bowiem w poważnym konflikcie z Izraelem i Ameryką. Od biedy mogę zrozumieć, że PiS poszedł na udry z Rosją, Niemcami, Unią Europejską, Francją i Ukrainą. Przecież jednak Stany Zjednoczone przez samych polityków PiS uznawane są za naszego najważniejszego strategicznego partnera!

Czyli wyszło jak zwykle. Miał być kolejny PR-owski sukces, a jest kolejna międzynarodowa katastrofa.

WOLNOŚĆ SŁOWA

Przyjrzyjmy się teraz samej nowelizacji ustawy o IPN. Co ciekawe, nie ma w niej mowy o „polskich obozach śmierci". Zaproponowane przez PiS przepisy są znacznie szersze, a przy tym nieprecyzyjne:

„Kto publicznie i wbrew faktom przypisuje Narodowi Polskiemu lub Państwu Polskiemu odpowiedzialność lub współodpowiedzialność za popełnione przez III Rzeszę Niemiecką zbrodnie nazistowskie […] lub za inne przestępstwa stanowiące zbrodnie przeciwko pokojowi, ludzkości lub zbrodnie wojenne lub w inny sposób rażąco pomniejsza odpowiedzialność rzeczywistych sprawców tych zbrodni, podlega karze grzywny lub karze pozbawienia wolności do lat 3".

O ile ustawa nie może mieć żadnego wpływu na to, co pisze się za granicą, może służyć do blokowania wolnej debaty w samej Polsce. Tutaj bowiem jurysdykcja polskiego wymiaru sprawiedliwości już sięga. Tak sformułowane przepisy mogą zostać użyte do zamknięcia ust tym Polakom, którzy piszą i mówią o mniej chlubnych epizodach w naszych dziejach.

Oczywiście w ustawie zapisano, że karany ma być ten, kto pisze nieprawdę. To bardzo ładnie, że twórca nowych przepisów zrobił takie zastrzeżenie. Pytanie tylko: Kto będzie ustalał, co jest „zgodne z faktami", a co jest „wbrew faktom"? Kto ma zadekretować tę nową, urzędową wersję dziejów Polski?

Sąd? Z całym szacunkiem dla naszych sędziów obawiam się, że nie leży to w ich kompetencjach. Weźmy choćby takie stwierdzenie:

„Podczas II wojny światowej byli Polacy, którzy pomagali Żydom. Ale byli również Polacy, którzy na Żydów donosili. O ile ci pierwsi przyczynili się do uratowania życia Żydów, ci drudzy są współodpowiedzialni za ich zagładę".

eprasa.pl c435d7738c

Zdanie to jest oczywiście prawdziwe. Jednocześnie jednak nie da się ukryć, że „przypisuje Narodowi Polskiemu lub Państwu Polskiemu współodpowiedzialność za popełnione przez III Rzeszę Niemiecką zbrodnie nazistowskie". Czy zatem jego autora należy wsadzić do więzienia na trzy lata czy nie należy?

Oczywiście sąd, aby rozstrzygać podobne wątpliwości, może powołać biegłych. Czyli historyków. I tu jest kolejny haczyk. Historycy mają bowiem w wielu sprawach różne zdanie. Między polskimi badaczami dziejów najnowszych od lat toczą się zacięte spory. Którego z nich ma więc wybrać sąd? Na którego opinii ma polegać?

Spróbuję ten dylemat ukazać na konkretnym przykładzie. Oderwijmy się na chwilę od spraw polsko-żydowskich i spójrzmy na sprawy polsko-ukraińskie. Ustawa penalizuje bowiem nie tylko przypisywanie Polakom zbrodni niemieckich, lecz także wszelkich „zbrodni przeciwko ludzkości i zbrodni wojennych".

Tymczasem wiosną 1944 r. oddziały Armii Krajowej i Batalionów Chłopskich dokonały na Lubelszczyźnie wielu masakr ukraińskiej ludności cywilnej. Akcja, która do historii przeszła jako „rewolucja hrubieszowska", miała, według jej pomysłodawców – charakter odwetowo-prewencyjny.

W sumie jej ofiarą padło ok. 1,5 tys. ukraińskich cywilów. Mężczyzn, kobiet i dzieci. Symbolem tych wydarzeń była gehenna wsi Sahryń, w której 10 marca 1944 r. polscy partyzanci zgładzili kilkaset osób.

Według części historyków zajmujących się problematyką polsko-ukraińską były to zbrodnie wojenne. Jednak według innych – nie. Które z tych stanowisk sędzia ma uznać za „prawdziwe"? Czy ci, którzy uważają, że Polacy dopuścili się zbrodni wojennych, nie będą teraz mogli o tym głośno mówić, bo będzie groziła im odsiadka?

Czy od teraz jedyną wersją historii, jaką będzie można przedstawiać w naszym kraju, będzie propagandowa, infantylna opowieść o dobrych kowbojach (nasi) i złych Indianach (obcy)? Śledząc historyczną narrację obecnego obozu rządzącego – można mieć niestety takie obawy.

Jak widać, przepisy są niejasne i pozostawiają olbrzymie pole do interpretacji oraz nadużyć. A kary przewidziane przez twórców ustawy są drakońskie. Sama myśl, że w wolnej Polsce można by wsadzać do więzienia ludzi za ich poglądy historyczne, wywołuje głęboki niesmak. Jest to sprzeczne z elementarnymi zasadami praworządności i zwykłej ludzkiej przyzwoitości.

Spory historyczne powinna rozstrzygać siła argumentów, a nie policjant z gumową pałką, prokurator i sąd. Nie ma wątpliwości, że nowelizacja ustawy o IPN stanowi wielkie zagrożenie dla wolności słowa, którą wszystkim obywatelom Rzeczypospolitej gwarantuje konstytucja. Prezydent Andrzej Duda decydując, że podpisze nową ustawę i skieruje ją do Trybunału Konstytucyjnego, to popełnia fatalny błąd.

NAŚLADOWANIE ŻYDÓW

Na koniec pozostawiłem najbardziej kuriozalny aspekt całej sprawy. Otóż nie jest tajemnicą, że PiS wprowadzając nowelizację ustawy o IPN, wzorował się na… Żydach.

To bowiem środowiska żydowskie w wielu krajach świata przeforsowały wprowadzenie niezwykle restrykcyjnego prawa zakazującego „negowania Holokaustu". Przepisy takie obowiązują również w samym Izraelu.

Karanie ludzi za ich poglądy historyczne (nawet niemądre) uważam za aberrację

Zgodnie z nimi każdy, kto twierdzi, że Holokaustu nie było, pomniejsza jego skalę lub rozmywa odpowiedzialność sprawców, może zostać wpakowany za kraty lub skazany na karę wysokiej grzywny. O tym, że to nie żarty, przekonał się choćby słynny historyk David Irving. W 2006 r. został on skazany w Austrii na trzy lata odsiadki.

Nowe polskie przepisy są niemal dokładną kopią zapisów, które pozwoliły na uwięzienie blisko 70-letniego brytyjskiego badacza. Domyślam się więc, jakie zdumienie i konsternację wśród polityków PiS musiało wywołać to, że nowelizacja ustawy o IPN tak wielkie oburzenie i opór wywołała akurat w Izraelu.

„Przecież my robimy to samo co oni!" – mogą powiedzieć nasi rządzący. I będą mieli rację. Izrael jest oczywiście ostatnim państwem, które powinno piętnować Polskę za sam fakt mieszania sądów i prokuratury do debat historycznych. Żydzi bowiem sami często sięgają po ten niedopuszczalny środek ograniczający swobodę dyskusji.

Problem w tym, że Izrael jednocześnie jak lew broni dogmatu o „wyjątkowości Holokaustu" i „wyjątkowości żydowskiego cierpienia". I nie dopuszcza na tym polu do żadnej konkurencji. Status największej ofiary w dziejach ludzkości wiąże się bowiem z bardzo konkretnymi korzyściami.

Jest to oczywiście moralnie naganne, ale nic na to nie poradzimy. Każdy, kto ma choćby mgliste pojęcie o polityce historycznej Izraela, musiał zdawać sobie sprawę, że wprowadzenie w Polsce ustawy w takim kształcie wywoła gwałtowny konflikt z państwem żydowskim.

Nie oznacza to zresztą, że w całym sporze Izrael nie ma żadnych ważkich argumentów i cała racja jest po stronie rządu PiS. Żydowskie obawy, że nowe przepisy mogą posłużyć do krępowania swobodnej dyskusji na temat negatywnych postaw Polaków podczas Holokaustu, są niestety uzasadnione.

Tak jak napisałem, karanie ludzi za ich poglądy historyczne (nawet niemądre) uważam za aberrację. Jeśli jednak polski parlament już koniecznie musiał wprowadzać podobną ustawę, to racjonalnym wyjściem wydawało się uwzględnienie poprawek zgłoszonych przez senatorów Platformy Obywatelskiej. Oto jak wyobrażała sobie brzmienie nowych przepisów opozycja:

„Kto publicznie i wbrew faktom przypisuje Narodowi Polskiemu lub Państwu Polskiemu odpowiedzialność lub współodpowiedzialność za tworzenie przez III Rzeszę Niemiecką obozów koncentracyjnych i obozów zagłady oraz za dokonywane tam ludobójstwo i inne zbrodnie, lub w inny sposób rażąco pomniejsza odpowiedzialność rzeczywistych sprawców tych zbrodni, podlega grzywnie lub karze pozbawienia wolności do lat 3".

Podobne ograniczenie i doprecyzowanie nowelizacji ustawy o IPN wytrąciłoby krytykom ustawy najważniejsze argumenty i uspokoiło obawy naszych zachodnich partnerów. Niestety, pomysł Platformy został przez polityków PiS uznany za zbyt umiarkowany. W efekcie zostaliśmy z bublem prawnym i zepsutymi relacjami z dwoma kluczowymi sojusznikami.

Rząd PiS musi teraz rozwiązywać problem, który sam stworzył.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl c435d7738c

REKLAMA

REKLAMA

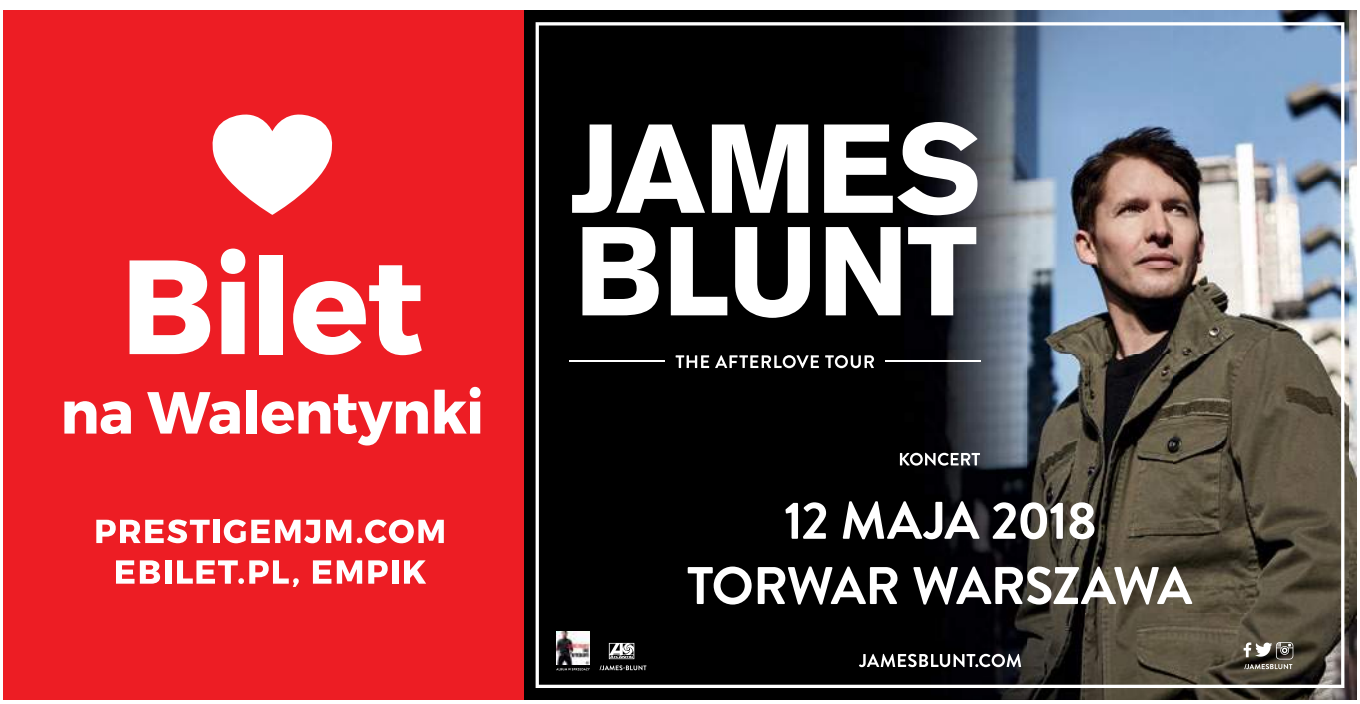

eprasa.pl c435d7738c

Z Bawerem Aondo-Akaa, doktorem teologii, narodowcem
rozmawia Marcin Makowski

Verhofstadt obraził naród polski

MARCIN MAKOWSKI: Po Marszu Niepodległości byłeś jedyną osobą, która na gruncie prawnym wysunęła zarzuty wobec Guya Verhofstadta. Chodzi o nazwanie uczestników Marszu Niepodległości „sześćdziesięcioma tysiącami faszystów". Na jakim etapie jest dzisiaj ta sprawa?

BAWER AONDO-AKAA: W moim imieniu instytut Ordo Iuris złożył już do przewodniczącego europarlamentu Antonia Tajaniego wniosek o uchylenie immunitetu panu Verhofstadtowi. Inaczej nie będziemy się w stanie skutecznie procesować. Czekamy na decyzję Brukseli. Mam nadzieję, że przychyli się ona do naszego wniosku, bo przecież zarzuty są poważne.

Jak byś je zdefiniował?

Oskarżam Guya Verhofstadta o obrazę narodu polskiego. Ale nie tylko o to, chodzi również o brak logiki i zdrowego rozsądku. Generalizacje są zawsze krzywdzące, a bywa, że wprost szkodliwe dla konkretnych grup społecznych. W tym temacie Guy Verhofstadt wykazał się niesamowitą generalizacją, nazywając wszystkich uczestników marszu faszystami i ksenofobami, siejącymi nienawiść „kilkaset kilometrów od Auschwitz". Nawet jeśli w tłumie byli neonazistowscy i szowinistyczni ekstremiści, stanowili ułamek całego zgromadzenia. To skrajnie nieuczciwe, aby ich poglądy miały definiować wszystkich obecnych na miejscu, a według niektórych mediów również dominujące nastroje w Polsce. Nasz kraj jako pierwszy walczył z socjalizmem realnym – komunizmem, a później od pierwszego dnia II wojny światowej z socjalizmem narodowym – nazizmem. Doświadczyliśmy na własnej tkance narodowej, jak działają systemy totalitarne w praktyce, i sądzę, że umiemy się przed nimi bronić.

A czy umiemy reagować, gdy zostaje przekroczona granica? Haseł o „Europie czystej rasowo" na marszu nie wymyślili przecież jego przeciwnicy.

To prawda, ale oficjalnym hasłem pochodu było zawołanie: „My chcemy Boga". Tamte skandaliczne odezwy niosły grupy, które nie są związane z organizatorami, np. szowinistyczno-rasistowski Szturm albo neopogański Niklot. Co można było z nimi zrobić? Popatrzmy na rzeczywistość taką, jaka ona jest – bez pudrowania. Żyjemy w blisko 40-milionowym narodzie, a w takiej masie zawsze znajdą się radykałowie, ludzie zagubieni albo po prostu ignoranci…

FOT. ANDRZEJ BANAŚ/POLSKA PRESS/EAST NEWS

eprasa.pl c435d7738c

Załóżmy, że jestem obrońcą Verhofstadta i odbijam piłeczkę. „Skoro nikt nie reagował na autentyczny rasizm, to znaczy, że na niego przyzwalał". I co?

Nie będę bronić organizatorów Marszu Niepodległości, bo wyznaję zasadę „nic o nas bez nas". Jeśli te banery się pojawiły, to ich pośrednio obciąża. Kulisy tej sprawy są jednak bardziej skomplikowane, również gdyby patrzeć na nie procesowo. Pamiętam, jak w 2011 r. nagle bez żadnego powodu grupa mężczyzn, która dołączyła do pochodu, zaczęła zakładać kominiarki i wszczynać rozróby. Trudno o całkowitą kontrolę tak wielkiego zgromadzenia, ale przyjmuję argument, że może w tym przypadku należało zdjąć rasistowskie banery siłą. W moim pozwie nie chodzi jednak o samo wydarzenie, lecz o ideę patriotyczną i ludzi, którzy nie mieli z faszyzmem niczego wspólnego, a zostali wrzuceni do jednego worka z prowokatorami.

Tyle że w debacie, która dawno wykroczyła poza granice Polski, nagle w rękach Verhofstadta pojawił się nowy „argument". Przecież „Superwizjer" wytropił nazistów, pokazał torcik na urodziny Hitlera oraz dziesięć osób śpiewających hymny ku czci wodza III Rzeszy.

Jeśli ktoś na tej podstawie dobuduje uzasadnienie do kłamstwa o 60 tys. faszystów, to jest w ogromnym błędzie. Nie zmienia to jednak faktu, że gdy oglądałem reportaż, włos się na głowie jeżył. Nie wiem, jak można być tak wypaczonym intelektualnie w kraju, który doświadczył m.in. rzezi ludności cywilnej Warszawy, dokonanej rękoma żołnierzy Oskara Dirlewangera. Rzezi, która swoim okrucieństwem szokowała nawet niektórych żołnierzy regularnych jednostek SS. Może oni nie czytają książek, a może to – używając terminu Nietzschego – przewartościowanie wartości? A może resentyment?

Co masz na myśli?

Była taka głupia myśl w środowisku, w którym się pewnego czasu obracałem, że postąpiliśmy jako Polacy bardzo naiwnie. Że trzeba było przystać na sojusz z Hitlerem, pójść na Stalina i wywalczyć sobie święty spokój. Tyle że to idea demoniczna, ona u mnie dzięki Bogu ustąpiła, ale zakłada, że myśmy wojnę całkowicie przegrali. Przez własną naiwność. Ja uważam, że Polska wojnę wygrała, ale na innej płaszczyźnie – moralnej. Może ci neonaziści są tak głupi, że pijąc toast za Adolfa i ojczyznę, mają w pustych głowach właśnie taką alternatywną wizję historii?

Cokolwiek by w pustych głowach mieli, w niemieckich mediach można przeczytać już nagłówki w stylu: „Warszawa stolicą europejskiego rasizmu". Zupełnie otwarcie mówi się o „brunatnej fali". To Polska ma problem, którego nie dostrzega, czy ktoś inny ma problem z Polską, używając podobnych incydentów w roli broni ideologicznej?

Moim zdaniem to jest problem z Polską jako taką. Nasz kraj leży przecież na kluczowym w Europie styku osi północ-południe. Dla wielu jest to geopolityczne przekleństwo, a ja twierdzę, że to tylko częściowo wykorzystany i nadal w dużej mierze zrozumiany potencjał. Zarówno handlowy, jak i logistyczny. W czasach Jagiellonów, gdy Rzeczpospolita była światową potęgą, swój status osiągnęła właśnie dzięki czerpaniu profitów ze szlaków handlowych i ceł oraz stanowienia buforu pomiędzy światem Wschodu i Zachodu. Podobny mechanizm leżał przecież u podstaw sukcesu Konstantynopola. Teraz odpowiedzmy sobie na pytanie, komu to wadzi? Kto nie może się pogodzić z istnieniem Polski, która od wieków przeszkadza w ekspansji? To oczywiście Moskwa, Berlin oraz pewne amerykańskie lobby finansowe, reprezentowane umownie przez George'a Sorosa. Silna Polska w sercu Europy krzyżuje interesy tych graczy i burzy ich historyczne strefy wpływów.

Czyli antypolski spisek? A my zawsze w roli niewinnej ofiary?

To nie jest spisek, tylko brutalna gra interesów. Jednak poza nimi wielu państwom nie podoba się również to, co Polska reprezentuje sobą w przestrzeni ideologicznej. Jesteśmy krajem znacznie bardziej konserwatywnym i nastawionym na suwerenność narodową niż reszta zachodniej Europy, co z kolei sprawia, że dla Moskwy stanowimy wyzwanie w procesie asymilacji i wynaradawiania, który odbywał się m.in. podczas zaborów. Jak takiego przeciwnika unieszkodliwić? Sprowadzić to, w co wierzy, do najbardziej wynaturzonej, skrajnej i niereprezentatywnej formy. Polemizować z pastorem Chojeckim czy antysemitą Rybakiem, udawać, że wielotysięczna manifestacja to zlot rasistów, przedstawiać dziesięć osób w lesie jak dywizję pancerną. Wiele zagranicznych mediów wie przecież, jaka jest prawda, ale i tak kłamie, bo im to jest po prostu potrzebne. Dokładnie to samo dzieje się z „polskimi obozami". Polacy wielu ludziom nie mieszczą się w głowie, bo łamią wszelkie stereotypy. Weźmy np. ciebie – konserwatywny biały katolik, który jednocześnie niezwykle szanuje kobiety i przykłada się do dialogu z Żydami. Albo ja – czarny, na wózku, konserwatywny prawicowiec, a podaje mu rękę Janusz Korwin-Mikke. I pokazuje się na tych „marszach faszystów", choć faszyzm od zawsze krytykuje. Co to ma być? To się nijak im nie spina.

I wolą odwracać głowy, szukając stereotypów?

Dokładnie tak się dzieje. Ja jestem w stanie rozmawiać absolutnie z każdym, kto zostawia jakąś przestrzeń na dialog. Spotkam się z aborcjonistami, postaram się przekonać do katolicyzmu neopogan z Niklota. A oni, niby oświeceni i tolerancyjni obywatele światłej Europy, po prostu nie widzą w wielu Polakach partnerów do debaty. Nie mówię, że tak jest, ale wcale bym się nie zdziwił, gdyby okazało się, że ktoś tę kampanię antypolskości dotuje. Nie wskażę palcem na źródła, ale przyjmuję jako ewentualność takie robocze założenie, że ktoś może te szkodliwe dla nas organizacje dyskretnie dotować.

Jak twoim zdaniem mógłby przebiegać taki proces? Na czym opierasz swoje domysły?

Zdaję sobie sprawę, że ktoś może teraz powiedzieć: „Co za bajki". Tylko że instytut Ordo Iuris niedawno wykrył powiązania finansowe pomiędzy spekulantem giełdowym i miliarderem George'em Sorosem a projektem „Ratujmy Kobiety". Były przepływy gotówkowe i dotacje, a potem obrazki z antyrządowych protestów, które popłynęły na Zachód? Były. Wiele mówiło się również, że niektórzy europosłowie mogą półoficjalnie lobbować za jego wizją świata. I co się okazało? Taka lista „przyjaznych i sprzyjających" Sorosowej organizacji Open Society istnieje. Ujawnili ją hakerzy z WikiLeaks i są na niej nawet polskie nazwiska. Co oczywiście nie znaczy, że odbierają czeki pod stołem, ale daje do myślenia, podobnie jak związki Kremla z Ruchem Autonomii Śląska i wszelkimi ruchami separatystycznymi w Europie, z Katalonią na czele. Przecież wojen nie prowadzi się już w starym stylu, tylko poprzez dezinformację, dezorganizację społeczeństw i w efekcie ich osłabienie poprzez dekompozycję ideową. Jestem z wykształcenia tomistą, więc odniosę się do średniowiecza. Tam przynajmniej sytuacja była o tyle jasna, że gdy dochodziło do kulminacji napięcia, państwa z otwartą przyłbicą szły na wojny.

eprasa.pl c435d7738c

Wiadomo było, kto swój, a kto wróg. Dzisiaj natomiast z mundurów znikają emblematy narodowe, jak w przypadku aneksji Krymu.

Dlaczego w takim razie część polskich mediów aktywnie uczestniczy w podsycaniu podobnych konfliktów? Informowanie o problemie to jedno. Jednak czym ma być debata w telewizji śniadaniowej nad pytaniem: „Czy w Polsce mamy modę na nazizm?"?

To klasyczne grillowanie tematu. I tutaj moim zdaniem wylano dziecko z kąpielą. Nie trzeba mieć wybujałej fantazji, żeby wyobrazić sobie polityków unijnych mówiących później: skoro oni mają rząd tolerujący nazizm, to mamy rację z artykułem 7. Dokładnie to samo robiła targowica. Nie ma argumentów i siły wewnętrznej, więc szuka się interwencji z zewnątrz. Szczególnie gdy traci się grunt pod nogami i monopol w mediach. Wielu dziennikarzy i polityków sądziło, że to już dożywotnio będą ich zabawki. A nagle ktoś inny wszedł do piaskownicy. Chcieli demokracji, to mają. I niech teraz nie płaczą.

A może to nie zawsze płacz, ale czasami po prostu normalne pytanie: Co rząd robił, aby walczyć z szowinizmem? Czy działał wystarczająco sprawnie, tropiąc ekstremistów?

Nie wiem, czy jakikolwiek rząd może odnieść na tym polu pełny sukces. Wolność słowa w demokracji przypisuje również prawo do bycia w błędzie, manifestowania skrajnych postaw. Tutaj granica jest często cienka – czy urodziny ku czci Hitlera w lesie w kilka osób to już propagowanie ustrojów totalitarnych? To jest rzecz haniebna, ale co zrobić, gdy dowodów będzie za mało na skazanie? Jak postępować w sytuacjach konfliktowych – wejść w tłum i pałować? Owszem, można mieć pretensje do służb, że to nie one rozpracowały Dumę i Nowoczesność, tylko dziennikarze. Jeśli jednak przyjąć taką wykładnię, winne są służby jako takie, ponieważ za rządów PO-PSL również nie wykazywały się wielką skutecznością. Dlatego właśnie, w przeciwieństwie do wielu dzisiaj, nie oskarżam żadnej obecnej ani minionej władzy o jakieś „przyzwalanie na nazizm". Żaden kraj nie ma nad takimi grupami pełnej kontroli.

Jednak już PO w memach publikowanych na Facebooku zupełnie wprost pisze, że prawica przyzwala na faszyzm. Jako dowód publikuje zdjęcia Piotra Rybaka na wiecach Solidarnej Polski.

Teraz będziemy się licytować na zdjęcia? A jak Andrzej Hadacz najpierw stał przed Pałacem Prezydenckim i krzyczał: „Gdzie jest krzyż!", później chodził na parady LGBT, a następnie całował prezydenta Komorowskiego, to znaczy, że tamten rząd ponosi odpowiedzialność za jego prowokacje? Chcę, żeby to było jasne – nie ma i nigdy nie może być żadnej tolerancji dla faszyzmu, nazizmu, ksenofobii i rasizmu. Nie mogę jednak przejść do porządku dziennego nad tym, jak te sprawy są w Polsce instrumentalizowane i wykorzystywane do walk partyjnych i uderzenia w Polskę jako taką. Tutaj trzeba być rzetelnym, potępiać haniebne czyny, ale nie Polskę jako ojczyznę. Niektórym się to miesza.

Czy twoim zdaniem rząd robi wystarczająco wiele, aby kontrować tę szkodliwą narrację? Termin „polskie obozy śmierci" został w niecałe dwa dni po kryzysie dyplomatycznym z Izraelem użyty w mediach społecznościowych ponad 30 mln razy. Z „polskimi nazistami" było podobnie.

> **Dokładnie to samo robiła targowica.**
> **Nie ma argumentów i siły wewnętrznej, więc szuka się interwencji z zewnątrz**

Niestety rząd robi za mało. Akurat w tej materii powinien się uczyć od o. Tadeusza Rydzyka, który potrafi organizować w Toruniu konferencje o polskich Sprawiedliwych z udziałem izraelskich polityków wysokiego szczebla. Musimy jako kraj działać znacznie aktywniej, urządzać debaty z żydowskimi rabinami, organizować wymiany studenckie, opowiadać o cieniach i blaskach naszej wspólnej historii oraz o tym, ilu Żydów było przez wieki również prawdziwymi Polakami i żyło na naszych ziemiach bezpiecznie. To musi być wszystko przeprowadzone z rozmachem, powinniśmy brać współudział we wszystkich globalnych dyskusjach, zostać ekspertami z dziedziny historii Holokaustu, która została zmonopolizowana przez Polaków bardzo krytycznych wobec przeszłości swojego narodu. Gdybyśmy wzięli na siebie ten ciężar, to później nawet tacy naziole z wafelkowym tortem nie zdominowaliby narracji na nasz temat.

A może tego procesu w jakimś sensie nie da się zatrzymać? Przecież nie można zabronić polskim artystom i politykom chodzenia do niemieckich mediów i opowiadania w reportażach o „Polsce zmierzającej do dyktatury" i „atmosferze przypominającej lata 30.".

Można jednak tych ludzi konfrontować z rzeczywistością. Zamiast jak Ryszard Czarnecki porównywać Różę Thun do szmalcowników – wykazać jej brak kompetencji i kłamliwe tezy. Czy w naszym kraju faktycznie jesteśmy u progu dyktatury? Czy ci ludzie w ogóle potrafią się wydostać ze swojej intelektualnej bańki i wyścigu ku radykalizmowi? Czy chodzą na zakupy do Biedronki, rozmawiają ze zwykłymi ludźmi, słuchają nastrojów społecznych? Wątpię. Sam mam z tym problem, żeby czasami skonfrontować się z kimś o innych poglądach niż tylko mój konserwatywny narożnik. Przynajmniej jednak się staram i mam świadomość przechyłu w jakiejś dziedzinie. Zaprosiłbym Guya Verhofstadta na kawę, pokazał, jak wygląda Polska, ale obawiam się, że to i tak niczego by już nie zmieniło.

Czy myślisz, że jest jeszcze szansa, żeby zmyć z naszego narodu piętno rasistów, antysemitów, ksenofobów, którzy budują prawicową dyktaturę? Czy to jest jeszcze do odkłamania na Zachodzie?

Jestem mimo wszystko optymistą. Moim zdaniem tę walkę wygramy, bo mamy w rękawie wszystkie najlepsze karty – to było w jakimś sensie widać w tej kapitalnej animacji „Niezwyciężeni". Jak wielkim heroizmem wykazali się Polacy podczas II wojny światowej – nieporównywalnym z żadnym innym europejskim krajem. I to są fakty. Tylko trzeba je położyć na stół, zjednoczyć siły wszystkich instytucji, rządu, Kościoła, organizacji pozarządowych. Zacząć mówić jednym głosem. Pokazywać postaci Jana Karskiego, Witolda Pileckiego, czarnoskórego powstańca warszawskiego Augusta Agboli O'Browna, Irenę Sendlerową. Robić to nowocześnie, na wszystkich płaszczyznach – od memów po wideo – z tradycyjnym kośćcem, ale nowoczesną tkanką.

A wierzysz, że twój proces będzie uczciwy?

Mam co do tego wątpliwości, ale ostatecznie nie to jest istotne. Swój cel już osiągnąłem – chodzi o symboliczne zamanifestowanie, że nie będziemy stać bezczynnie wobec kłamstw. To, szczególnie dzisiaj, obowiązek każdego prawdziwego patrioty.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl c435d7738c

Polska zawsze wierna?

Krystian Kratiuk

Ponad 100 tys. świeckich katolików zwróciło się z prośbą do polskich biskupów o potwierdzenie nauczania Kościoła na temat małżeństwa. Akcja „Polonia Semper Fidelis" to zupełnie unikatowa inicjatywa. W dobie olbrzymiego chaosu w Kościele jest niezwykle potrzebna

Taka sytuacja jeszcze się w Polsce nie zdarzyła – oto wierni proszą swych pasterzy o potwierdzenie dotychczasowej nauki. Co ich do tego skłoniło? Oczywiście zamieszanie, którego przyczyną są sprzeczne ze słowami Chrystusa interpretacje adhortacji „Amoris laetitia". Otóż według wielu biskupów z różnych krajów z papieskiego dokumentu wynika, że można przystępować do komunii świętej, będąc rozwodnikiem żyjącym w nowym związku cywilnym.

Polscy katolicy nie chcieli czekać bezczynnie na od dawna zapowiadane stanowisko naszych biskupów w tej sprawie, ale wesprzeć ich w decyzjach, które mogą wydawać się trudne. Żaden europejski – czy „zachodni" – episkopat nie wydał bowiem jeszcze dokumentu, w którym negowano by interpretacje „Amoris laetitia", do których przychyla się sam Ojciec Święty. A interpretacje te wywracają do góry nogami wielowiekowe nauczanie, zdecydowanie potwierdzone chociażby przez św. Jana Pawła II.

SZEROKIE POPARCIE I MEDIALNA CISZA

Chociaż akcja Instytutu ks. Piotra Skargi trwa już od miesiąca, to nie znalazła poklasku wśród redaktorów mediów katolickich. Chociaż organizatorzy zebrali podpisy od ważnych dla wewnątrzkościelnej opinii publicznej osób: m.in. Grzegorza Górnego, Pawła Milcarka, Tomasza P. Terlikowskiego czy profesorów Jacka Bartyzela, Grzegorza Kucharczyka, Andrzeja Nowaka, o akcji piszą głównie (jeśli już ktoś zdecyduje się do niej odnieść) media świeckie.

Warto więc przyjrzeć się argumentom, dla których wiele osób związanych z Kościołem zdecydowało się poprzeć tę unikatową kampanię.

Profesor Kucharczyk np. „obawia się, że wśród większości duchownych dominuje pogląd, że problem sam się załatwi". A nie jest to prawda. Wyjaśniając, dlaczego podpisał list do biskupów, historyk powiedział: „Tak nakazywało mi sumienie. Poza tym jestem z pokolenia ludzi, którzy dobrze pamiętają słowa papieża Polaka z 1983 r. o tym, żeby wymagać od siebie, nawet jeśli inni od nas nie wymagają". Profesor Jacek Bartyzel z kolei stwierdził: „Uważam [podpisanie tej petycji – przyp. red.] za obowiązek świadomego katolika. W sytuacji, kiedy wprowadzany jest tak poważny zamęt, kiedy pasterze nie nauczają tego, czego winni nauczać, albo wprowadzają jakąś niejasność, również świeccy mają obowiązek wystąpić".

Istotne jest też stanowisko poważanych katolickich publicystów. Grzegorz Górny przypomina, że „polscy biskupi podczas ostatniego Synodu w Rzymie najdzielniej bronili nauczania Jezusa o nierozerwalności małżeństwa. Być może więc głos z Polski ośmieli innych do dawania świadectwa prawdzie". Tomasz Rowiński z „Christianitas" dodaje: „Polscy biskupi potrzebują wsparcia wiernych, potrzebują świadomości, że patrzymy na nich jako na prawdziwych nauczycieli wiary katolickiej i że z tej władzy oraz odpowiedzialności nie zwalnia ich ani pomocnicze ciało, jakim jest Konferencja Episkopatu, ani nawet papież".

Mimo tego wielu polskich mediów do poinformowania o akcji nie zachęcił nawet udział w niej osób znanych jeszcze szerszym kręgom publiczności niż wyżej wspominane. A wśród sygnatariuszy akcji „Polonia Semper Fidelis" znajdziemy też nazwiska Jana Pospieszalskiego, Grzegorza Brauna, Michała Lorenca czy Radosława Pazury.

SZACUNEK I NADZIEJA BOGOBOJNEJ ZAGRANICY

Co ciekawe, o akcji polskich katolików chętnie piszą katolickie media z zagranicy – i to wyłącznie w aprobatywnym tonie. O „Polonia Semper Fidelis" napisali m.in. znani watykaniści – Marco Tosatti i Edward Pentin, a także dziennikarze amerykańscy. Zarówno ich artykuły, jak i komentarze pod nimi zamieszczane stanowią zbiór superlatyw kierowanych pod adresem Polski, polskiego Kościoła i polskich wiernych.

I nic dziwnego. Katolicy na Zachodzie wciąż patrzą na Polaków z wielką nadzieją. To, że w Polsce wciąż chodzi się do kościoła, że księża w konfesjonale nadal spowiadają i ustawiają się do nich kolejki wiernych, że na Wszystkich Świętych płoną miliony zniczy, a w Środę Popielcową (mimo braku obowiązku) świątynie wciąż zapełniają się po brzegi, stanowi dla Zachodu zarówno niedościgniony wzór, jak i powód do zdumienia.

Wszystko to nie może nie prowadzić nas do refleksji o niezwykłej doniosłości akcji „Polonia Semper Fidelis". To, co uczynią w tej sprawie polscy biskupi, może mieć wielkie znaczenie nie tylko dla Kościoła polskiego, lecz także dla całego Kościoła powszechnego. Dla przyszłości świata. Czeka ich za to z pewnością wielka wdzięczność polskich wiernych, wielkiej części katolików z innych krajów i, przede wszystkim, nagroda w Niebie.

Wesprzyjmy ich modlitwą oraz podpisem na stronie: www.poloniasemperfidelis.pl.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

Autor jest redaktorem naczelnym PCh24.pl.

eprasa.pl c435d7738c

FOT. MUZEUM NIEPODLEGŁOŚCI/EAST NEWS

Lech Kaczyński w Magdalence

Sławomir Siwek

Lech Kaczyński w czasie spotkań w Magdalence ani nie mówił, ani nie zachowywał się w sposób, którego mógłby się wstydzić. Jaki miał cel i co udało się osiągnąć?

To, co dzisiaj nazywamy „Magdalenką", było w istocie cyklem rozmów przygotowujących Okrągły Stół i zapadłe przy nim ustalenia. Spotkań było kilkanaście (w latach 1988–1989) i większość odbywała się poza willą w Magdalence, w różnych konfiguracjach personalnych. Miejscami rozmów były budynki rządowe w Warszawie, Belweder, siedziba PRON, a nawet willa Gierka w Klarysewie i parafia w Wilanowie. Ogółem uczestniczyły w nich 42 osoby.

W Magdalence miały miejsce najbardziej reprezentatywne, oficjalne i decyzyjne spotkania, ale było ich zaledwie trzy. We wszystkich uczestniczył Lech Kaczyński. Relację z nich sporządzał m.in. Jacek Ambroziak dla Sekretariatu Episkopatu Polski. Z jego notatek czerpię poniższe informacje. Notatki były spisywane na oficjalnych drukach Sekretariatu i nabierały cech dokumentu. Był on, po sprawdzeniu i akceptacji przez delegowanego do rozmów ks. dyr. Alojzego Orszulika, przekazywany prymasowi Polski oraz przesyłany do Watykanu.

MAGDALENKA, 16 WRZEŚNIA 1988 R., GODZ. 15–21

Z notatek: *Lech Kaczyński („Solidarność"): Odkładanie problemu pluralizmu i miejsca dla „Solidarności" niczemu nie służy. Nie wdaję się w sprawę, czy Rada Państwa legalnie czy nielegalnie postępuje, nie odwieszając możliwości działania pluralizmu związkowego. Odwieszenie tego przepisu nie stanowi zmiany porządku prawnego. Byłby to powrót do normalnego stanu. Nie trzeba obawiać się rewindykacji. Czy monizm związkowy ograniczył rewindykacje i zapobiegł wzrostowi płac? Jednoznaczna deklaracja intencji politycznych co do możliwości pluralizmu związkowego i miejsca „Solidarności" otwiera drogę do wszystkich spraw.*

Profesor Andrzej Stelmachowski rozdał projekt komunikatu, w którym wymieniona była Solidarność. Strona rządowa się nie zgodziła. Groziło zerwanie rozmów. W rezultacie przyjęto komunikat jedynie zapowiadający obrady Okrągłego Stołu, a strona rządowa zaakceptowała, że siądzie przy nim delegacja Solidarności. Na tym etapie więcej nie osiągnięto.

IMPAS

Szczegóły dalszych prac omawiali ks. Alojzy Orszulik ze Stanisławem Cioskiem (członkiem kierownictwa PZPR

eprasa.pl c435d7738c

i sekretarzem PRON) oraz prof. Andrzej Stelmachowski z Józefem Czyrkiem (członkiem Biura Politycznego PZPR). Jednak do spotkań w Magdalence nie dochodzi. Ksiądz Orszulik relacjonuje prace przygotowawcze do rozmów Okrągłego Stołu w czasie 230. Konferencji Plenarnej Episkopatu Polski 6 października 1988 r. Księża biskupi (z komunikatu) „dali wyraz przekonaniu, że prawa pracownicze, zwłaszcza robotników, rolników, do właściwych im związków według ich własnego wyboru będą zagwarantowane...".

30 października władze decydują o likwidacji Stoczni Gdańskiej. W rozmowie z Cioskiem 9 listopada ks. Orszulik mówi, że nikt nie wierzy, by była to decyzja ekonomiczna. Utrudnia to doprowadzenie do Okrągłego Stołu.

Następuje próba przełamania kryzysu. 18 i 19 listopada 1988 r. w budynkach parafii w Wilanowie dochodzi do spotkania gen. Czesława Kiszczaka z Lechem Wałęsą z udziałem: ks. abp. Bronisława Dąbrowskiego, bp. Tadeusza Gocłowskiego, ks. Alojzego Orszulika, Stanisława Cioska i Tadeusza Mazowieckiego. Bez efektu. Władza nadal nie chce publicznie zadeklarować legalizacji Solidarności.

W toku dalszych kontaktów Stanisława Cioska i ks. Alojzego Orszulika staje się jasne, że opór aparatu partyjnego wobec legalizacji Solidarności i w ogóle zwoływanie obrad Okrągłego Stołu jest większy, niż spodziewali się Jaruzelski, Kiszczak i Ciosek. Wszystko ma się rozstrzygnąć w czasie X plenum PZPR 20 i 21 grudnia. Zebrało się ono, ale nie zakończyło – druga część zwołana została na 16–18 stycznia 1989 r. Impas trwał.

17 stycznia 1989 r. gen. Jaruzelski gra va banque: kierownictwo partii podaje się do dymisji i uzyskuje wotum zaufania. X plenum Komitetu Centralnego PZPR przyjmie stanowisko, w którym padają wreszcie nazwa „Solidarność" i zapowiedź jej legalizacji.

Może dojść do następnego spotkania w Magdalence przygotowującego Okrągły Stół.

MAGDALENKA, 27 STYCZNIA 1989 R., GODZ. 11.35–23

Tadeusz Mazowiecki stawia sprawę sposobu legalizacji Solidarności. Mówi: „Stoimy na stanowisku, że powinna być zalegalizowana cała »Solidarność« od razu"... Zdawano sobie sprawę, że bez tej organizacji i struktur w całym kraju udział w najbardziej nawet demokratycznych wyborach nie będzie miał sensu. Stanisław Ciosek pyta: „Jaki jest wasz stosunek do ustawy z 1982 r. o związkach zawodowych?".

Z notatek: *Kaczyński odpowiedział, że ustawę traktujemy jako punkt wyjścia do dalszych rozmów. Wypowiadaliśmy się na ten temat już poprzednio, a pacta sunt servanda. Jednakże widzimy absolutnie konieczność jej realizacji. Ten obowiązek wynika także z ratyfikacji przez Polskę konwencji MOP o wolnościach związkowych. W tej chwili jest to punkt wyjścia, ale niezbędne są natychmiastowe zmiany, bo inaczej trudno będzie uruchomić cały mechanizm rejestracji. Kaczyński zwrócił uwagę, że rejestracja tylko na dole byłaby niezwykle konfliktowa. Na dole istnieje szereg nierozwiązanych problemów rewindykacyjnych, stąd potrzeba powstania także góry i dlatego konieczna jest zmiana ustawy. Ponadto istotna jest struktura organizacyjna związku. Przywiązujemy wagę do regionów – powiedział. – Możemy dyskutować przy „okrągłym stole", czy to mają być regiony, czy powiązania branżowe, choć te uważamy za bardziej konfliktogenne, gdyż interesy branżowe, jak pokazuje doświadczenie, mają charakter antyreformatorski. Trzecia sprawa to wspólna reprezentacja zakładów pracy wobec administracji, o czym mówi stanowisko X Plenum. Ta sprawa w ogóle nie jest uregulowana w ustawie. Kaczyński stwierdził, że ważna jest także tożsamość związku w tej nowej sytuacji. Negocjacje w zakładzie pracy winny się toczyć wspólnie. W konfliktach między związkiem a zakładem pracy taka komisja międzyzakładowa mogłaby być ciałem kompetentnym. Ale pozostałe kwestie, a zwłaszcza konflikty indywidualne, winny być w gestii każdego ze związków. Każdy związek broni swoich członków. Ci, co nie należą do związków, mieliby prawo wybrać sobie związek, który by bronił ich interesów. Gdy nie przyjmiemy propozycji wspólnej komisji zakładowej, musimy szukać innych rozwiązań.*

Sumując: widzimy problemy rejestracji, regionów i komisji międzyzwiązkowej. Jest też szereg innych spraw, które wymagają zmiany ustawy, a które wynikają z konwencji MOP.

Drugi omawiany w czasie tego spotkania problem to sprawy ustrojowe i podział mandatów w Sejmie, powstanie Senatu i urzędu prezydenta. Strona rządowa chce powołania komitetu porozumiewawczego i zawarcia umowy społecznej.

Z notatek: *Kaczyński: Spytał kiedy ma być zawarta umowa społeczna i kiedy zostanie powołana komisja porozumiewawcza.*

Ciosek: Umowa – na zakończenie obrad „okrągłego stołu", a komisja byłaby efektem prac przy „okrągłym stole".

Po przerwie w obradach strona rządowa próbuje wrócić do sprawy legalizacji Solidarności, pragnąc rozciągnąć ten proces na czas po wyborach („etapami do końca roku" – Ciosek).

Z notatek: *Kaczyński: Nie mogę sobie wyobrazić wyborów bez uruchomienia „Solidarności". Może być i tak, że wybory się odbędą, a „Solidarność" nie będzie reaktywowana. Możemy się spotkać z takimi zarzutami.*

Ksiądz Orszulik: Nasze dotychczasowe spotkania nie były spotkaniami towarzyskimi. Przedstawiliśmy argumenty, że uchwała Rady Państwa winna być uchylona w lutym, najpóźniej w marcu, bo bez niej jesteśmy w tym samym miejscu. Wracamy do punktu wyjścia albo się rozchodzimy.

Bronisław Geremek: Sprawa niekonfrontacyjnych wyborów ściśle wiąże się z problemem legalizacji „Solidarności".

Strona rządowa pragnie przede wszystkim uzgodnień w sprawie wyborów i wykazania w propagandzie, że doszło do porozumienia. Strona społeczna chce gwarancji trwałych zmian, a tych nie ma bez legalizacji Solidarności. Strona rządowa chce stawiać stronę społeczną przed faktami dokonanymi. Oświadczają, że 4 lutego Komisja Porozumiewawcza PZPR, ZSL i SD podejmie decyzje co do koncepcji zmian ustrojowych i przedstawi je 6 lutego.

Z notatek: *Kaczyński: Rozumiem, że 6 lutego będzie przedstawione tylko stanowisko koalicji.*

Stelmachowski: Rozumiem, że to porozumienie jest tylko na jedną kadencję. Trzeba dać społeczeństwu wizję przyszłych demokratycznych wyborów.

Kaczyński: Panowie proponują nam koalicję.

Kiszczak: Chcemy, by po wyborach wasi przedstawiciele weszli w skład rządu. Polskę musimy wyciągnąć z kryzysu wspólnymi siłami.

Mazowiecki: Zawierając porozumienie, bierzemy odpowiedzialność za państwo, lecz nie za rządzenie.

To stanowisko uległo zmianie w wyniku wyborów 4 czerwca 1989 r.

Przerwa w obradach. Po przerwie Wałęsa oświadcza, że nie zasiądzie do stołu, jeśli sprawa legalizacji Solidarności nie zostanie załatwiona. Mazowiecki podaje datę: do 6 lutego. Geremek precyzuje, że w innym przypadku „nie ma naszej rozmowy

eprasa.pl c435d7738c

i okrągłego stołu...". W rezultacie przyjęto, że „obrady okrągłego stołu" zaczną się 6 lutego, a legalizacja nastąpi w marcu. Ostatecznie ponowna rejestracja miała miejsce 7 kwietnia. Obrady Okrągłego Stołu trwają do 5 kwietnia 1989 r.

MAGDALENKA, 2 MARCA 1989 R., GODZ. 9.30–18.15

Po raz pierwszy pojawia się w Magdalence Aleksander Kwaśniewski i okazuje się, że staje się liderem strony rządowej.

Pierwszoplanowe stały się przygotowania wyborów parlamentarnych. Zaplanowano je na 4 czerwca 1989 r., chociaż Kiszczak zasugerował 21 maja. Strona rządowa zaproponowała ustalenie liczby i rozdziału mandatów w umowie politycznej. Pojawiła się kontrowersja.

Z notatek: *Mazowiecki: Ten podział powinien się znaleźć w ordynacji wyborczej.*

Ciosek: odpowiedział, że jest to niemożliwe.

Kaczyński: stwierdził, że oprócz umowy, tego rodzaju podział, aby był jasny dla społeczeństwa, musi być wpisany do ordynacji.

Strona rządowa się zgadza. Rozpoczął się ostry spór o kompetencje prezydenta, o którego powołanie zabiega strona rządowa.

Z notatek: *Kaczyński: Przedstawiony model prezydenta jest to model autorytarny. Dysponuje on olbrzymimi prerogatywami. Nie ma nawet obowiązku kontrasygnaty ministrów przy podpisywaniu ustaw.*

Reykowski [Janusz]: zapytał, co was głównie drażni przy tym modelu prezydenta.

Wałęsa: Sposób jego wyboru.

Kaczyński dodał, że to, o czym już mówiliśmy, jego uprawnienie.

I w tym momencie ku zaskoczeniu strony społecznej pojawia się propozycja strony rządowej, która okaże się jej największym błędem.

Z notatek: *Kwaśniewski zadał pytanie, a co by było, gdy się powoła drugą izbę i obie izby wybiorą prezydenta?*

Geremek odpowiedział, że ta propozycja jest interesująca.

Kwaśniewski: Czy Senat mógłby być wybierany tak jak Sejm?

Geremek: Senat powinien być wybierany w wolnych wyborach.

Ireneusz Sekuła zapytał: Czy mamy rozumieć, że wy zgodzilibyście się na to, że zgromadzenie narodowe złożone z Sejmu i drugiej izby wybierałoby prezydenta?

Geremek stwierdził, że byłaby to propozycja interesująca.

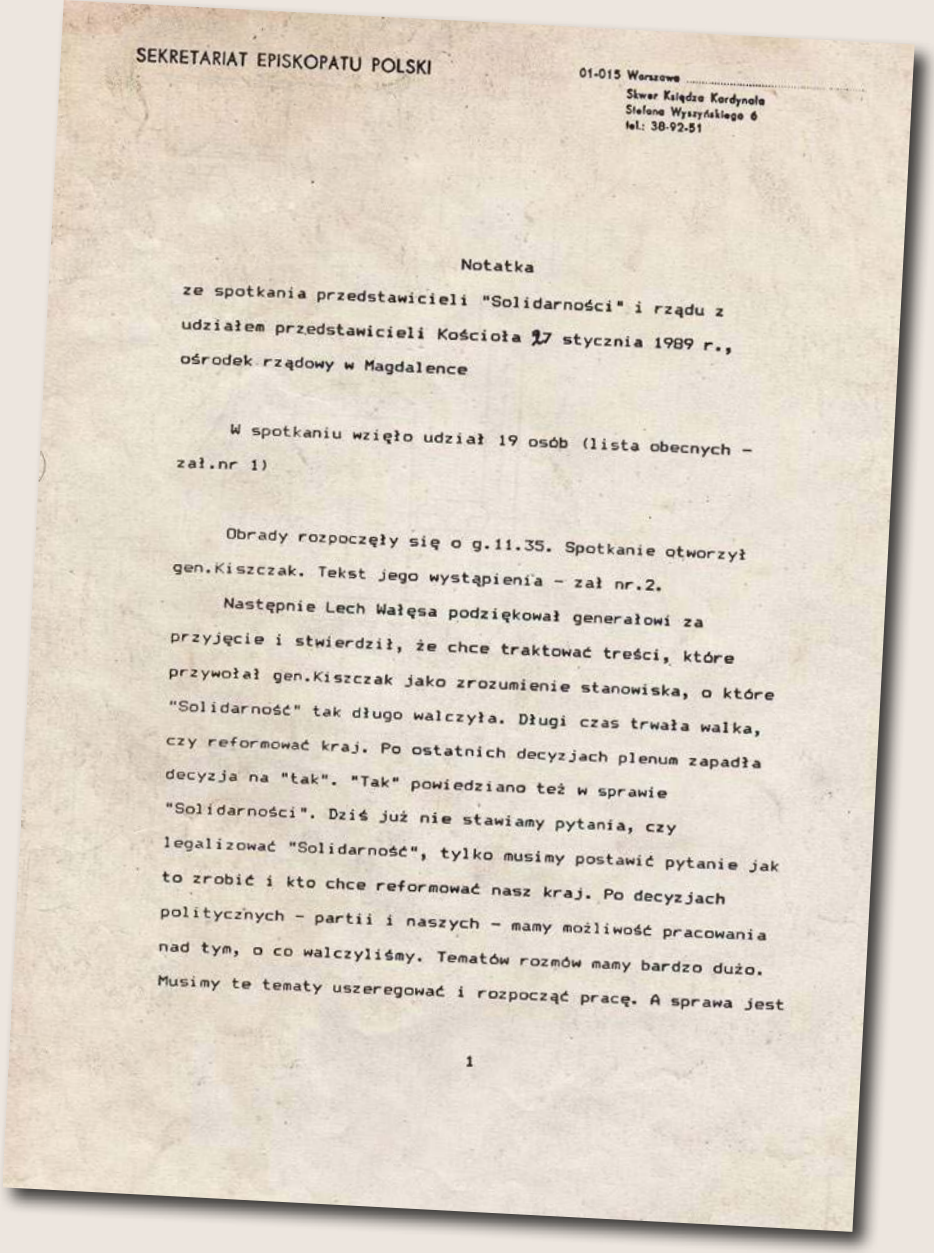

SEKRETARIAT EPISKOPATU POLSKI

01-015 Warszawa
Skwer Księdza Kardynała
Stefana Wyszyńskiego 6
tel.: 38-92-51

Notatka

ze spotkania przedstawicieli "Solidarności" i rządu z udziałem przedstawicieli Kościoła 27 stycznia 1989 r., ośrodek rządowy w Magdalence

W spotkaniu wzięło udział 19 osób (lista obecnych - zał.nr 1)

Obrady rozpoczęły się o g.11.35. Spotkanie otworzył gen.Kiszczak. Tekst jego wystąpienia - zał nr.2.

Następnie Lech Wałęsa podziękował generałowi za przyjęcie i stwierdził, że chce traktować treści, które przywołał gen.Kiszczak jako zrozumienie stanowiska, o które "Solidarność" tak długo walczyła. Długi czas trwała walka, czy reformować kraj. Po ostatnich decyzjach plenum zapadła decyzja na "tak". "Tak" powiedziano też w sprawie "Solidarności". Dziś już nie stawiamy pytania, czy legalizować "Solidarność", tylko musimy postawić pytanie jak to zrobić i kto chce reformować nasz kraj. Po decyzjach politycznych - partii i naszych - mamy możliwość pracowania nad tym, o co walczyliśmy. Tematów rozmów mamy bardzo dużo. Musimy te tematy uszeregować i rozpocząć pracę. A sprawa jest

1

Sekuła: Proponujecie więc, aby Sejm był wybierany tak, jak to ustaliliśmy, druga izba wybierana by była w wolnych wyborach, a obie izby wybierałyby prezydenta.

I to był ten największy błąd władzy. Dla powstania urzędu prezydenta i wyboru Jaruzelskiego zgodzili się, a w istocie nawet sami do tego parli, aby wybory do Senatu były wolne. Byli pewni wygranej. Tymczasem wolne wybory do Senatu i całkowita w nich klęska komunistów oraz przegrana listy krajowej w wyborach do Sejmu uruchomiły proces rozkładu ustroju.

Tutaj zresztą dodajmy, że także strona społeczna popełniła błąd, co w 2017 r. w rozmowie z niżej podpisanym powiedział ks. bp Orszulik, który uważał, iż strona społeczna mogła postawić postulat wolnych wyborów także do Sejmu. Była olbrzymia szansa, że władza by się zgodziła.

Więcej spotkań w Magdalence nie było.

Lech Kaczyński w czasie tych spotkań ani nie mówił, ani nie zachowywał się w sposób, którego mógłby się wstydzić. Wyraźnie widać, że z racji jego usytuowania w Solidarności najważniejsze było dla niego uzyskanie legalizacji związku. To bowiem stanowiło gwarancję jakichkolwiek ustaleń ustrojowych w czasie obrad Okrągłego Stołu i ich realizacji po nim.

Trudno też uznać rozmowy w Magdalence za spisek. Wówczas kłopot niektórym stwarza obecność w nich Lecha Kaczyńskiego. Radzę rozwagę w ocenach. Owszem, wedle mojej wiedzy ze zbrataniem części elit władzy i solidarnościowych możemy mówić od pewnego, ale późniejszego momentu. To historia na inną opowieść.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

Autor jest publicystą, politykiem, wiceprzewodniczącym Rady Programowej TVP, prowadzi fundację Solidarna Wieś. Był doradcą w Sekretariacie Episkopatu Polski, posłem na Sejm I kadencji, sekretarzem stanu w Kancelarii Prezydenta RP Lecha Wałęsy, członkiem zarządu TVP.

eprasa.pl c435d7738c

PIOTR ZYCHOWICZ

REALHISTORIK

Piłsudski prezydentem Litwy

Polska. Ale jaka? Takie pytanie zadawali sobie nasi przodkowie 100 lat temu, gdy po latach niewoli przyszło im odbudowywać państwo. Dzisiaj odpowiedź wydaje się oczywista, ale w latach 1918–1919 nie była. Wówczas ścierały się rozmaite koncepcje ustrojowe i terytorialne.

Zasadniczy, najważniejszy spór dotyczył jednak tego, czy Polska ma się odrodzić jako plemienne państwo polskie, czy też jako Rzeczpospolita wielonarodowa. Zwolennikami tej pierwszej koncepcji byli oczywiście endecy, zwolennikami drugiej – konserwatyści i Józef Piłsudski.

W nowym numerze „Karty" znalazły się fascynujące fragmenty dzienników Michała Römera, które ukazują kulisy rozgrywki Piłsudskiego na „odcinku litewskim". Jako Litwin z krwi i kości Naczelnik Państwa marzył oczywiście o restauracji Wielkiego Księstwa Litewskiego, a następnie sfederowaniu go z Polską.

Jak wynika z opublikowanych zapisków, Piłsudski sam chciał stanąć na czele wielkiej Litwy jako jej prezydent. Misję stworzenia pierwszego rządu planował zaś powierzyć właśnie Römerowi. W kwietniu 1919 r. Römer pojechał do Kowna, aby pozyskać do tego projektu litewskich nacjonalistów.

Możliwości były dwie. Albo Litwa odrodzi się jako duże, potężne państwo (w jej skład weszłaby wówczas Litwa kowieńska, Wileńszczyzna i Białoruś), ale w związku federacyjnym z Polską. Albo Litwa powstanie jako nacjonalistyczne, plemienne państewko, ale bez Wilna, które inkorporuje Polska.

Litwini, do których dotarł Römer, odrzucili propozycję Piłsudskiego. Nawet nie chcieli słyszeć o tworzeniu wielkiej Litwy w przymierzu z Polakami. W projekcie tym widzieli bowiem zakamuflowany „polski imperializm". Kowno postanowiło niestety iść własną drogą.

W tej sytuacji – moim zdaniem niesłusznie – Piłsudski zarzucił swoje plany. Machnął ręką na Wielkie Księstwo i zgodził się ostatecznie na włączenie Wilna i okolic do państwa polskiego. Było to katastrofą. W ten sposób pogrzebana została bowiem ostatnia szansa na restaurację Wielkiego Księstwa. Ojczyzny moich przodków.

Poza tym w nowej „Karcie": przygody polskich mudżahedinów, opowieść o buncie w więzieniu w Świętym Krzyżu i historia zbuntowanego sowieckiego generała. Wyjątkowo dobry numer. ©℗

★★★★★★
„KARTA" 94/2018

SŁAWOMIR KOPER

HISTORIA WIECZNIE ŻYWA

Ucieczka dziada sokalskiego

Niewiele już dzisiaj osób pamięta, że po zakończeniu II wojny światowej wschodnia granica naszego kraju miała inny przebieg niż obecna granica z Ukrainą. Po stronie polskiej pozostawały miasteczka Bełz i Sokal, a Ustrzyki Dolne wraz z pasem Bieszczad należały do ZSRS. Kiedy jednak w okolicy Bełza odkryto bogate pokłady węgla kamiennego, rząd PRL musiał zgodzić się na korektę granicy.

> **Dla większości turystów z kraju jest to wyłącznie miejsce przesiadki**

Odpowiednią umowę podpisano 15 lutego 1951 r., a jej ogłoszenie wywołało prawdziwą panikę wśród miejscowej ludności. Mieszkańcy Bełza i Sokala nie czekali na repatriację czy oficjalne przesiedlenie, tylko niezwłocznie rzucili się do ucieczki. Uciekał nawet „dziad sokalski", większość emigrantów osiedliła się w okolicach Ustrzyk i Krościenka, w efekcie Sowieci zajęli niemal zupełnie wyludnione terytorium.

Nie tylko Bełz i Sokal zawłaszczyli wówczas bolszewicy – podobny los spotkał pobliski Krystynopol przemianowany niezwłocznie na Czerwonogród. Natychmiast powstało tam osiedle górnicze, dlatego obecnie miasto składa się właściwie z dwóch różnych miejscowości. Starsza, pomimo typowo sowieckiej dewastacji, zachowała sporo z dawnego charakteru, natomiast młodsza prezentuje się jak typowa sowiecka osada przemysłowa – przygnębiające, brudne blokowisko.

Starsza część Krystynopola sprawia wrażenie wyludnionej, życie mieszkańców koncentruje się w drugiej części miasta. Dla większości turystów z naszego kraju jest to wyłącznie miejsce przesiadki lub tranzytu w podróżach na Wołyń, do Lwowa czy na Podole. Przebywając tutaj, warto zwrócić uwagę na dawny klasztor Bernardynów zajmowany przez Cerkiew greckokatolicką oraz przywrócony niedawno do funkcji kultowych klasztor Bazylianów. Jeżeli jednak znajdziemy nieco czasu, to warto obejrzeć pałac założycieli Krystynopola – Potockich. Zorganizowane w rezydencji Muzeum Historii Religii (uprzednio Muzeum Ateizmu) nie dysponuje wprawdzie interesującymi zbiorami, ale samo miejsce emanuje intrygującą atmosferą przypominającą czasy Rzeczypospolitej Obojga Narodów. I nie przeszkadzają w tym prace przy renowacji budynku, rusztowania, siatki, drabiny, a nawet boisko piłkarskie wybudowane w dawnym ogrodzie, na miejscu kanałów, stawów i fontann (kiedyś istniał nawet kanał łączący ogród z Bugiem).

Nie od dzisiaj przecież wiadomo, że władze za naszą wschodnią granicą zawsze przejawiały dużo inwencji w znajdowaniu nowych zastosowań dla reliktów polskiej kultury. ©℗

eprasa.pl c435d7738c

Powrót Berlusconiego

Teresa Stylińska

Polityków na tyle wyrazistych i barwnych, by zasłużyli sobie na filmową biografię już za życia, można policzyć na palcach. W tym wąskim gronie gwiazdą pierwszej wielkości jest Silvio Berlusconi. Od sześciu lat na politycznej emeryturze. Jak się okazuje, nie do końca

Filmowa opowieść, nakręcona przez Paolo Sorrentino, osnuta jest wokół skandali, których bohaterem był Berlusconi. Chodzi przede wszystkim o osławione przyjęcia bunga-bunga, jakie organizował on niegdyś w swych willach i posiadłościach. Te nader swobodne zabawy, z licznym udziałem młodych kobiet, wpływowych mężczyzn oraz polityków, także zagranicznych, ogromnie zszargały reputację Berlusconiego. Wielu Włochów do głębi oburzały i gorszyły, zwłaszcza gdy stało się wiadome, że wśród uczestniczek są i takie, które mogłyby być wnuczkami gospodarza. W tym kontekście oczywisty staje się tytuł filmu: „Loro", czyli „One", fonetycznie przy tym dwuznaczny – bo „l'oro" znaczy „złoto".

Film jest na ukończeniu i w najbliższych tygodniach powinien wejść na ekrany włoskich kin. Wobec zbliżania się wyborów parlamentarnych, które mają się odbyć 4 marca, rodzi to jednak pytania natury bynajmniej nie artystycznej. Filmowej sylwetki polityka, który jak nikt inny był obecny w życiu politycznym Włoch ostatniego ćwierćwiecza, trudno nie postrzegać w kategoriach kampanii przedwyborczej. Czy film zaszkodzi Berlusconiemu czy też raczej przysporzy mu sympatii? Nie wiadomo, ale trudno wątpić, by film z takim bohaterem nie miał wpływu na wynik głosowania.

Powrót Berlusconiego jest bowiem faktem. Od połowy ubiegłego roku Forza Italia, jego partia, niezmiennie zyskuje w kolejnych wyborach i w sondażach, a sam Berlusconi przymierza się do odzyskania swej ulubionej roli przywódcy, ku zaniepokojeniu konkurentów.

MILIARDER W ROLI ZBAWCY

Silvio Berlusconi wkroczył na scenę polityczną z rozmachem w 1994 r., gdy dawny świat włoskiej polityki z wielkim hukiem się zawalił. Pod ciężarem oskarżeń o korupcję i ciemne powiązania ze światem przestępczym rozpadły się praktycznie wszystkie partie polityczne – od chadecji do komunistów. Było to istne trzęsienie ziemi, które zmiotło wszystkich dawnych przywódców, i Włosi niecierpliwie czekali na kogoś, kto zaprowadzi porządek i przywróci im wiarę w świat działalności publicznej. Jednym słowem: czekali na zbawcę.

Czy był nim właśnie Berlusconi, można dyskutować, ale faktem jest, że jego wejście w świat polityki wzbudziło ogromne oczekiwania. Berlusconi był człowiekiem sukcesu, prawdziwym self-made manem. Majątku nie odziedziczył, zgromadził go sam, a w polityce pojawił się jako człowiek spoza systemu i fakt ten sam w sobie był jego wielkim atutem. Ugrupowanie Forza Italia (Włochy, naprzód), założone przezeń w grudniu 1993 r., już trzy miesiące później wygrało wybory parlamentarne, z niewiarygodnym poparciem prawie 43 proc. Człowiek z zewnątrz został premierem.

Już wtedy to, że kraj składa swe losy w ręce wielkiego przedsiębiorcy, i to aktywnego na polu medialnym, budził pewne obawy. Trzon fortuny Berlusconiego stanowią kanały telewizyjne, wydawnictwa i kilka tytułów prasowych. Zastanawiano się, jak w takim przypadku da się pogodzić interes publiczny z prywatnym. Było jasne, że Berlusconi jako premier będzie miał wpływ na przekaz mediów publicznych, a jako właściciel – na swe własne media. Takiego połączenia nigdy wcześniej nie było.

Berlusconi opuścił świat polityki w 2011 r., gdy jego ostatni rząd stracił większość w parlamencie. W ciągu ponad 17 lat aż dziewięć lat był premierem, co stanowi rekord w powojennej historii Włoch (Giulio Andreotti był premierem aż siedem razy, ale w sumie krócej, bo tylko przez siedem lat). System, jaki ukształtował się po okresie wstrząsów, okazał się bardziej stabilny niż dawny, z rządami zmieniającymi się jak w kalejdoskopie. Powoli zaczął przypominać system dwupartyjny, bo z biegiem czasu wyodrębniły się dwa w miarę trwałe bloki – centroprawicy i centrolewicy,

eprasa.pl c435d7738c

FOT. ALESSANDRA BENEDETTI/CORBIS/GETTY IMAGES

w ostatnich latach uzupełnione o antysystemowy Ruch Pięciu Gwiazd.

PREMIER W ROLI SKANDALISTY

Problem z Berlusconim polegał w gruncie rzeczy na tym, że zbyt łatwo mieszał on różne role – polityka, biznesmena, a także aktora czy wręcz showmana, znajdującego upodobanie w drażnieniu opinii publicznej. W jednym ze swych rządów zaskakująco wiele stanowisk powierzył kobietom, co wyznawcom feminizmu i poprawności powinno było bardzo się podobać. Niestety, szybko się okazało, że kryterium wyboru pań ministrów stanowiły uroda i młody wiek, a nie, uchowaj Boże, kompetencje. Wyglądało to tak, jak gdyby Berlusconi kpił sobie z oczekiwań.

Do historii przeszło jego słynne starcie słowne z Martinem Schulzem w Parlamencie Europejskim. Berlusconi, indagowany przezeń w jakiejś sprawie, odparł, że pan Schulz doskonale nadawałby się do roli kapo i on może go osobiście polecić do kręconego we Włoszech filmu. Na tej wymianie zdań Schulz zresztą doskonale wyszedł. Dzięki kąśliwej uwadze włoskiego premiera skromny deputowany SPD z tylnych ław stał się rozpoznawalny i wszedł na drogę wielkiej kariery.

Wielu nie podobały się bliskie kontakty Berlusconiego z płk. Kaddafim (choć dzięki temu Libia zaczęła hamować napływ imigrantów z Afryki do Włoch) czy jego przyjaźń z Putinem. Zrozumiałe oburzenie budziły informacje o oszustwach podatkowych w 2013 r.; już po odejściu z urzędu został za nie skazany. Czarę goryczy przelały skandale erotyczne i zainteresowanie premiera bardzo młodymi dziewczętami, nie zawsze dobrej reputacji. Kary za seks z 16-letnią marokańską prostytutką, znaną pod imieniem Ruby, Berlusconi uniknął właściwie cudem: sąd uznał, że nie wiedział, iż dziewczyna jest nieletnia.

Berlusconi zawsze twierdził, że źródłem problemów nie są jego własne działania, lecz wrogość lewicy i zdominowanych przez nią sądów oraz prokuratury. Lewica miała sobie wykalkulować, że wyrokami skazującymi zmusi go do porzucenia działalności publicznej, a sama triumfalnie wkroczy na opuszczone pole. Stąd miała wynikać mnogość zarzutów. Co ciekawe, nawet jeśli postępowanie Berlusconiego budziło powszechny niesmak, to tę akurat opinię wielu podzielało.

WŁOSKI TRUMP W ROLI DZIADKA NARODU

Wspomniany wyrok za oszustwa podatkowe okazał się dalekosiężny w skutkach, zawiera bowiem zakaz piastowania stanowisk publicznych do 2019 r. Berlusconi odwołał się wprawdzie do trybunału w Strasburgu, ale sprawa nie została jeszcze rozstrzygnięta. Nawet gdyby jego partia wygrała wybory, Berlusconi nie może stanąć na czele rządu. Może jednak mieć wpływ na to, kto będzie premierem, a rola rozdającego karty – „kingmakera", by użyć zgrabnego angielskiego określenia – też jest nie do pogardzenia. Berlusconi ma kilku kandydatów, ale najważniejszym jest, jak stwierdził w jednym z ostatnich wywiadów, Antonio Tajani, przewodniczący europarlamentu, a dawniej rzecznik Forza Italia. Tajani jest Berlusconiemu na tyle bliski, że – jak się uważa – na pewno się zgodzi.

Czy tak wielkie zaangażowanie nie irytuje innych przywódców centroprawicy? Być może, ale na razie nie dają temu wyrazu. Berlusconi w obecnej swej roli jest po prostu bardzo przydatny, bo przysparza centroprawicy zwolenników. Nowa ordynacja wyborcza, według której odbędą się marcowe wybory, jest bowiem obliczona na zwiększanie szans ugrupowań połączonych w koalicję.

Atrakcyjność Berlusconiego polega na tym, że przyciąga do centroprawicy wyborców umiarkowanych. Dwa pozostałe jej ugrupowania – separatystyczna Liga Północna i nacjonalistyczna partia Fratelli d'Italia (Bracia Włosi – nazwa nawiązuje do tytułu włoskiego hymnu) – mają bardziej skrajny elektorat, a bez znaczącej liczby wyborców centrowych koalicja ma małe szanse na przekroczenie progu 40 proc. głosów, otwierającego drogę do tworzenia rządu. A od chwili, gdy Berlusconi wrócił do gry, notowania centroprawicy rosną nieprzerwanie. Ostatnie sondaże dają jej blisko 39 proc., znacznie powyżej 34 proc. zdobytych w wyborach lokalnych w czerwcu ub.r.

Nie jest to zresztą ten sam Berlusconi co dawniej. Zmienił styl. Koniec z epatowaniem szalonymi zabawami i poprawianiem wyglądu. „Nie ma mowy o bunga-bunga i problemach sądowych. Berlusconi działa krzepiąco, roztaczając wokół siebie aurę spokoju, i na tym polega jego siła. Jest tytanem, zwłaszcza na tle swych bardzo przeciętnych rywali politycznych" – tłumaczył na portalu Politico Giovanni Orsina, autor książki „Republika po Berlusconim". Dzisiaj Berlusconi prezentuje się jako polityk stateczny i umiarkowany, obywatel jak każdy inny, nie ojciec narodu, ale raczej – jak to określa Politico – „dziadek narodu, spokojny i trochę nudny", stosownie do swych 81 lat.

Faktem jest, że choć niepomiernie irytował elity, według których kompromitował Włochy w świecie, to u wielu rodaków mógł liczyć na zrozumienie. Przeciętny Włoch go podziwiał i po cichu mu zazdrościł. Też chciałby mieć tyle pieniędzy i tyle pięknych kobiet wokół siebie. A oszustwa podatkowe? Toż przecież każdy to rozumie, bo każdy robi to samo.

Dlatego Berlusconi raczej nie musi obawiać się złych reperkusji filmu „Loro". Zachowuje zresztą zdrowy dystans, co pokazał na wczesnym etapie produkcji, gdy zaoferował udostępnienie tych rezydencji, gdzie odbywały się bunga-bunga, tak by właściwe sceny kręcono we właściwym miejscu. Nie boi się też porównań do Donalda Trumpa. Gdy po zwycięstwie Trumpa dziennik „Corriere della Sera" drążył ten temat, podkreślając uderzające podobieństwa obu: ogromny majątek, wejście do polityki z biznesu, bez doświadczenia, upodobanie do kobiet i lekceważenie kanonów poprawności, Berlusconi odparł krótko: „To oczywiste".

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl c435d7738c

FOT. JON WOO/REUTERS/FORUM

I tylko bohaterów żal

Tomasz P. Terlikowski

Relacje chińsko-watykańskie ponoć kwitną. Zachwyceni są i dyplomaci Stolicy Apostolskiej, i władze chińskie. I tylko bohaterów oraz męczenników żal

Źródła – i to zarówno watykańskie, jak i chińskie – nie pozostawiają wątpliwości: porozumienie między Chinami a Stolicą Apostolską jest ponoć nie tylko możliwe, lecz także niemal pewne. Ostatecznie ma ono zostać podpisane już wiosną. – Chociaż nie wyznaczono jeszcze konkretnego harmonogramu wprowadzania porozumienia, słyszy się jednak, że jest ono coraz bliżej. W Chinach zaś uważa się, że w wielu kwestiach sprawa jest już zakończona – zapewniał w rozmowie z amerykańską Catholic News Service Henry Cappello, przewodniczący „Caritas in Veritate International", który regularnie podróżuje do Chin i ma kontakty nie tylko w Watykanie, lecz także wśród lojalnych wobec komunistycznych władz, a niekoniecznie wobec Rzymu „biskupów patriotycznych".

Sygnały, że porozumienie jest już blisko, dobiegają także z innych stron. I tak wydawana przez komunistyczny rząd pekińska gazeta „Global Times" zapewnia, że „dzięki mądrości papieża Franciszka relacje dyplomatyczne między Chinami a Watykanem zostaną wznowione raczej szybciej niż później". Owa sławiona mądrość to zaś, by znów oddać głos komunistycznym propagandzistom, „istotne ustępstwa, jakie Franciszek poczynił na rzecz Chin" wbrew „zachodnim mediom i pewnym radykalnym grupom, które sprzeciwiają się chińsko-watykańskim więziom".

BISKUP ZACHWYCONY CHINAMI

Watykańscy urzędnicy nie pozostają dłużni Chinom i także szeroko je komplementują. I tak przewodniczący Papieskiej Akademii Nauk Społecznych, bp Marcelo Sánchez Sorondo, zapewniał w wywiadzie dla hiszpańskiej wersji portalu Vatican Insider, że krajem, w którym najlepiej realizuje się nauczanie społeczne Kościoła, są… Chiny. Jego zdaniem Chiny są „niezwykłym krajem", którego mieszkańcy i władze kierują się „sumieniem narodowym". – Nie ma tam dzielnic nędzy, nie ma narkotyków – zachwycał się biskup.

Nie zabrakło w wywiadzie porównań do Stanów Zjednoczonych, które – według biskupa – są krajem o wiele mniej moralnym niż Chiny. Dlaczego? Ponieważ w Państwie Środka, zdaniem bp. Sánchez Sorondo – „ekonomia nie dominuje polityki, jak to ma miejsce w USA, o czym sami Amerykanie niekiedy mówią". Jego zdaniem Chiny o wiele lepiej niż wiele innych krajów wdrażają w życie encyklikę Franciszka „Laudato si", a także bronią porozumienia paryskiego. – W ten sposób przejmują oni przywództwo moralne, które inni odrzucili – mówił biskup, którego zdaniem Chiny, w odróżnieniu od USA, pracują dla większego dobra naszej planety.

Opinie te biskup wygłaszał po wizycie w Chinach (aż trudno nie zadać pytania, czy odwiedził także miejscowe obozy pracy czy ośrodki dla więźniów, które niewiele różnią się od sowieckich łagrów czy obozów koncentracyjnych), która sprawiła, że „znalazł tam niezwykłe Chiny". – Ludzie nie zdają sobie sprawy, że

eprasa.pl c435d7738c

główną wartością Chin jest praca, praca, i jeszcze raz praca. Nie ma innej drogi, bo przecież, jak powiedział św. Paweł: „Kto nie pracuje, niech nie je" – przekonywał. – Nie można myśleć, że dzisiejsze Chiny są Chinami z czasów Jana Pawła II czy zimnej wojny – przekonywał.

SPRZEDANY KOŚCIÓŁ

Słowa, choć te akurat są wyjątkowo absurdalne, można jednak uznać jedynie za budowanie przyjaznego klimatu. Problemem jest tylko to, że na nich się nie kończy, a Watykan zaczyna prowadzić politykę wykluczania z decyzji tych chińskich katolików, którzy byli wierni Rzymowi i cierpieli za to. I tak watykańska delegacja oficjalnie poprosiła bp. Petera Zhuanga z Shantou i Jospeha Guo Xijina z Mindong o odejście na emeryturę lub rezygnację. Wszystko, by załagodzić relacje z Chinami. Ich miejsce mają zająć wyświęceni bez zgody Stolicy Apostolskiej biskupi ze Stowarzyszenia Patriotycznego.

Biskup Zhuang, jak podawała agencja Asia News, został początkowo przewieziony do Pekinu, gdzie jeden z członków watykańskiej delegacji przekonywał go do ustąpienia na rzecz popieranego przez rząd bp. Josepha Huang Bingzhanga. Ten ostatni został ekskomunikowany w roku 2011 po wyświęceniu go bez zgody Watykanu. Obecnie jest członkiem chińskiego parlamentu. Arcybiskup Claudio Maria Celli miał zapewnić biskupa, że może on wskazać trzech kandydatów na wikariusza generalnego, który będzie sprawował obowiązki przy komunistycznym nominacie. Biskup Zhuang, według źródeł agencji, miał wybuchnąć płaczem i powiedzieć, że nie ma sensu mianować na wikariusza księdza, którego bp Bingzhang może w każdej chwili usunąć. Później watykańska delegacja miała udać się do prowincji Fujian, by tam prosić bp. Josepha Guo Xijina o ustąpienie na rzecz także komunistycznego bp. Vincenta Zhan Silu. Biskup ten zaginął w ubiegłym roku po tym, jak władze zmusiły go do odwiedzenia Biura do Spraw Religijnych. Podpisanie aktu zrzeczenia się biskupstwa było warunkiem jego zwolnienia.

Chińscy katolicy, którzy ryzykowali życie, by zachować wierność Rzymowi, są – najdelikatniej rzecz ujmując – zaskoczeni decyzjami Watykanu. „Trudno nam to zaakceptować, ale czy mamy prawo sprzeciwiać się Watykanowi?" – pyta jeden z działających w podziemiu chińskich księży. A kardynał Joseph Zen, który już rok temu przestrzegał, że jakiekolwiek porozumienie Watykanu z Chinami, w którego efekcie Franciszek uzna Kościół patriotyczny, będzie „zdradą Jezusa Chrystusa", teraz idzie jeszcze dalej i zupełnie wprost stwierdza, że Watykan „sprzedał Kościół w Chinach". „Czy sądzę, że Watykan sprzedaje Kościół katolicki w Chinach? Tak, definitywnie, jeżeli idzie w tym kierunku, jest to oczywiste, jeżeli weźmiemy pod uwagę to, co oni w ostatnich latach i w ostatnich miesiącach robili" – napisał 86-letni hierarcha, emerytowany biskup Hongkongu, w specjalnym liście do „Przyjaciół w mediach", w którym potwierdził informacje o tym, że Watykan poprosił legalnych chińskich biskupów, by ci ustąpili na rzecz komunistycznych nominatów.

ZAUFAJCIE PAPIEŻOWI

Watykan wszystkie te zarzuty odrzuca i zapewnia – by posłużyć się słowami sekretarza stanu Stolicy Apostolskiej kard. Pietro Parolina – że jedynym celem rozmów jest zapewnienie chińskim katolikom „możliwości wyznawania swojej wiary z większym spokojem", a także „definitywne zamknięcie długiego okresu napięć, otwierające przestrzenie większego zaufania i oferujące pozytywny wkład katolików w dobro całego chińskiego społeczeństwa". „Mamy nadzieję, że dojdzie do tego, kiedy zechce Pan, że nie będziemy już musieli mówić o biskupach »legalnych« i »nieprawowitych«, »nielegalnych« i »oficjalnych« w Kościele w Chinach, ale spotkamy się jako bracia, ponownie ucząc się języka współpracy i komunii" – mówił w wywiadzie dla portalu Vatican Insider.

W wywiadzie nie zabrakło również, a jakże, upomnień dla kard. Zena i tych chińskich katolików, którzy czują się zdradzeni przez Stolicę Apostolską. Wierność wobec Ojca Świętego – mówił kard. Parolin – domaga się synowskiego posłuszeństwa, nawet wtedy, gdy nie wszystko wydaje się jasne i nie oznacza wymazania heroicznego świadectwa cierpień znoszonych ze względu na wiarę. Prześladowani, więzieni, torturowani przez chińskie władze biskupi i kapłani zostali zachęceni przez watykańskiego hierarchę do spojrzenia z ufnością na przyszłość Kościoła, który ufa Panu prowadzącemu go w dziejach. Taką ufnością, a nie logiką doczesności – jego zdaniem – kierują się przedstawiciele Stolicy Apostolskiej. „Szczególnym zadaniem pasterzy jest dopomożenie wiernym, by rozpoznali w kierownictwie papieża pewny punkt odniesienia, by zrozumieli Boży plan w obecnych okolicznościach" – stwierdził sekretarz stanu Stolicy Apostolskiej. „Stolica Apostolska stara się znaleźć syntezę prawdy i realistyczny sposób, by odpowiedzieć na uzasadnione oczekiwania wiernych, wewnątrz i na zewnątrz Chin. Potrzeba więcej pokory i ducha wiary, aby wspólnie odkryć Boży plan dla Kościoła w Chinach. Od każdego wymaga się większej ostrożności i umiaru, aby uniknąć popadania w bezpłodne polemiki, które ranią komunię i ograbiają z nadziei na lepszą przyszłość" – powiedział najbliższy współpracownik Ojca Świętego.

Kłopot polega tylko na tym, że wiele wskazuje na to, iż nadzieje Watykanu są – jak wielokrotnie wcześniej w prowadzonym przez Pawła VI czy Jana XXIII dialogu z komunistami – płonne. I zwraca na to uwagę kard. Zen. Jego zdaniem w efekcie zamiast odbudować jedność w prawdzie, Watykan „udzieliłby błogosławieństwa na nowo wzmocnionemu Kościołowi schizmatyckiemu, pozbawiając wyrzutów sumienia tych wszystkich, którzy już są dobrowolnymi renegatami, i tych pozostałych, którzy chętnie się do nich przyłączą". Naiwnością jest także przekonanie, że Chiny – jeśli tylko porozumieją się z Watykanem – przestaną prześladować katolików.

„Komunistyczny rząd tworzy nowe, surowsze regulacje prawne, ograniczające wolność religijną. Wprowadza teraz w życie rygorystycznie regulacje, które do tej pory były jedynie na papierze […] Uczestnictwo w podziemnej Mszy nie będzie już dłużej tolerowane" – wskazywał kard. Zen. Nie widać także, jego zdaniem, przestrzeni do współpracy z wrogim wszelkiej religii i wolności totalitarnym rządem. „Czy nie jest dobrą rzeczą próba znalezienia wspólnego gruntu, by zasypać trwający od dziesięcioleci podział pomiędzy Watykanem a Chinami? Ale czy może istnieć coś naprawdę »wspólnego« z reżimem totalitarnym? Albo się poddajemy, albo akceptujemy prześladowanie, pozostając jednak wiernym samemu sobie (czy możecie sobie wyobrazić porozumienie pomiędzy św. Józefem a królem Herodem?)" – pisał kardynał.

I wiele wskazuje, że to on ma w tej sprawie rację. Watykan zaś, jak zwykle w „dialogu" z komunistami, cnotę straci, a rubelka (wolności duszpasterskiej) nie zarobi. Wydawać by się mogło, że doświadczenia minionych dziesięcioleci pokazały to wystarczająco dobitnie, widać jednak, że watykańska dyplomacja nie jest w stanie uczyć się na własnych błędach.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl c435d7738c

Piotr Czyżewski

Liberalizacja prawa aborcyjnego nie ma być tylko kolejnym krokiem laicyzacji Zielonej Wyspy. Ma być początkiem przemian w wielu krajach

Bitwa o Irlandię

Pod koniec maja w Irlandii dojdzie do referendum. Jego stawką będzie ósma poprawka do konstytucji, która uniemożliwia przeprowadzenie zmian w prawie dotyczącym ochrony życia. Jeśli Irlandczycy zagłosują za odrzuceniem poprawki, to parlament najprawdopodobniej wprowadzi prawo zezwalające na aborcję w ciągu pierwszych 12 tygodni życia wszystkich nienarodzonych, a w późniejszym okresie na zabijanie dzieci z upośledzeniem, poczętych wskutek gwałtu lub kazirodztwa.

W świadomości wielu Polaków Irlandia funkcjonuje jako jeden z najbardziej katolickich krajów w Europie. Społeczne przemiany ostatnich lat sprawiły, że opinia ta jest jak najbardziej mylna, a Irlandczycy są dziś jednym z najbardziej lewicujących społeczeństw w Europie i należą do ścisłej awangardy na wdrażaniu liberalnych rozwiązań, takich jak homomałżeństwa czy aborcja.

CHORY PACJENT

We wrześniu 1979 r. Jan Paweł II w drodze do USA odwiedził Irlandię. Była to jedna z pierwszych pielgrzymek zagranicznych nowego papieża. W dublińskim Phoenix Park, gdzie planowano centralną mszę, miała pojawić się prawie cała wierząca Irlandia. Ludzie przybywali z najodleglejszych zakątków wyspy. – Przyjechaliśmy dzień wcześniej i całą noc spałem z matką na gołej ziemi. Miałem wtedy siedem lat – wspominał ze łzami w oczach lekko podchmielony Irlandczyk, którego spotkałem w pubie w Lucan w pierwszym tygodniu mojego emigranckiego życia w 2006 r. – Nikt tu do nas nigdy nie chciał przyjechać, bo my się w wielkiej polityce nie liczymy. Mały kraj na zadupiu Europy. A on nas odwiedził! Kocham Jana Pawła II, kocham Polskę, kocham Polaków! Jesteście niesamowici!

W pamiętnej mszy wzięło udział 1,25 mln ludzi – jedna trzecia populacji. Na zdjęciach z małego Maynooth, w którym dwa dni później papież odwiedził narodowe seminarium katolickie – St Patrick's College – widać nieprzebrany tłum kleryków.

Dzisiaj w Maynooth o tych chwilach przypomina tylko pomnik Jana Pawła II usytuowany naprzeciwko biblioteki uniwersyteckiej, przed którym studenci w czasie przerw między wykładami jedzą pizzę i palą papierosy. Uczelnia otworzyła się na studentów świeckich i dziś to oni zdominowali jej charakter. Kleryków zaś jest 20 na wszystkich sześciu rocznikach łącznie. Kaplica, w której Jan Paweł II spotkał się z seminarzystami, dziś służy jako świątynia tylko kilka razy w roku: podczas Triduum Paschalnego i np. podczas święceń kapłańskich. Po akcie wandalizmu sprzed kilku lat (złodziej wyciął z kunsztownej snycerki figurę świętego) niezrozumiałą decyzją władz uczelni, na której terenie znajduje się kaplica, została ona zamknięta dla zwiedzających. Można ją oglądać wyłącznie w sezonie pomiędzy czerwcem a wrześniem tylko w niedziele i tylko od godz. 14 do 14.30. I to jest chyba najlepsza metafora ilustrująca stan Kościoła katolickiego w Irlandii – świątynia zamknięta na kłódkę, a naprzeciw niej trzy knajpy otwarte na oścież.

Ksiądz Stanisław Hajkowski SChr, koordynator polskiego duszpasterstwa na Zielonej Wyspie, porównuje kondycję Kościoła w Irlandii do ciężko chorego pacjenta na oddziale intensywnej terapii. Co się stało przez ostatnie 40 lat, że Irlandczycy porzucili Kościół i gremialnie stali się laickim, neopogańskim społeczeństwem?

PRZYCZYNA ZMIAN

Katolicka Irlandia była mocnym punktem na mapie duchowej Starego Kontynentu w średniowieczu. To przecież mnisi iroszkoccy przez setki lat ewangelizowali Europę. Sytuację zmienili dopiero reformacja i Henryk VIII, na którego rozkaz Kościół w Irlandii popadł w ruinę: grabiono i niszczono klasztory, mordowano zakonników. Pod brytyjskim panowaniem Irlandczycy zaczęli mówić po angielsku. Ich własny język – gaelicki – został zepchnięty na drugi plan, a w końcu zapomniany. W efekcie naród utracił kontakt z własną ponad 1000-letnią spuścizną kulturową i tożsamością.

Dzisiaj przeciętny Irlandczyk zna kilka słów w swoim ojczystym języku (na zasadzie ciekawostki), a mówiący po irlandzku

eprasa.pl c435d7738c

FOT. NIALL CARSON/PA IMAGES/GETTY IMAGES

na co dzień mieszkańcy nie przekraczają 2 proc. ogółu populacji. Tekst uroczystego ślubowania, odczytywany podczas każdego inauguracyjnego posiedzenia irlandzkiego parlamentu, jest dla większości deputowanych niezrozumiały.

Następne 300 lat Kościół irlandzki działał albo w podziemiu, albo na emigracji. Sytuacja się zmieniła w połowie XIX w. Podobnie jak w Polsce pod zaborami, gdzie Polak katolik odróżniał się od prawosławnego Rosjanina czy Niemca protestanta, tak manifestowanie katolicyzmu na złość brytyjskiej królowej stało się elementem buntu narodowego, który doprowadził do odzyskania niepodległości w 1922 r. Wtedy już we własnym wolnym państwie z katolików Irlandczycy stali się superkatolikami. Ksiądz Hajkowski: „Wszystko, co katolickie kojarzyło się z wolnością, niezależnością i postępem. To, co brytyjskie, kojarzyło się z niewolą, przemocą i biedą".

Katoliccy księża, którzy przez ostatnie 100 lat byli ważnym elementem ruchu niepodległościowego, którzy organizowali np. szkoły podstawowe, zyskali superpozycję: decydowali już nie tylko o miejscowej szkole, lecz także o szpitalu, polityce i obsadzie lokalnych stanowisk. Łatwo zgadnąć, że pojawiły się nadużycia, a wraz z nimi niechęć do duchowieństwa. Afery o podłożu obyczajowym stały się doskonałą wymówką dla wielu świeckich do zerwania z praktykowaniem katolicyzmu. Odsetek wiernych chodzących do kościoła malał. Dzisiaj w dublińskich kościołach na niedzielnej mszy pojawia się regularnie 15 proc. mieszkańców stolicy, a na prowincji ten odsetek to ok. 40 proc.

Z drugiej strony Irlandia jest jedynym społeczeństwem katolickim mówiącym po angielsku w morzu protestantyzmu. Popkultura z takich państw jak USA, Wielka Brytana i Kanada, a wraz z nią libertyńskie pseudowartości, płynie szerokim strumieniem, przed którym Irlandczycy nie będą w stanie się obronić. Kiedy w 1973 r. Irlandia wstąpiła do Unii Europejskiej, była gotowym materiałem do wkroczenia w epokę marksizmu kulturowego. Wizyta Jana Pawła II to już tylko łabędzi śpiew katolicyzmu na Zielonej Wyspie.

OBYCZAJOWA LAWINA

W 1990 r. Mary Robinson została pierwszą kobietą prezydentem Irlandii. W 1995 r. zalegalizowano rozwody. Po 2005 r. do Irlandii przybyło 200 tys. Polaków, co stanowi przeszło 5 proc. czteromilionowej Irlandii. Wierzący Irlandczycy świadomi kryzysu wiary chcą w każdym Polaku widzieć Jana Pawła II. Niestety, zamiast nawracać Irlandczyków, Polacy przyłączają się do tych tubylców, którzy wiarę porzucili. Przykłady takie jak w Waterford, gdzie Polacy „reaktywują" dawno zapomniane procesje Bożego Ciała, do których corocznie dołącza się coraz więcej Irlandczyków z biskupem na czele, należą do rzadkości.

Rok 2014 to ogólnokrajowa debata na temat homomałżeństw. Aby móc przekonywać nieprzekonanych, organizacje gejowskie wydawały miliony na kampanie. Polityczna poprawność sięgała zenitu: żadna partia na irlandzkiej scenie politycznej nie była przeciw. W jednostronnej kampanii nikt nie pytał, czy ludzie chcą się zgodzić na małżeństwa osób tej samej płci i czy np. zdają sobie sprawę, że skazują dzieci, które te małżeństwa będą mogły adoptować, na dwie mamusie lub dwóch tatusiów i wynikające z tego patologie oraz zagrożenia. Pytanie jest sformułowane inaczej: Czy jesteś za równością (equality)? Któż by śmiał nie być! 80 proc. młodych ludzi, którzy przeszli przez katolicki system edukacyjny, popiera proponowane zmiany. Głos Kościoła jest słaby i niknie w ogólnej euforii. W jednym z dublińskich kościołów podczas mszy ksiądz katolicki dokonał coming outu. Wierni bili brawo.

Obywatele Irlandii mieszkający poza wyspą byli przez lewackich propagandystów zachęcani do przylotu do ojczyzny, aby móc oddać głos w referendum (irlandzkie prawo nie przewiduje głosowania w ambasadach i konsulatach poza granicami). Trzeba było obronić kraj przed ciemnotą i zacofaniem. W końcu w maju 2015 r. w referendum Irlandczycy przyznali prawo od zawierania małżeństw osobom tej samej płci. Jednym z adwokatów przemian, osobą najbardziej zaangażowaną w promowanie małżeństw gejowskich, był trzydziestokilkuletni Leo Varadkar, czołowy polityk chadeckiej Fine Gael, jednej z głównych sił politycznych w Irlandii. Skrojony na miarę swoich czasów, pół Irlandczyk, pół Hindus, homoseksualista wychowany w duchu katolickim, w 2017 r. objął szefostwo swojej partii i szybko został premierem. Zapowiedział, że użyje mocy piastowanego stanowiska do dalszej walki o prawa środowisk LGBT na całym świecie (sic!). Tak jak przed setkami lat mnisi irlandzcy nawracali Europę, tak dziś Varadkar ma ambicje nieść tęczowy sztandar poza granice Irlandii.

TERAZ ABORCJA

Kolejnym kamieniem milowym w zmianach obyczajowych Szmaragdowej Wyspy ma być liberalizacja przepisów antyaborcyjnych. W ujawnionym piśmie George'a Sorosa do środowisk i organizacji w Irlandii popierających zabijanie nienarodzonych dzieci, które wyciekło do mediów, czytamy, że jeśli uda się przeprowadzić te zmiany, to będą one doskonałym argumentem w przeprowadzaniu podobnych przemian w innych państwach. Jeśli katolicka Irlandia akceptuje homomałżeństwa i aborcję na życzenie, to dlaczego nie miałyby ich akceptować Polska czy Włochy? Taki jest przemyślny plan wielkiego demiurga.

Bitwa o Irlandię trwa. Jednak nie jest to bitwa tylko o ten czteromilionowy naród. To bitwa o cywilizację, o Europę, o świat dla naszych dzieci i wnuków, a Irlandia jest tylko przyczółkiem oraz poligonem doświadczalnym. W bitwie o Anglię mała grupa świetnie wyszkolonych polskich pilotów brawurową walką i szaleńczą odwagą przechyliła szalę zwycięstwa. Czy Polacy mieszkający w Irlandii są w stanie w podobny sposób pomóc obronić tradycyjny system wartości i wzmocnić Kościół irlandzki, który przeżywa największy kryzys w swojej historii?

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl c435d7738c

FOT. TIM IRELAND/AP/EAST NEWS

HYMN BARDZIEJ GENDER

Kanadyjczycy mają ładnego, nowoczesnego premiera. I w ogóle cały kraj pędzi tak, że w postępowości staje się niedoścignionym wzorem. Gryzą się z pewnością postępowcy np. ze Szwecji. Bo co to za przemiana, jeśli tylko zmienia się w modlitwie zaimki odnoszące się do Boga na neutralne płciowo, skoro można zrobić coś supergender na poziomie kraju? Kanadyjczycy ostatnio zrobili sobie hymn bardziej gender. W najważniejszej krajowej pieśni panoszył się zwrot o „wszystkich synach", którymi kieruje patriotyzm. Co zmieniono na „wszystkich nas". Oczywiście Kanadyjczycy nie tacy głupi i patriotyzmu od razu nie wywalili z trekstu. Straciliby okazję do kolejnego zadziwienia świata.

ŁADNIEJSZY NIŻ ONE

Konkursy piękności kobiet są śmieszne same w sobie. Zgłaszają się bowiem do nich panie, które pozwalają oceniać swoją powierzchowność w czasach, gdy inne panie chodzą na pikiety i krzyczą, że nie wolno traktować ich przedmiotowo. W Kazachstanie było jednak jeszcze śmieszniej. Do konkursu Miss Kazachstanu 2018 zgłosił się – dla żartu – 22-latek, który wysłał swoje zdjęcie wystylizowany na kobietę. Ilay Dyagilev dotarł do finału. Wtedy jednak postanowił się ujawnić. Twierdzi, że poczuł, iż sprawy zaszły trochę za daleko. Może i dobrze zrobił. Teraz będzie mógł oskarżać organizatorów o dyskryminację ze względu na gender. O pomoc może poprosić np. Kanadyjczyków.

WIELKIE JAJA Z JAJKAMI

Gdyby przydarzyło się to polskiej ekipie, media mogłyby urządzić orgię podśmiewania się z Polaków, ale skoro przydarzyło się to Norwegom, to tylko lekko się uśmiechnijmy. Oto kucharze norweskiej kadry olimpijskiej zamówili jajka – bo naród ten lubi ryby i jaja właśnie. Kiedy przyjechała ciężarówka i zastawiła cały plac olimpijskiej wioski jajkami, Norwegowie zrozumieli, że coś im nie poszło z tłumaczeniem na koreański. Chcieli 1,5 tys. jajek, a dostali 15 tys. Na szczęście dostawca zgodził się przyjąć nadmiar z powrotem, ale norwescy kucharze musieli zapłacić za pakowanie i dowóz.

KUP PAN MIOTACZ NA ZOMBI

Elon Musk jest zadziwiającym biznesmenem. Stworzył Teslę – motoryzacyjnego giganta, który sprzedaje samochody, zanim je wyprodukuje (i naprawia też), ale nie może wyprodukować tyle, ile trzeba, i od kwartałów tylko pogłębia ujemny wynik. A ludzie wciąż inwestują. Oprócz tego Musk strzela sobie rakietami w kosmos oraz – ostatnio – chce zbudować sieć podziemnych tuneli, które mają zrewolucjonizować komunikację w Los Angeles. Na te tunele ma już 10 mln dol. Zarobił tyle na sprzedaży miotaczy ognia, które pomogą walczyć ludziom, gdy nadejdzie apokalipsa zombi. A człowiek się dziwi, że kupują samochody i wierzą w elektryczną rewolucję... ©℗

Łukasz Zboralski

PIOTR KOWALCZUK
Z RZYMU

PIECZEŃ RZYMSKA

Parada blagierów

Włosi pójdą do urn 4 marca. Politycy obiecują im złote góry, mając pełną świadomość, że obietnic nie spełnią, ale wyborcy też o tym doskonale wiedzą. Mimo to polityczny teatr absurdu wystawiany jest od rana do wieczora we włoskich telewizjach, gazety zamieszczają recenzje, a ludzie biją brawo.

Politycy już nawet nie udają, że chodzi o konfrontację programów wyborczych, wizji państwa i jego organizacji. Nikt już nie stara się kokietować wyborcy osobistym urokiem, elokwencją i inteligencją. Powszechnie uznano, że o wiele skuteczniej jest opluć i obsobaczyć rywala, a szefostwo kontestacyjnego Ruchu Pięciu Gwiazd wystosowało w tej sprawie specjalną instrukcję do swoich kandydatów.

Włoscy politycy – w przerwach, gdy nie plują i nie szczekają – obiecują. Ruch kontestatorów przyrzeka bezrobotnym i biednym pensje obywatelskie: 1,6 tys. euro miesięcznie dla trzyosobowej rodziny. Nieźle. Silvio Berlusconi, który powstał z popiołów i może faktycznie po wyborach rozdawać karty, obiecuje coś podobnego: pensję godności. Ruch Pięciu Gwiazd oskarżył go o plagiat. Rządząca przez ostatnie pięć lat lewicowa Partia Demokratyczna oferuje identyczny prezent, choć pod płaszczykiem odpisów podatkowych. Mało tego. Gdy Berlusconi obiecał podatek liniowy na poziomie 23 proc., koalicjant z Ligi Północnej Matteo Salvini go przebił: 15 proc. W tym kontekście o takich drobnostkach jak zniesienie abonamentu TV czy czesnego w szkołach i na uniwersytetach nawet szkoda mówić.

Słowem: tradycyjna polityka abdykowała. Nastał czas iluzjonistów. Pan Zagłoba poradziłby: „Dajcie im jeszcze Niderlandy". ©℗

Autor jest korespondentem Polskiego Radia.

eprasa.pl c435d7738c

TEST „DO RZECZY": SOKOWIRÓWKA PANASONIC SLOW JUICER

Trend slow food to kontrpropozycja dla co prawda smacznej, lecz szkodliwej dla zdrowia kultury fast food. Tym razem testujemy więc gadżet dla osób, dla których ważna jest zdrowa dieta. Wolnoobrotowe wyciskarki promowane są bowiem jako urządzenia produkujące bardziej wartościowe soki niż tradycyjne sokowirówki szybkoobrotowe, które z powodu ciepła powstającego w wyniku tarcia mogą niszczyć witaminę C i zdrowotne enzymy.

Zaprojektowane w eleganckim, minimalistycznym stylu urządzenie na blacie w kuchni zajmuje mniej więcej tyle miejsca co czajnik elektryczny (wymiary podstawy, będącej jednocześnie obudową silnika, to 13 x 15 cm). Jest jednak stosunkowo wysokie.

W wyciskarce wolnoobrotowej Panasonica zastosowano śrubę ze stali nierdzewnej, która miażdży owoce i warzywa, obracając się w tempie 45 obrotów na minutę. Sok jest dokładnie wyciskany, o czym świadczy sucha pulpa.

Dzięki osobnej przystawce urządzenie nadaje się także do przygotowania mrożonych

owoców i warzyw, przez co można je wykorzystać m.in. do robienia sorbetów lub lodowych deserów. Sama śruba wygląda na solidną i wytrzymałą, dzięki czemu bez problemu radzi sobie też z twardymi warzywami. Nieco gorsze wrażenie sprawiają plastikowe części urządzenia, które są dość podatne na porysowania.

Urządzenie Panasonica działa ciszej niż typowa sokowirówka. Niestety, na przygotowanie „slow juice" potrzeba więcej czasu. Przed wrzuceniem do niewielkiego otworu wpustowego jabłek czy marchewek trzeba najpierw pokroić je na drobne kawałki (paski węższe niż 3 cm). Pomarańcze czy grejpfruty należy z kolei dokładnie obrać ze skórki i również podzielić na mniejsze części.

Części są bardzo łatwe do rozłożenia i złożenia. Czyszczenie jest stosunkowo proste, pod warunkiem że części wyciskarki umyjemy zaraz po wyciśnięciu soku. Zaschnięte odpady są bowiem bardzo trudne do usunięcia.

Urządzenie jest jednak godne polecenia. Cena modelu MJ-L600 wynosi 1099 zł. ©℗

Jacek Przybylski

#BICEPS DLA POLSKI

Albo chociaż łydka. I mięśnie brzucha? Ćwiczycie? Nie namawiam (chociaż czemu nie?), żeby „pakować" na siłowni aż tak intensywnie jak red. Sławomir Jastrzębowski (szacun, redaktorze), autor słynnej twitterowej akcji #bicepsdlaPolski. Jednak jeśli jest okazja, by poćwiczyć, to dlaczego by nie? Jakieś 20 lat i z 50 kg temu wpadła mi w ręce – notabene świetna – książka Arnolda Schwarzeneggera, w której ten bardzo wówczas popularny aktor pisał, że stara się ćwiczyć codziennie, nawet w podróży, wykorzystując sprzęt będący w wyposażeniu hotelowych pokoi, i łopatologicznie tłumaczył, w jaki sposób to zrobić. Teraz jest już prościej, bez konieczności dewastacji framug, futryn i szaf. To „prościej" nazywa się BodyBoss 2.0 i jest pierwszą siłownią, którą można zabrać ze sobą dosłownie wszędzie, ponieważ mieści się w niewielkiej walizce i uzupełniona jest smartfonową aplikacją treningową. Całość to zestaw dwóch opasek oporowych uzupełnionych „szkieletami" przyborów do ćwiczeń, które możemy wzajemnie łączyć w sposób pozwalający na szybki, bezproblemowy montaż niewielkich urządzeń treningowych. Walizkowy zestaw po zmontowaniu pozwala na skuteczne budowanie mięśni przy wykorzystaniu oporu własnego ciała. Kto ćwiczył na stawianych od pewnego czasu w miastach, w parkach i ogrodach siłowniach fitness, ten wie, o co chodzi. Cena urządzenia w promocji na Indiegogo to 680 zł.

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

GUZICZEK ANTYHAŁAŚNICZEK

Jest taki film, dramat sądowy „Pozywając diabła", mieszczący się w serii religijnych obrazów typu „Bóg nie umarł", który warto obejrzeć głównie ze względu na świetną grę Malcolma McDowella – wcielającego się w Szatana chwalącego się na sali sądowej: „To ja stworzyłem hałas, a wy go, idioci, uwielbiacie: samochody, motory, kosiarki, kluby nocne rap, techno". I coś jest na rzeczy, bowiem hałas staje się już coraz większym cywilizacyjnym problemem. Można go jednak nieco ograniczyć, a wszystko dzięki niewielkiemu urządzeniu o nazwie Knops, czyli zatyczce do uszu regulującej liczbę decybeli z otoczenia, jaką chcecie przyswoić. Przycisk zamontowany w urządzeniu uruchamia cztery dowolnie wybrane opcje: 1. wszystkie dźwięki z normalnym natężeniem trafiają do uszu; 2. wyciszone zostają dźwięki miasta i ulicznego ruchu; 3. ustawienia dostosowane do słuchania muzyki na żywo, przydatne na sali koncertowej, wyciszające głosy z otoczenia; 4. cisza absolutna, w której nie usłyszycie nawet awanturującej się koleżanki zza biurka. Klipsy kosztują ok. 250 zł. ©℗ ***Wojciech Wybranowski***

eprasa.pl c435d7738c

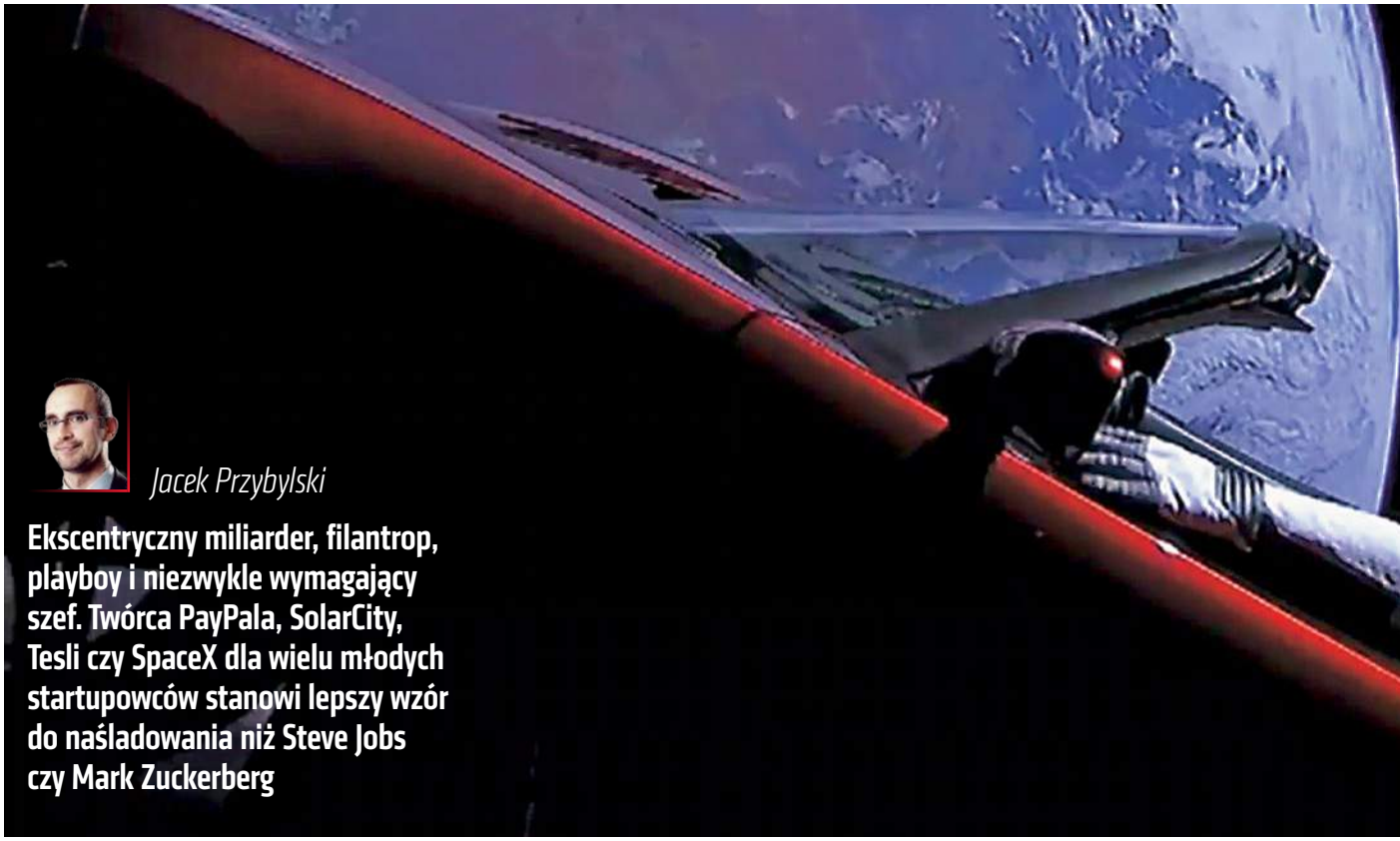

Jacek Przybylski

Ekscentryczny miliarder, filantrop, playboy i niezwykle wymagający szef. Twórca PayPala, SolarCity, Tesli czy SpaceX dla wielu młodych startupowców stanowi lepszy wzór do naśladowania niż Steve Jobs czy Mark Zuckerberg

Kosmiczny

Czerwona Tesla Roadster. Piękne sportowe elektryczne auto, które od 0 do 100 km/godz. przyspiesza w niecałe dwie sekundy i za które trzeba zapłacić mniej więcej ćwierć miliona dolarów (ok. 860 tys. zł). O posiadaniu takiego samochodu jeszcze niedawno marzyły m.in. takie gwiazdy jak Leonardo DiCaprio czy Matt Damon. To ten właśnie model w zeszłym tygodniu wyniosła w kosmos rakieta Falcon Heavy.

Falcon Heavy to najpotężniejsza obecnie rakieta na świecie, która jest w stanie dostarczyć na orbitę 64-tonowy ładunek. Na Marsa za pośrednictwem rakiety Falcon Heavy można teoretyczne przewieźć 17 ton ładunku. Dlaczego na Marsa? Otóż Elon Musk wierzy, że by nasz gatunek mógł przetrwać, człowiek powinien zacząć kolonizować inne planety.

W zeszły wtorek rakietę z teslą z przylądka Canaveral wystrzelił prywatny koncern SpaceX – jedna z wielu firm kierowanych przez słynnego biznesmena. Niemal wszystko poszło zgodnie z planem: nietypowy ładunek odłączył się od rakiety i poszybował w kosmos, a dwie pomocnicze części rakiety grzecznie powróciły na Ziemię. Niestety środkowy element rozbił się na Atlantyku.

Elon Musk już wcześniej stał się jednak groźnym konkurentem dla takich amerykańskich gigantów jak Lockheed Martin i Boeing, a także bardzo poważnym zagrożeniem dla interesów Chin czy Rosji.

Jego firma może bowiem projektować i budować niezawodne oraz przede wszystkim tanie pojazdy kosmiczne. We wrześniu 2009 r. rakieta Falcon 1 przeszła do historii podboju kosmosu jako pierwszy prywatny pojazd kosmiczny, który umieścił satelitę na orbicie Ziemi. Falcon 9 jest rakietą wielokrotnego użytku, dzięki czemu regularne wysyłanie kolejnych ładunków w kosmos byłoby o wiele tańsze niż w przypadku państwowych projektów.

eprasa.pl c435d7738c

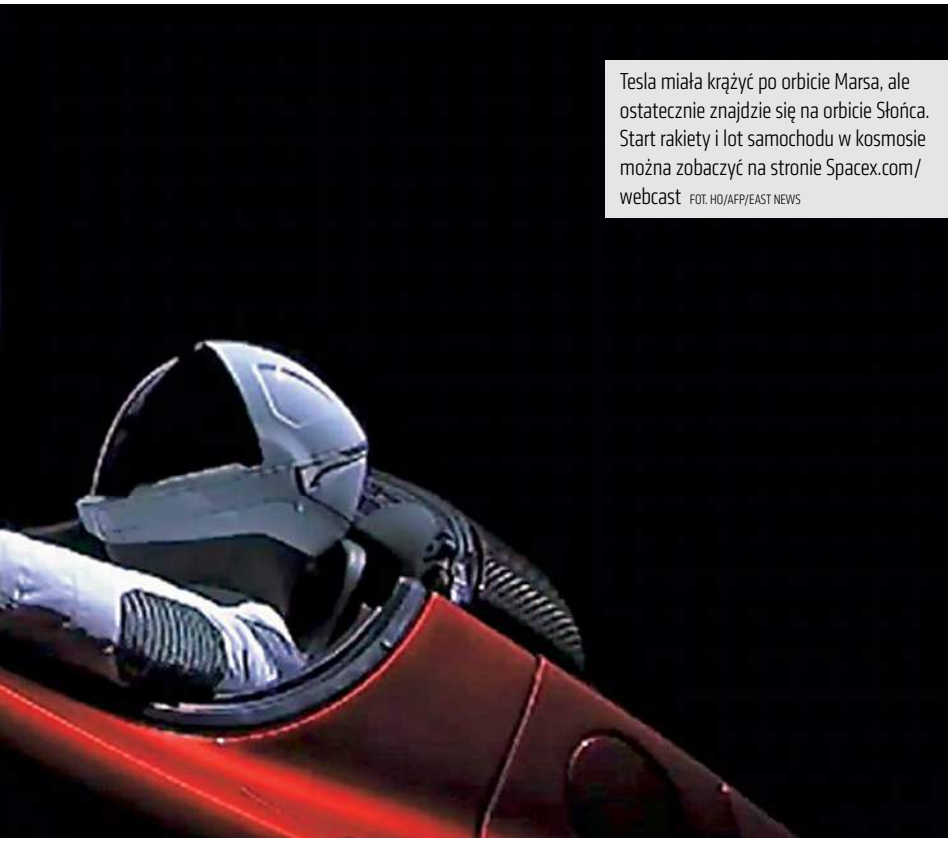

Tesla miała krążyć po orbicie Marsa, ale ostatecznie znajdzie się na orbicie Słońca. Start rakiety i lot samochodu w kosmosie można zobaczyć na stronie Spacex.com/webcast FOT. HO/AFP/EAST NEWS

interes

Od kiedy Musk podpisał z NASA wart 1,6 mld dol. kontrakt na dostawy zaopatrzenia na Międzynarodową Stację Kosmiczną, a także szacowaną na 2,6 mld dol. umowę na transport załóg do laboratorium na orbicie, udział firmy SpaceX w rynku komercyjnych usług kosmicznych wzrósł z 5 proc. w 2013 r. do 45 proc. w 2017 r. Drugie miejsce na rynku zajmuje Unia Europejska (40 proc. udziałów), a dopiero trzecie Rosja (15 proc.). W roku obecnym udział SpaceX w kosmicznym rynku ma wzrosnąć aż do 60 proc.

Pieniądze z kontraktów służą inżynierom SpaceX do pracy nad pojazdem, który ma zabrać ludzi na Marsa – taka podróż według Muska ma być możliwa już w 2022 r., a najpóźniej w 2024 r.

IRON MAN

Elon Musk, porównywany do Thomasa Edisona, Henry'ego Forda czy Nikoli Tesli, należy do grona najbogatszych ludzi na świecie. Magazyn „Forbes" majątek 46-latka szacuje na mniej więcej 20 mld dol. Gdy miał 10 lat, nauczył się programowania. W wieku lat 12 napisał swoją pierwszą grę, którą sprzedał za 500 dol. Jako 17-latek wyjechał z rodzinnej Republiki Południowej Afryki do Kanady – m.in. po to, aby uniknąć obowiązkowej służby wojskowej – a stamtąd do Stanów Zjednoczonych.

Multimilionerem został jako 23-latek, sprzedając za grubo ponad 300 mln dol. założone wraz z bratem Kimbalem przedsiębiorstwo Zip2, zajmujące się pisaniem oprogramowania dla serwisów informacyjnych. Kolejne miliony zgarnął, gdy w 2002 r. szefowie serwisu eBay zdecydowali się kupić PayPal (początkowo firma nosiła nazwę X.com) za… opcje o wartości 1,5 mld dol. Na tej transakcji Musk, który miał ok. 12 proc. akcji PayPala, zarobił niemal 200 mln dol.

Tak olbrzymi majątek pozwolił ekscentrycznemu wizjonerowi spełnić najbardziej szalone marzenia.

W czerwcu 2002 r. multimilioner założył więc swoją trzecią firmę: SpaceX. Jednym z jej celów jest skonstruowanie pojazdu, który pozwoli ludziom dolecieć na Marsa i rozpocząć kolonizację Czerwonej Planety. W liczącej 200 osób grupie „kosmicznych pionierów" chciałby zresztą być sam Musk, który opowiada dziennikarzom o tym, że marzy, aby umrzeć właśnie na Marsie.

W wywiadach często mówi, że chce „zbawić ludzkość". Zuchwały przedsiębiorca stał się więc wzorem dla twórców filmu „Iron Man". Sam Musk – jak przystało na faceta z ogromnym ego – lubi światła jupiterów. Nie tylko wystąpił w drugiej części filmu „Iron Man", lecz także zagrał samego siebie w serialu „Teoria wielkiego podrywu" oraz – znów w roli Elona Muska – w filmie „Maczeta zabija".

Trafił też na okładkę magazynu „Time" jako jeden ze stu najbardziej wpływowych ludzi świata. Mieszka w rezydencji w Bel Air – koszmarnie drogiej dzielnicy Los Angeles. To tam rozpoczyna swój typowy tydzień pracy. Cały poniedziałek spędza w SpaceX, wtorek zaczyna od wizyty w biurze SpaceX, a następnie wyjeżdża na lotnisko i prywatnym samolotem – ma do wyboru trzysilnikowy Dassault Falcon 900 lub odrzutowiec dyspozycyjny Gulfstream G650 – leci sprawdzić, co dzieje się w Tesli, która swoje biura ma w Palo Alto pod San Francisco, a fabrykę w pobliskim Fremont. Jak pisze Ashlee Vance w bestsellerowej biografii Muska, biznesmen nie ma domu w północnej Kalifornii, więc nocuje albo w luksusowym hotelu Rosewood, albo u przyjaciół. W czwartki Elon Musk wraca do Kalifornii, by znów zająć się sprawami SpaceX.

SpaceX oraz Tesla to niejedyne firmy, którymi zajmuje się miliarder. Musk

eprasa.pl c435d7738c

ogłosił też powstanie projektu Hyperloop. Jego celem jest stworzenie systemu kolei próżniowej, która ma być tak tania jak transport drogowy i szybsza niż podróże samolotem.

Śmiały przedsiębiorca jest też właścicielem firmy Boring Company. Jej celem jest stworzenie sieci podziemnych tuneli, które zlikwidowałyby korki na powierzchni miast. Projekt to na razie pieśń przyszłości, ale firma, aby uzyskać dodatkowe finansowanie, wprowadziła do sprzedaży czapeczki z firmowym logo. Musk rzucił kiedyś półżartem, że jeśli uda się je wszystkie sprzedać, to fani będą mogli kupić miotacze ognia z logo Boring Company. Słowa dotrzymał: na początku stycznia firma miliardera sprzedała wszystkie 20 tys. egzemplarzy miotaczy ognia. W ofercie firmy znalazły się też jednocześnie… tanie gaśnice.

Ekscentryczny miliarder jest również głównym inwestorem w SolarCity, spółce produkującej ogniwa fotowoltaiczne. Teoretycznie motywacją do tej inwestycji była walka z globalnym ociepleniem. Z powodu troski o zmiany klimatyczne Musk zrezygnował z roli doradcy Donalda Trumpa, gdy ten ogłosił, że Stany Zjednoczone wycofają się z paryskiego porozumienia klimatycznego. Wiele osób zwróciło jednak uwagę na hipokryzję miliardera, który z jednej strony tyle mówi o ekologii, a z drugiej co rusz przyczynia się do wzrostu zanieczyszczenia planety, latając z miejsca na miejsce prywatnym odrzutowcem.

Przedsiębiorca sam siebie przedstawia jako pracoholika, który przepracowuje ok. 100 godzin tygodniowo. Ograniczony do minimum czas wolny szalony wizjoner lubi spędzać z dziećmi. Z byłą żoną Justine – kanadyjską pisarką i aktorką – ma pięciu synów: bliźniaki i trojaczki. Lubi też otaczać się seksownymi kobietami. Z drugą żoną, brytyjską aktorką Talulah Riley, ekscentryczny przedsiębiorca wziął ślub w 2010 r. Dwa lata później para była już po rozwodzie. W 2013 r. bogaty Elon i piękna Talulah znów ślubowali, że nigdy się nie opuszczą. Ze złożeniem pozwu o ponowny rozwód miliarder wytrzymał do grudnia 2014 r. Para przetrwała jednak razem do 2016 r.

Jego namiętny romans z Amber Heard – seksowną żoną Johnny'ego Deppa – zakończył się rozwodem pięknej blondynki ze znanym Piratem z Karaibów. W 2017 r. w mediach pojawiły się nawet pogłoski o przygotowaniach do ślubu 31-letniej aktoreczki z o 15 lat starszym miliarderem. Do ceremonii jednak nie doszło – Elon Musk porzucił byłą żonę Deppa.

TWARDE LĄDOWANIE

Wbrew medialnym przekazom kontrowersyjny biznesmen nie zawsze zamienia w złoto wszystko, czego się dotknie. Dwa dni po starcie rakiety należący do Muska koncern Tesla ogłosił fatalne wyniki za zeszły rok. Wprawdzie roczne przychody za 2017 r. wzrosły z 2,28 mld dol. do 3,29 mld dol., jednak w całym roku 2017 firma odnotowała stratę w wysokości ponad 1,4 mld dol.

Tylko w ostatnim kwartale 2017 r. Tesla straciła 675,4 mln dol. Dla porównania ostatni kwartał 2016 r. przyniósł koncernowi stratę w wysokości „zaledwie" 121,3 mln dol. Mimo słabych wyników giełdowe notowania firmy, która jeszcze nigdy w swojej historii nie była rentowna, dramatycznie nie spadły.

Elon Musk marzy o kolonizacji Marsa. Twierdzi, że chciałby umrzeć na Czerwonej Planecie FOT. POLARIS/EAST NEWS

Gdy zamykaliśmy to wydanie „Do Rzeczy", kurs Tesli nadal utrzymywał się na poziomie wyższym niż rok wcześniej, a kapitalizacja firmy wynosiła 52,98 mld dol. Dla porównania kapitalizacja Ford Motor Company to 41,43 mld dol., a General Motors Company – 57,88 mld dol.

Problem w tym, że ogromna wartość Tesli jest trudna do wyjaśnienia za pomocą czystej matematyki. Tak ogromna kapitalizacja firmy Elona Muska jest bowiem oparta w dużej mierze na niebywałej zdolności ekscentrycznego miliardera do zarażania inwestorów wiarą w przedstawianą w różowych barwach przyszłość koncernu.

W zeszłym tygodniu zuchwały biznesmen przekonywał, że jego pracownikom systematycznie udaje się zmniejszać liczbę problemów hamujących produkcję sprzedawanego za 35 tys. dol. Modelu 3. Pierwszego modelu przeznaczonego do masowej produkcji, który miał doprowadzić do przełomu, nazywanego elektrycznym „autem dla każdego". Popyt na auto jest ogromny, ale firma Muska nie radzi sobie z produkcją.

Według obietnicy biznesmena do 2020 r. koncern Tesla ma już jednak produkować milion pojazdów rocznie. Rok 2018 ma się zaś zapisać w historii koncernu jako pierwszy rok, w którym Tesla zacznie przynosić stały zysk operacyjny i stanie się rentowna według amerykańskich standardów rachunkowości (US GAAP).

Wyjątkowo optymistyczne założenia brzmią wspaniale. Problem polega jednak na tym, że – jak wyliczył Reuters – gdyby już zastosować wspomniane standardy US GAAP, to strata Tesli za 2017 r. wzrosłaby do niemal 2 mld dol.

Jeśli więc zamiast patrzeć na Teslę oczami zaślepionego giełdowego „byka", przyjrzymy się wynikom Tesli oczyma „niedźwiedzia", to łatwo można dojść do wniosku, że wartość akcji koncernu jest grubo przesadzona. Część inwestorów ma też za złe genialnemu przedsiębiorcy, że Tesla „ukrywała swoje problemy" z produkcją Modelu 3 – Musk zapowiadał, że we wrześniu 2017 r. z taśm produkcyjnych zjedzie co najmniej 1,5 tys. sztuk, tymczasem w rzeczywistości udało się wyprodukować nieco ponad 200. Gdy więc Musk zaczął opowiadać o kilku kręgach „piekła produkcyjnego", niektórzy inwestorzy zdecydowali się na złożenie pozwów o odszkodowania. Nie pierwszy raz bowiem ambitne zapowiedzi założyciela Tesli kompletnie mijały się z rzeczywistością.

– Nie wierzę już w nic, co mówi Elon Musk – oznajmił pod koniec stycznia tego roku Steve Wozniak, który z innym wizjonerem Steve'em Jobsem założył przed laty firmę Apple. Zdaniem Wozniaka Tesla używa „tanich sztuczek", aby odsunąć od siebie odpowiedzialność za błędy i kolejne nietrafione zapowiedzi. Te słowa są szczególnie bolesne, ponieważ Wozniak należał do zagorzałych fanów elektrycznych samochodów i wraz z żoną wydał spore pieniądze na kolejne modele Tesli.

Rozczarował się jednak tym, że Musk co chwila przekłada datę powstania tesli, która będzie w stanie samodzielnie przejechać całe Stany Zjednoczone. Czy akcje Tesli to bańka spekulacyjna? Odpowiedź na to pytanie przyniesie rynek. Elon Musk już teraz ma zapewnione miejsce w historii.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl c435d7738c

PIOTR GABRYEL

PROSTO ZYGZAKIEM

Im słabsi, tym bezsilniejsi

Czasami się zastanawiam, czy do wszystkich z równą mocą dociera w sumie dość oczywista, by nie rzec banalna prawda, że znacznie trudniej cokolwiek osiągnąć, gdy się jest osłabionym, a tym bardziej słabym – zwłaszcza w relacjach między państwami i narodami. Słabym czy tylko osłabionym, a choćby jedynie – i aż! – wizerunkowo.

W takiej sytuacji trudniej o naprawdę niezawodnych aliantów, gotowych przyjść z pomocą w potrzebie lub co najmniej trwać z nami na wschodniej flance, by do napaści na nasze państwo nie doszło. A także o to, by chcieli nam oni sprzedawać niezbędną do skutecznej obrony broń po przystępnej cenie.

Trudniej powstrzymać ziszczanie się także innych czarnych dla nas scenariuszy – takich jak powstanie szczególnie niebezpiecznego dla Polski gazociągu Nord Stream 2 (choć istniejący Nord Stream 1 to już spore zagrożenie) czy – nie daj Boże! – niemożność zbudowania gazociągu Baltic Pipe ze Skandynawii do Polski.

Trudniej budować koalicje, które mogłyby zapobiec nękaniu naszego kraju przez instytucje UE, w tym – użyciu przeciw nam fatalnego art. 7 Traktatu o Unii czy wręcz próbom wprowadzenia sankcji.

Trudniej skutecznie strzec interesu Polski w żywotnych kwestiach, np. podczas szykującej się batalii o kształt ustawy reprywatyzacyjnej.

Trudniej nakłaniać inwestorów, zwłaszcza dużych, by ulokowali u nas kapitał.

Trudniej zachęcać miliony turystów, by odwiedzali Polskę i zostawiali tu swe pieniądze oraz wywozili miłe wspomnienia. Te przykłady można mnożyć, bo słabość państwa pogarsza jego zdolność osiągania założonych celów właściwie w każdej dziedzinie.

Rozumiejąc to wszystko, a przecież chyba nie da się tego nie rozumieć (ba, nierozumienie kompromitowałoby jeszcze bardziej), jak można działać w sposób, który raz po raz, i to całkiem często, prowadzi do podkopania wizerunku własnego państwa, czyli jego osłabienia? I to przeważnie wskutek sposobu realizowania przedsięwzięć, które w założeniu mają ten wizerunek wzmacniać, np. w sferze przekazu o gigantycznej skali polskich strat w czasie II wojny światowej? Zafundowany Polsce ostatni kryzys, wywołany przyjęciem znowelizowanej ustawy o IPN, jest tego najnowszym i zarazem najbardziej spektakularnym przykładem.

No, chyba że ta zapaść – a może także poprzednie? – jest częścią jakiegoś Wielkiego Planu, którego dalekowzroczni twórcy to ryzyko przewidzieli, zważyli i wkalkulowali. A w związku z tym dziś nie żałują, że Polska została wpakowana przez nich w tę czy inną kabałę (a ostatnio – w tę), i nie marzą tylko o jednym – żeby to, co „się stało", jak najszybciej „się odstało", lecz spokojnie czekają, aż ich plan – precyzyjnie, punkt po punkcie realizowany – przyniesie Polsce spodziewane, dobre owoce. Jednak jakoś w tę wersję sam nie bardzo wierzę. ©℗

KRZYSZTOF RYBIŃSKI

RYBIM OKIEM

Algorytm na zdrowie

Od lat narastają problemy służby zdrowia w Polsce. W uproszczeniu sytuacja jest następująca: społeczeństwo się starzeje i bogaci, co powoduje wzrost popytu na usługi zdrowotne. Jednocześnie inne kraje UE oferują znacznie wyższe wynagrodzenie dobrze wykształconym polskim lekarzom i pielęgniarkom. Zatem podaż usług medycznych rośnie znacznie wolniej niż popyt. Ochrona zdrowia jest sektorem, w którym prawa rynku nie działają, ponieważ wzrost cen albo doprowadziłby do silnego wzrostu wydatków na ochronę zdrowia (kosztem cięć innych wydatków lub wzrostu podatków), albo pozbawiłby opieki zdrowotnej uboższych Polaków. A rząd, który dopuściłby do takiego scenariusza, z kretesem przegrałby kolejne wybory. W efekcie mamy gospodarkę niedoborów, w której popyt stale przewyższa podaż.

Lekarze wielu specjalności z odpowiednim wsparciem sztucznej inteligencji mogliby obsługiwać znacznie więcej pacjentów

Jedynym sposobem na rozwiązanie tego problemu jest zwiększenie podaży. To oznacza, że polskie uczelnie medyczne muszą kształcić więcej lekarzy albo że musimy uruchomić program imigracji lekarzy, np. z Ukrainy. To oczywiście oznacza potężny drenaż mózgów u naszego wschodniego sąsiada i może prowadzić do napięcia między naszymi krajami.

Jedno jest pewne, zwiększenie podaży usług medycznych przez dłuższe godziny pracy lekarzy nie wchodzi w grę. Bo kto z nas chciałby jechać autobusem, którego kierowca prowadzi bez przerwy od 24 godzin?

Jest jednak jeszcze jeden sposób, który pozwoli rozwiązać ten problem, zwiększy dostępność lekarzy, podniesie jakość stosowanych terapii, a zarazem pozwoli lekarzom zarabiać o wiele więcej. Ten pomysł to big data i sztuczna inteligencja!

Lekarze wielu specjalności z odpowiednim wsparciem sztucznej inteligencji mogliby obsługiwać znacznie więcej pacjentów. Na przykład rentgenolog zamiast opisywać zdjęcie, mógłby po prostu weryfikować opis dokonany automatycznie przez sztuczną inteligencję. Badania wskazują, że automatyczne rozpoznawanie zdjęć działa bardzo dobrze, bo program ma dostęp do setek tysięcy już opisanych przypadków. Sztuczna inteligencja mogłaby zdjąć z lekarzy gros obowiązków, więc lekarz mógłby w ciągu dnia przyjąć znacznie więcej pacjentów lub wykonać więcej zabiegów.

W XXI w. problemy polskiej służby zdrowia może rozwiązać grupa specjalistów od big data. ©℗

Autor jest profesorem data science w Akademii Finansów i Biznesu Vistula.

eprasa.pl c435d7738c

Z Wojciechem Fortuną, mistrzem olimpijskim w skokach narciarskich z Sapporo
rozmawia Łukasz Zboralski

Naszym skoczkom sprzyja Fortuna

FOT. MARCIN OBARA/PAP

eprasa.pl c435d7738c

ŁUKASZ ZBORALSKI: Patrząc na ekipę, którą udało się zbudować na Pjongczang, to chyba dobrze, że Adam Małysz zrezygnował z rajdów i wsparł polską kadrę skoczków?

WOJCIECH FORTUNA: Powinien to już zrobić dużo wcześniej. Był przecież skoczkiem, a nie rajdowcem. I to, co robił, robił bardzo dobrze. No i świetnie, że znalazł się w tej ekipie. Potrafi dużo załatwić, jest znany i lubiany.

Pana po zakończeniu kariery chyba nie ciągnęło do innych sportów? A przestał pan skakać, gdy był pan o połowę młodszy, niż jest obecnie Noriaki Kasai – reprezentujący Japonię w Pjongczangu już ósmy raz na igrzyskach...

Proszę pana, gdy ja miałem 26–27 lat, byłem uważany za staruszka w skokach narciarskich. To były inne czasy i musiałem zakończyć karierę. Nie mogłem skakać w nieskończoność.

Na olimpiadzie nasza ekipa jest mocna na tle innych? Na treningach w Pjongczangu najlepsi byli Stoch i Kubacki...

I wcale się nie dziwię. To są mistrzowie świata. Polska ekipa to najlepsi zawodnicy. W ostatnim konkursie w pierwszej dziesiątce było ich czterech. A to oznacza, że nasi chłopcy mogą po raz pierwszy zdobyć złoty medal drużynowo.

Na wyrównanie pana wyczynu z Sapporo czekaliśmy prawie pół wieku. Czy i teraz zobaczymy złoto na szyi Polaka?

Czekałem dokładnie 43 lata na złoty medal olimpijski. A na jakikolwiek krążek czekałem lat 30. Dopiero gdy urodził się Małysz, trochę tych medali pozdobywał – cztery medale olimpijskie, choć złota akurat nie zdobył, cztery razy był mistrzem świata i pięć razy wygrał Puchar Świata. Kiedy Kamil Stoch został mistrzem świata, ja wtedy zadzwoniłem do jego rodziców z gratulacjami. Mówiłem wtedy: Kamil otworzył sobie szeroko bramę po złoto olimpijskie. A jego mamie zaznaczyłem: Na pewno będzie mistrzem olimpijskim! A potem zauważyłem to w książce „Skok do piekła" wydanej pół roku przed olimpiadą, na której Kamil zdobył dwa złote medale.

Teraz też ma szansę na złoto. Czy jednak obrońca tytułu nie ma trudniej? Dochodzi duża presja.

A słyszał pan, co Kamil odpowiedział dziennikarzom na takie pytanie? On powiedział, że niczego nie jedzie bronić, bo medali, które zdobył, już mu nikt nie zabierze. I dodał, że wykona jak najlepszą pracę w Pjongczangu. Słuchałem tej rozmowy i śmiać mi się chciało. Bo to prawda. On niczego nie musi bronić. Raczej warto, żebyśmy mieli marzenie, by zdobył teraz medal na igrzyskach. Ja w to mocno wierzę. Bo jak się jest w takim gazie, to się dwa razy wygrywa mistrzostwo olimpijskie. Mogę to śmiało powiedzieć, bo on i jego koledzy mnie nie słyszą. Nie poczują, że im coś na plecy przypiąłem, tak mówiąc.

Pan w Sapporo w 1972 r. miał kombinezon od Japończyka wymieniony za kryształ, NRD-owskie narty i polskie buty. Dzisiaj w skokach trwa prawdziwy technologiczny wyścig, tak jak Formule 1. Polscy skoczkowie pokazali się w Korei w nowych butach. Każda drużyna ma własne tajemnice...

Za czasów Małysza i Weissfloga kombinezony były luźne i skoczkowie wyglądali jak niedźwiadki na Krupówkach. Mieli luźne stroje, żeby złapać jak najwięcej powietrza. Dzięki specjalnemu materiałowi to działało jak lotnia. Później kombinezony stawały się coraz węższe. Austriacy kombinowali wówczas z krokiem – był niżej, żeby więcej powietrza się nagarnęło. No to jest pomoc w tym całym lataniu. Bez kombinezonów pewnie by tak nie fruwali. Mój japoński kombinezon firmy Misuno był wtedy bez rękawów. Materiał był opływowy i śliski, ale nie zatrzymywał powietrza tak jak dzisiejsze. W sprzęcie więc zmieniło się bardzo dużo. Jest też bezpieczniej, bo zawodnicy skaczą w kaskach, a myśmy skakali w czapeczkach.

Wrócę jeszcze do tej historii z wymianą na kombinezon. To na zawody woził pan kryształy na handel?

My zawsze woziliśmy coś do sprzedania. Nasze kryształy były wówczas bardzo chodliwe. Ja woziłem kryształy i buty skokowe z Krosna. Te buty były wtedy najlepsze na świecie, ale gdy celnik pytał: „Na co panu aż pięć par butów? I jeszcze wszyscy wieziecie po pięć?", odpowiadałem, że to taki szmelc, że jak się przewrócę, to zelówka się odrywa (śmiech). Austriacy, Kanadyjczycy kupowali od nas te buty po 50 dol. za parę. Za pięć par miałem 250 dol., do tego dokładałem 50 dol. i mogłem sobie kupić w Zakopanem parcelę o powierzchni 1 tys. m, bo tyle wtedy kosztowała.

O, to zarobił pan na tym dwa razy więcej, niż dostał pan za olimpijskie złoto – bo choć miało być to 300 dol., otrzymał pan wtedy tylko połowę tej kwoty.

No tak. Bo tam „podzielił się" ze mną ten, który to dawał. Najpierw wziął sobie stówkę za średnią skocznię, a mnie dał 50 dol. A na dużej skoczni był na tyle uczciwy, że się ze mną podzielił po połowie i sobie wziął 150 dol. Nazwiska nie chcę podawać, bo człowiek już nie żyje i z litości tego nie będę robił.

No tak wtedy było. A jak się upominałem o pieniądze, to wiele razy słyszałem: „Wy wcale nie musicie startować. Jak się wam nie podoba, to nie skaczcie". No i skrzydła podcięte, motywacja do uprawiania sportu skończyła się na olimpiadzie w Sapporo. A jeździłem jeszcze potem tylko po to, żeby coś kupić, sprzedać i zarobić.

Od pana czasów zmieniło się wiele: wynagrodzenie, sprzęt, styl skakania. Nie zmieniło się chyba jedno – wiatr. Mimo tych punktów dodawanych i odejmowanych dziś za różne podmuchy skoki są wciąż trochę nieobliczalną dyscypliną.

Ja się cały czas nie zgadzam z tą austriacką matematyką, z tymi wiatrami z tyłu, z przodu... Zawodnik skoczy 15 m dalej i jest piąty czy szósty. Nie wiem, skąd oni to biorą. Z Księżyca?! To powinien być pomiar na całym zeskoku i rozbiegu, a nie tylko jakieś pięć punktów. Zresztą nawet i wtedy nie będą w stanie tego obliczyć. Bo przecież nie wiedzą, skąd wiaterek za chwilę dmuchnie – czy z prawej, czy z lewej, czy z tyłu. Dzisiaj patrzą sobie na to, co pokazuje połowę zeskoku. I widać, że wieje w plecy. A za chwilę będzie pod narty. I ten, który skoki ogląda w telewizji, nie wie, o co chodzi – dopiero dowiadujemy się od spikera, ile skoczek dostał za wiatr, za obniżoną belkę. To mi nie pasuje. Ten, który najdalej skoczy, powinien wygrywać. Zresztą na tej swojej matematyce, w której chodziło o to, żeby czasem Austriacy i Niemcy wygrali, sami też się nieraz już przejechali.

Czego pan życzy naszej ekipie? Jakieś specjalne życzenie?

Wiem, że będzie dobrze, bo Fortuna im sprzyja! Pozytywnie myślę o tym wszystkim. Trochę się znam, choć moich wiadomości nigdy nie wykorzystywano.

Sport jest dziś skomercjalizowany, to jest normalny zawód. Bardzo bym chciał, żeby chłopcy drużynowo mieli medal, bo to jest emerytura, to za 10 lat im będzie potrzebne.

Liczę, że będzie bardzo dobrze. Są trzy szanse medalowe. A przecież może być też tak, że i dwóch Polaków może dwa razy stawać na podium. Wierzę w tego trenera, w jego decyzje. To jeden z najlepszych trenerów na świecie. A on da szansę Maciejowi Kotowi, może i da drużynowo szansę Piotrowi Żyle.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl c435d7738c

Maciej Kot, Kamil Stoch, Dawid Kubacki oraz Stefan Hula mają ogromne szanse na zdobycie olimpijskiego medalu w konkursie drużynowym FOT. MATERIAŁY PRASOWE LOTOS

Polskie orły lecą po złoto

W Pjongczangu polscy skoczkowie mają ogromne szanse na złoto zarówno w konkursie indywidualnym, jak i drużynowym. Walka o podium będzie jednak bardzo zacięta. Świetne drużyny przysłali bowiem na igrzyska również Norwegowie oraz Niemcy. Nadzieje na podium mają też Słoweńcy oraz Austriacy.

Bez wątpienia to właśnie Polska ma jednak obecnie najlepszą drużynę skoczków na świecie. Twierdzą tak nie tylko wierni kibice z Zakopanego, lecz także zagraniczne legendy tej dyscypliny. Znany niemiecki skoczek Martin Schmitt w niedawnym wywiadzie dla portalu Sportbuzzer.de prognozował, że „najsilniejszym zespołem jest Polska". Wskazał również na silną drużynę Niemców (najgroźniejszymi rywalami Polaków mogą się okazać Richard Freitag, Andreas Wellinger oraz Karl Geiger) oraz Norwegów (Andreas Stjernen oraz Daniel-André Tande).

Niebezpiecznym przeciwnikiem może się też okazać Austriak Manuel Fettner. Przed igrzyskami Austriacy radzili sobie jednak dużo gorzej niż Polacy, Niemcy czy Norwegowie. Jednym z powodów słabszej formy zawodników wymienianych przez austriackie media jest eksport trenerów, w tym szkoleniowca Polaków – od wiosny 2016 r., gdy Stefan Horngacher został trenerem polskiej reprezentacji, nasza kadra odnosi znaczące sukcesy.

Polacy przystąpią do konkursu drużynowego jako aktualni mistrzowie świata. Tytuł ten zdobyli w 2017 r. podczas rywalizacji w fińskim Lahti.

Wówczas drudzy byli Norwegowie. Na najniższym miejscu podium stanęli zaś Austriacy, którzy o włos wyprzedzili Niemców.

Wcześniej Polacy dwa razy stawali na podium w konkursach drużynowych mistrzostw świata. Brązowe medale Biało-Czerwoni przywieźli z włoskiego Val di Fiemme w 2013 r. (złoto zdobyli

eprasa.pl c435d7738c

wtedy Austriacy, a srebro Niemcy) oraz ze szwedzkiego miasta Falun w roku 2015 (wówczas wygrali Norwegowie, a drudzy byli Austriacy).

Podczas igrzysk olimpijskich w rosyjskim Soczi w 2014 r. polscy skoczkowie w konkursie drużynowym zajęli czwarte miejsce (za Niemcami, Austriakami oraz Japończykami).

W ostatnim teście przed olimpiadą w Pjongczangu nasza reprezentacja pod koniec stycznia 2018 r. w Zakopanem wygrała drużynowy konkurs Pucharu Świata na Wielkiej Krokwi, zdecydowanie wyprzedzając Niemców oraz Norwegów.

W Korei Południowej o zwycięstwie może jednak decydować nie tylko technika. Europejscy sportowcy muszą jednak poradzić sobie z wynoszącą aż osiem godzin różnicą czasu.

Norweski sztab szkoleniowy zdecydował więc, że skoczkowie tego kraju nie zmienią strefy czasowej na koreańską. Zawodnicy spać kładą się więc za dnia – aby im to ułatwić, w pokojach Norwegów zawieszono ciemne zasłony i zmieniono oświetlenie. Trener Alexander Stöckl – któremu po olimpiadzie kończy się kontrakt na szkolenie norweskiej kadry – zakazał też swoim podopiecznym używania komputerów.

Trener Polaków Stefan Horngacher nie wprowadził podobnych obostrzeń.

Polscy skoczkowie wylądowali w Seulu dopiero we wtorek czasu miejscowego, a już w czwartek musieli stawić się na skoczni, aby wziąć udział w kwalifikacjach do sobotniego konkursu.

W zeszłym tygodniu podczas serii treningowej na skoczni normalnej nasi zawodnicy prezentowali się bardzo dobrze. Pierwszy trening wygrał Dawid Kubacki, a drugi Kamil Stoch. Również w kwalifikacjach Polacy radzili sobie fantastycznie. Wprawdzie pierwsze miejsce na podium zajął Niemiec Andreas Wellinger, ale drugi i trzeci stopień podium należał już do Polaków: Kamila Stocha i Dawida Kubackiego. Gdy zamykaliśmy ten numer, nie znaliśmy jeszcze wyników sobotniego konkursu indywidualnego.

Mamy jednak ogromne szanse na to, aby 19 lutego, kiedy odbędzie się drużynowy konkurs na dużej skoczni, w pełni zaaklimatyzowani Polacy – Kamil Stoch, Dawid Kubacki, Stefan Hula, Maciej Kot czy Piotr Żyła – zdobędą kolejne olimpijskie medale, potwierdzając, że nie ma na świecie lepszej drużyny. ©℗ ***(jap)***

SIMON AMMANN (SZWAJCARIA)

Czterokrotny indywidualny mistrz olimpijski, znany jest jako Harry Potter skoków narciarskich. 36-letni reprezentant klubu SSC Toggenburg zdobył taki przydomek ze względu na podobieństwo do bohatera bestsellerowej sagi autorstwa J.K. Rowling. Na czarodziejskie przezwisko zasłużył także wynikami. Simon Ammann jest bowiem jednym z najbardziej utytułowanych skoczków narciarskich w historii.

Pierwszy raz na igrzyskach wystąpił już w 1998 r. W Nagano nie osiągnął jednak godnych uwagi rezultatów i do olimpiady w 2002 r. jego nazwisko kojarzyli tylko najbardziej zapaleni kibice skoków narciarskich. W Salt Lake City 20-letni wówczas zawodnik zachwycił jednak świat. Jako drugi skoczek w historii zdobył wówczas złote medale olimpijskie zarówno na normalnej, jak i na dużej skoczni.

W ciągu kilku dni stał się wielką gwiazdą nie tylko w rodzimej Szwajcarii, lecz także na całym świecie. Przez kolejne lata nie radził sobie jednak najlepiej. Na igrzyskach w Turynie w 2006 r. wypadł fatalnie – nie zdołał wówczas nawet wejść do pierwszej dziesiątki.

Kolejny szczyt jego formy można było jednak podziwiać w 2007 r. – podczas mistrzostw świata w Sapporo zdobył złoto na dużej i srebro na normalnej skoczni. W 2009 r. jego imieniem nazwano 70-metrową skocznię w Einsiedeln.

Na igrzyskach w Vancouver w 2010 r. 28-letni wówczas zawodnik dwukrotnie stawał na najwyższym stopniu olimpijskiego podium, wygrywając zarówno na normalnej, jak i na dużej skoczni. Tym samym przeszedł do historii skoków jako pierwszy zawodnik, który zdobył aż cztery złote medale olimpijskie w konkursach indywidualnych. Tuż po powrocie z igrzysk zwyciężył zaś w mistrzostwach świata w lotach narciarskich na mamuciej skoczni w słoweńskiej Planicy.

239,5 m

SWÓJ REKORD ŻYCIOWY SIMON AMMANN USTANOWIŁ W MARCU 2017 R.

2010 r. był dla niego przełomowy również w życiu prywatnym: Ammann ożenił się z o cztery lata młodszą Rosjanką Janą Janowską.

Niestety, w 2014 r. na olimpiadzie w Soczi szwajcarski zawodnik znów radził sobie fatalnie, nie wchodząc nawet do pierwszej 15. I chociaż sam siebie już kilka lat temu określał mianem dinozaura, to nie zdecydował się na zakończenie kariery. Podczas igrzysk w koreańskim Pjongczangu może więc zaskoczyć znakomitą formą. Jedno jest pewne: Szwajcar da z siebie wszystko – będzie to bowiem już jego szósty i zapewne ostatni start na olimpiadzie.

Rekord życiowy Ammanna wynosi 239,5 m – ustanowił go w marcu 2017 r. na mamuciej skoczni Vikersundbakken w norweskim Vikersund. ***(jap)*** ©℗

FOT. ALICJA KOSMAN / POLSKI ZWIĄZEK NARCIARSKI

eprasa.pl c435d7738c

ANDREAS STJERNEN (NORWEGIA)

Pochodzący z Trondheim 30-latek to jeden z najstarszych członków norweskiej kadry i podstawowe ogniwo tej drużyny. Syn znanego sportowca Hroara Stjernena, drużynowego medalisty mistrzostw świata w skokach narciarskich w 1987 r. Swymi osiągnięciami przebił już jednak ojca.

Jest drużynowym złotym medalistą mistrzostw świata w lotach narciarskich 2018 r. w Oberstdorfie, drużynowym srebrnym medalistą mistrzostw świata w Lahti z 2017 r. Zdobył też brązowy medal Pucharu Świata w lotach narciarskich 2012/2013 i zajął pierwsze miejsce w cyklu zawodów Pucharu Kontynentalnego 2011/2012.

Andreas Stjernen w lipcu zeszłego roku po raz pierwszy został ojcem, co sprawiło, że mniej czasu poświęca treningom, a więcej rodzinie. Jak sam twierdzi, paradoksalnie dobrze wpłynęło to na jego rezultaty – życie rodzinne pozytywnie oddziałuje bowiem na jego psychikę.

Na skoczni w Pjongczangu radzi sobie bardzo dobrze. Podczas sesji treningowych był jednym z najlepszych zawodników.

Jego rekord życiowy wynosi 249 m – Stjernen ustanowił go w lutym 2016 r. na mamuciej skoczni Vikersundbakken w norweskim Vikersund.

ANDREAS WELLINGER (NIEMCY)

Niespełna 23-letni zawodnik w 2017 r. w Lahti został mistrzem świata w drużynie mieszanej oraz dwukrotnym indywidualnym srebrnym medalistą (na skoczni normalnej oraz dużej).

Wcześniej, na igrzyskach olimpijskich w Soczi w 2014 r. zdobył złoto w konkursie drużynowym. W Pjongczangu prezentuje znakomitą formę. W czwartek wygrał kwalifikacje przed konkursem olimpijskim na skoczni normalnej, osiągając 103 m i wyprzedzając Kamila Stocha i Dawida Kubackiego. W Korei Południowej pokazał też, że nawet w trudnych warunkach potrafi latać nie tylko daleko, lecz także ładnie i stylowo. Rekord życiowy 245 m ustanowił w marcu 2017 r. na mamuciej skoczni Vikersundbakken w norweskim Vikersund.

JOHANN ANDRÉ FORFANG (NORWEGIA)

22-letni drużynowy złoty medalista mistrzostw świata w lotach narciarskich 2016 (Tauplitz/Bad Mitterndorf) i 2018 (Oberstdorf) oraz srebrny medalista mistrzostw świata w narciarstwie klasycznym w konkursie drużynowym na dużej skoczni (Lahti, 2017). W sezonie 2015/2016 zajął też trzecie miejsce w klasyfikacji generalnej Pucharu Świata w lotach.

Jego rekord życiowy wynosi 245,5 m. Johann André Forfang ustanowił go w marcu 2017 r. na mamuciej skoczni Vikersundbakken w Vikersund.

MICHAEL HAYBÖCK (AUSTRIA)

26-latek w swojej karierze zdobył srebrny medal na igrzyskach olimpijskich w rosyjskim Soczi w 2014 r. Ma również trzy medale mistrzostw świata: srebro za konkurs drużynowy w Falun (2015), a także drużynowe srebro oraz brąz z Lahti (2017). Brązowy krążek za konkurs drużynowy przywiózł również z mistrzostw świata w lotach w austriackim Tauplitz/Bad Mitterndorf (2016).

Hayböck najdalszy skok w swej dotychczasowej karierze oddał w marcu 2015 r. na mamuciej skoczni narciarskiej Letalnica w słoweńskiej Planicy: doleciał wówczas na odległość 241,5 m.

DANIEL-ANDRÉ TANDE (NORWEGIA)

Na skoczni narciarskiej pojawił się za namową lekarzy w ramach terapii, która miała pomóc mu przezwyciężyć paraliżujący lęk wysokości. Nikt jednak nie przypuszczał, że zacznie skakać tak daleko, iż nie tylko wyląduje w krajowej kadrze, lecz także zdobędzie medale mistrzostw świata.

Tymczasem Norweg w 2016 r. w mistrzostwach świata w lotach zdobył drużynowo złoty medal w austriackim Tauplitz/Bad Mitterndorf. 24-latek w 2018 r. z mistrzostw świata w lotach w Oberstdorfie przywiózł dwa złote krążki zdobyte w konkursach indywidualnym oraz drużynowym. Podczas mistrzostw świata w Lahti w 2017 r. na dużej skoczni zdobył srebrny medal. Jego rekord życiowy wynosi 242 m – ustanowił go w lutym 2016 r. na mamuciej skoczni Vikersundbakken w Vikersund.

RICHARD FREITAG (NIEMCY)

26-letni zawodnik jest m.in. srebrnym i brązowym medalistą drużynowym mistrzostw świata, srebrnym medalistą drużynowym mistrzostw świata w lotach oraz brązowym medalistą w konkursie indywidualnym (Oberstdorf, 2018). Jego rekord życiowy wynosi 231 m – Richard Freitag ustanowił go na mamuciej skoczni Kulm w austriackim Tauplitz w styczniu 2016 r.

STEFAN KRAFT (AUSTRIA)

24-latek. Indywidualny mistrz świata na normalnej oraz dużej skoczni w Lahti z 2017 r. Brązowy medalista na skoczni normalnej z 2015 r., dwukrotnie srebrny oraz brązowy medalista w konkursach drużynowych mistrzostw świata. To również indywidualny i drużynowy brązowy medalista mistrzostw świata w lotach narciarskich 2016.

Stefan Kraft to także zdobywca małej kryształowej kuli w Pucharze Świata w lotach narciarskich oraz kryształowej kuli Pucharu Świata w skokach narciarskich.

Jego rekord życiowy wynosi aż 253,5 m. Stefan Kraft ustanowił go w marcu 2017 r. na mamuciej skoczni Vikersundbakken w Vikersund. ©℗

FOT. MATERIAŁY PRASOWE (7)

eprasa.pl c435d7738c

JESTEŚMY PALIWEM DLA POLSKIEGO SPORTU

GRUPA LOTOS – ZAŁOŻYCIEL NARODOWEGO PROGRAMU ROZWOJU SKOKÓW I BIEGÓW NARCIARSKICH

Szukamy Następców Mistrza

www.lotos.pl

LOTOS

eprasa.pl c435d7738c

Na wojnie z rakiem

Katarzyna Pinkosz

Co roku w Polsce mogłoby być o 30 tys. zgonów mniej, gdyby leczenie nowotworów było na poziomie Niemiec czy Szwecji. Jednak pierwszy raz od wielu lat onkolodzy widzą małą nadzieję na zmiany

FOT. FOTOLIA

Pracuję od 45 lat w onkologii, pierwszy raz usłyszałem z ust premiera słowa, że zdrowie będzie priorytetem rządu, że już w tym roku będzie nacisk na kardiologię i onkologię. Będziemy się tego trzymać. To budzi nadzieję, że sytuacja w polskiej onkologii nareszcie się poprawi – mówi dr Janusz Meder, prezes Polskiej Unii Onkologii.

Gdy w 1971 r. prezydent Richard Nixon ogłaszał w USA wojnę z rakiem, wydawało się, że w ciągu kilku–kilkunastu lat uda się znaleźć lek. Okazało się to nie takie proste, gdyż niemal u każdego chorego nowotwór jest nieco inną chorobą, która musi być leczona inaczej. Jednak w ostatnich latach widać przełom: w niektórych nowotworach wyleczalność jest znacznie wyższa. Inne – dzięki kolejnym opcjom leczenia – stają się chorobami przewlekłymi, z którymi można żyć wiele lat.

Onkolodzy mają nadzieję, że potraktowanie zdrowia i onkologii jako priorytetów zmieni sytuację także w Polsce. Nie jest tajemnicą, że polscy chorzy na raka mają mniejsze szanse na przeżycie niż chorzy w USA, Niemczech, Anglii czy na Słowacji. Jest to spowodowane znacznie mniejszymi środkami wydatkowanymi na ochronę zdrowia, w tym na onkologię, co powoduje, że szwankują u nas zarówno profilaktyka, jak i organizacja leczenia. Rak w Polsce wciąż jest wykrywany w późniejszych stadiach niż w innych krajach, pacjent zwykle musi walczyć nie tylko z chorobą, lecz także szukać dla siebie lekarza, ośrodka, a nierzadko również starać się o nowoczesne leki. Z raportu Fundacji Onkologicznej Alivia wynika, że polscy chorzy nie mają dostępu do ok. 50 proc. leków zarejestrowanych w ostatnich 12 latach w UE, które w wielu przypadkach zmieniają rokowanie. – Dlatego wyniki w Polsce nadal odbiegają od wyników leczenia osiąganych w innych krajach. W Polsce pięć lat od postawienia diagnozy nowotworu przeżywa ok. 43 proc. pacjentów, podczas gdy np. w Szwecji 64 proc. – mówi prof. Jan Walewski, dyrektor Centrum Onkologii w Warszawie.

Sytuacja jednak powoli zaczyna się poprawiać. Kilka dni temu w czasopiśmie „Lancet" ukazał się artykuł przedstawiający wskaźniki pięcioletnich przeżyć w 71 krajach na świecie, oparte na obserwacji ponad 37 mln osób chorych na raka. Znalazły się w nim również dane z polskiego Krajowego Rejestru Nowotworów. – Według najnowszych danych pomiędzy 2006 a 2015 r. przeżycia pięcioletnie poprawiły się w Polsce o 8 proc. u mężczyzn i o 5 proc. u kobiet. W wielu nowotworach hematologicznych poprawa jest jeszcze większa – dodaje prof. Walewski.

Najlepsze efekty widać w leczeniu nowotworów u dzieci – wskaźnik pięcioletnich przeżyć wzrósł do 87 proc. w przypadku białaczki limfatycznej i do 93 proc. w chłoniakach nie-Hodgkina. Jeśli chodzi o dorosłych, to najbardziej poprawiła się sytuacja chorych na raka prostaty – aż o 10 proc. do 78 proc. – ale także chorych na raka okrężnicy, czerniaka, na niektóre nowotwory hematologiczne, takie jak przewlekła białaczka limfatyczna. Najgorzej jest z nowotworami płuca, trzustki,

eprasa.pl c435d7738c

wątroby, jajnika. Z tymi nowotworami przegrywamy najczęściej.

– W Polsce postęp w leczeniu mógłby być jeszcze większy, ale to wymaga ogromnego nakładu sił – mówi dr Joanna Didkowska z Krajowego Rejestru Nowotworów Centrum Onkologii.

ODWRÓCIĆ TREND

Pesymistyczne prognozy są takie, że co trzecia–czwarta osoba w Polsce w ciągu życia zachoruje na raka. Optymiści twierdzą, że tak wcale nie musi być, gdyż od 40 do 70 proc. nowotworów można zapobiec. Warunkiem jest zmiana trybu życia: trzeba jeść mniej (zwłaszcza wysoko przetworzonej żywności i produktów pochodzenia zwierzęcego), znacznie częściej sięgać po warzywa, schudnąć, pamiętać o codziennej aktywności fizycznej, częściej się relaksować, po alkohol sięgać sporadycznie, a przede wszystkim rzucić palenie. Papierosy to czynnik ryzyka wielu nowotworów, a przede wszystkim zabójcy numer jeden, czyli raka płuca. – W Polsce mamy jeden z najwyższych wskaźników umieralności w Europie, głównie z powodu palenia papierosów. Co prawda spadła liczba palących mężczyzn, niestety trudno nam przekonać kobiety do rzucenia palenia. Dlatego coraz więcej kobiet choruje na raka płuca – dodaje dr Didkowska.

Są jednak też takie typy nowotworów, w przypadku których nie da się zrobić nic, by nie zachorować. To przede wszystkim grupa nowotworów krwi, takich jak białaczki, chłoniaki czy szpiczak mnogi. W takim przypadku jedyne, co pozostaje, to jak najwcześniej nowotwór wykryć. Jednak przesiewowe programy profilaktyczne są tylko dla raka piersi, jajnika i jelita grubego. Dlatego dr Janusz Meder każdej dorosłej osobie zalecałby raz na rok lub dwa lata wykonanie zwykłej morfologii oraz badania USG. – Warto sprawdzić jamę brzuszną, tarczycę, węzły chłonne, nawet jeśli za to badanie trzeba zapłacić. Należy też zwracać uwagę i iść do lekarza, jeśli tylko pojawią się nietypowe objawy, takie jak przedłużający się kaszel i powiększenie węzłów chłonnych (mimo braku infekcji), osłabienie, bóle kręgosłupa, które nie mijają. Mogą to, choć nie muszą, być objawy nowotworu – dodaje dr Meder.

BADAMY GENY

Za ok. 30 proc. zachorowań odpowiadają geny. Dzisiaj można już sprawdzić, czy mamy gen predysponujący do raka. – Co czwarta z osób, które zachorują na nowotwór, urodziła się z mutacją genetyczną predysponującą do raka – mówi prof. Krystian Jażdżewski z Centrum Nowych Technologii UW, inicjator programu „Badamy Geny".

Osoby, które mają taką mutację genową, zwykle chorują wcześnie: w 30., 40., 45. roku życia, a w dodatku nowotwór może u nich przebiegać agresywniej. Dlatego ważne jest wykrycie wcześniej mutacji w genie, co jest możliwe dzięki sekwencjonowaniu nowej generacji. Można sprawdzić 70 genów, które odpowiadają za zwiększone ryzyko zachorowania na raka piersi, jajnika, prostaty, tarczycy, nerki, żołądka, skóry, jelita grubego, endometrium. – Badamy wszystkie geny, o których wiemy, że mogą wywołać nowotwory dziedziczne – mówi prof. Jażdżewski.

Osoby, u których badanie genowe wykaże zwiększone ryzyko, są zapraszane na konsultację lekarską, podczas której przedstawia się indywidualny plan profilaktyczny. Zachorowaniu nie zawsze da się zapobiec, można jednak nowotwór wcześnie wykryć. – Dla kobiety w Polsce ryzyko zachorowania na raka piersi w ciągu całego życia wynosi 12 proc. Jeśli jednak ma ona mutację w genie BRCA1, to ryzyko zachorowania rośne aż do 87 proc. W takim przypadku zaleca się już od 25. roku życia wykonywanie co roku USG i rezonansu magnetycznego, co może wykryć nowotwór na bardzo wczesnym etapie – tłumaczy prof. Jażdżewski. Z kolei jeśli okaże się, że mamy mutację w genie, która zwiększa ryzyko nowotworu jelita grubego, kolonoskopię trzeba wykonywać już od wieku 25–30 lat. – Każda osoba, która ukończyła 18 lat, może i powinna ocenić swoje ryzyko zachorowania na raka oraz razem z nami zaplanować właściwą profilaktykę – dodaje prof. Jażdżewski.

Program badań genetycznych dopiero się rozkręca – do dziś geny sprawdziło sobie ok. 11 tys. osób. Profesor Jażdżewski chciałby w ten sposób zbadać wszystkich Polaków, jednak doskonale zdaje sobie sprawę z tego, że konieczne do tego jest zbudowanie świadomości. Zwłaszcza że badanie genowe jest płatne (koszt to ok. 400 zł), a my wciąż słabo korzystamy nawet z darmowych badań przesiewowych. Z raportu NIK wynika, że na badania przesiewowe raka jelita grubego zgłasza się 16–18 proc. uprawnionych, raka szyjki macicy – 21–23 proc., a raka piersi – 42–44 proc. O tym, że ludzi można przekonać do badań, świadczy przykład Islandii, gdzie przychodzi na nie ponad 90 proc. osób. – W Polsce to nie jest kwestia braku świadomości. Dzisiaj każda kobieta wie, że powinna sobie zrobić cytologię czy mammografię. Podobnie jest ze świadomością konieczności wykonywania kolonoskopii – mówi dr Didkowska.

O poprawie zgłaszalności do badań przesiewowych mówi też „Do Rzeczy" nowy minister zdrowia Łukasz Szumowski. – Trzeba się zastanowić, jak badania profilaktyczne wprowadzić do pewnego trybu „obowiązkowych" badań dla wszystkich, czyli jakie zachęty dla pacjentów i lekarzy zastosować, by poprawić efektywność profilaktyki. Bez tego nigdy nie osiągniemy poprawy wyników leczenia. A musimy coś zrobić, bo 70 proc. Polaków umiera z powodu chorób układu krążenia i nowotworów – mówi minister Szumowski.

NARODOWY INSTYTUT ONKOLOGII

Jego utworzenie to jedna z zapowiedzi z exposé premiera Morawieckiego. Cieszy to onkologów, bowiem dobrze zorganizowane leczenie to podstawowy warunek poprawy jego efektywności. Niestety, w tej chwili w Polsce często o sposobie leczenia oraz o szansie na wyleczenie decyduje… miejsce zamieszkania. Efekty leczenia w dużych ośrodkach onkologicznych często nie odbiegają od tego, co na Zachodzie (zwłaszcza jeśli chorzy mogą korzystać z badań klinicznych). Gorzej jest w mniejszych ośrodkach, które często leczą znacznie mniej efektywnie.

Narodowy Instytut Onkologii miałby m.in. koordynować leczenie w Polsce, wydawać rekomendacje, weryfikować, które procedury są opłacalne, a być może także koordynować badania nad nowymi lekami w Polsce. O jego powołaniu mówi się już od 2015 r. Od kilku lat leży też w ministerstwie opracowana przez onkologów Strategia Walki z Rakiem. Może teraz wreszcie coś drgnie?

Recepta na lepsze efekty wojny z rakiem w Polsce jest więc znana: dobra profilaktyka, dobra organizacja leczenia, dostęp do nowoczesnych leków. Za receptę trzeba zapłacić, stąd pytanie, jak szybko uda się ją zrealizować i co roku ocalić życie kilkudziesięciu tysięcy osób.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl c435d7738c

JACEK KOMUDA

RYCERZE I WARCHOŁY

Obrona kniazia „Jaremy"

Książę Jeremi „Jarema" Wiśniowiecki to jedna z wielu zakłamanych postaci w historii. Do dziś oskarżany jest o mordy na Kozakach i ludności ruskiej w czasie powstania Chmielnickiego w 1648 r. Niebagatelną rolę odegrał w tym Sienkiewicz – zarówno gloryfikujący księcia, jak i szeroko rozpisujący się o tym, jak palił orz zabijał, a także wbił na pal atamana Sucharukę, przysłanego z listami od Kozaków.

Przeglądając źródła historyczne, czyli dawne pamiętniki i listy opisujące wyprawy Wiśniowieckiego, łatwo znaleźć w nich przykłady pospolitego okrucieństwa, a więc ścinania jeńców czy Kozaków. Trudno jednak napotkać wzmianki o masowym ludobójstwie. Lektura pamiętnika Bogusława Maskiewicza, który towarzyszył księciu, pokazuje, że Wiśniowiecki w przeciwieństwie do Kozaków nie przesadzał z brutalnością.

Wybuch powstania Chmielnickiego i klęska hetmanów pod Korsuniem zastały księcia w dobrach na Zadnieprzu. Przekonawszy się, że nie jest możliwe przeprawienie się przed Dniepr, nie chcąc zostać odcięty, wyruszył na północ, w stronę Czernihowa. Po drodze staczał potyczki z watahami zbuntowanego chłopstwa i Kozaków. Na przykład 16 maja kniaź nakazał ściąć pięciu schwytanych Kozaków, co w tej okrutnej wojnie było normalną rzeczą. Wiśniowiecki zabrał ze sobą ponad 500 Żydów, których wyprowadził z terenów ogarniętych buntem. Przeszedł Dniepr i odpocząwszy w Brahimiu, zawrócił na południe, starając się zająć włości młodych książąt Wiśniowieckich. Pierwsze przykłady srogiego postępowania miały miejsce, jak podaje Jan Widacki w „Jeremim Wiśniowieckim", w Pohrebyszczach. Przed przyjściem „Jaremy" zostały one zdobyte przez Kozaków, przy czym szlachtę i Żydów wyrżnięto, splądrowano też i zbezczeszczono kościoły. Przybywszy do miasta, Wiśniowiecki nikogo masowo nie mordował. Przeprowadził – o dziwo! – śledztwo, starając się ustalić, kto zdradził i wpuścił buntowników do miasta. Winnych ukarał wedle

FOT. MUZEUM PAŁACU KRÓLA JANA III SOBIESKIEGO W WILANOWIE

obowiązującego prawa – wbijając na pal wójta, kilku rajców i popów. Nie było jednak masowego wycinania, palenia ani równania Pohrebyszcz z ziemią. Dowiedziawszy się, że Niemirów opanowany został przez Kozaków, wysłał tam Jana Baranowskiego. Rotmistrz rozbił w Obodnym oddział 60 Kozaków, których – jak pisze Maskiewicz – „wszystkich za łaską Bożą wygoliliśmy". Następnie zdobył Niemirów, ratując przy okazji miejscowych Żydów. Wówczas wycięto część uciekających Kozaków w polu. Nie był to jednak koniec tej historii. Mieszczanie zdradzili bowiem po raz drugi i kiedy książę przysłał tam dragonów po żywność, wezwali na pomoc Kozaków i chłopów, po czym wymordowali książęcych ludzi. Wiśniowiecki wysłał 1,5 tys. jazdy, aby ukarać miasto, ale nie zdołał go zdobyć, bo buntownicy zdołali się umocnić.

Później książę próbował pomóc Polakom oblężonym w Machnówce, od czego jednak odwodził go wojewoda kijowski Janusz Tyszkiewicz. Gdy zatem wojska „Jaremy" dotarły wreszcie na miejsce, Kozacy zdołali sformować tabor i ujść na Pohrebyszcze.

Wycofujący się na Wołyń książę stoczył nierozstrzygniętą bitwę z Kozakami Maksyma Krzywonosa, po czym wycofał się pod Jampol, a sam udał do Zbaraża. Jeszcze 26 lipca pod Konstantynowem dowiedziawszy się, że mieszczanie zdradzili i posyłali Kozakom chleb, piwo, gorzałkę oraz proch, kazał ściąć 40 zdrajców.

Gdzie jednak owe wsie na palach? Gdzie oczy świdrami wiercone? Jak widać, okrucieństwa „Jeremiego" nie odbiegały normą od całej tej wojny, kiedy rzesze Kozaków i chłopów mordowały szlachtę oraz Żydów, paląc dwory, rozpruwając niewiastom brzuchy i wycinając miasta.

Opisy przerażających rzezi są, owszem, ale… w listach Chmielnickiego i Krzywonosa oskarżających księcia! Pierwszy z nich to pismo kozackiego wodza do polskich komisarzy. Drugi – list Krzywonosa do Koryckiego, w którym obwinia Wiśniowieckiego o tyraństwo nad Kozakami – m.in. wywiercanie oczu świdrami w Pohrebyszczach i… Niemirowie!

Obydwa oskarżenia można śmiało odrzucić. Po pierwsze, są niezgodne z relacjami polskimi, z których wiadomo, że to Niemirów dwukrotnie zdradził i wcale nie został ukarany ani zdobyty. Po drugie, ich autorzy, a zwłaszcza Krzywonos, jeden z najokrutniejszych watażków kozackich, morderca Polaków, Żydów i księży w Połonnem, Barze oraz licznych miastach Ukrainy, próbują po prostu usprawiedliwić się, zrzucając winę na przeciwnika. Nie dziś w końcu i nie wczoraj, ale już w XVII w. wymyślono kłamstwa historyczne. ©℗

eprasa.pl c435d7738c

IRENEUSZ KROSNY I LECZO Z FRYTKAMI

W moim domu preferujemy raczej tradycyjną polską kuchnię, ale szukając urozmaiceń, trafiliśmy na najzwyklejsze leczo i muszę przyznać, że bardzo w nim zasmakowaliśmy. I tak element węgierskiej kuchni wszedł na dobre do naszego repertuaru i co jakiś czas ktoś w domu się domaga, że może pora na leczo.

Jemy je bez żadnych dodatków, bez pieczywa czy ziemniaków. Ewentualnie, jeśli chcemy zjeść leczo na obiad, to robimy do niego frytki. Jednak nie mrożone ze sklepu, tylko domowe, ze świeżych ziemniaków. Są przepisy, w których podaje się różne przyprawy, np. paprykę w proszku, ale moim zdaniem wystarczą sól i pieprz, a do tego świeży czosnek, więc nie widzę powodu, by przyprawiać je czymkolwiek innym.

Składniki:

- 200 g frankfurterek
- 3 papryki (mogą być czerwone bądź czerwona, zielona i żółta)
- cukinia
- 2 cebule
- 2–3 ząbki czosnku
- pomidory w puszce
- sól, pieprz

Przygotowanie:

Kroimy paprykę i cukinię, które dusimy w garnku z grubym dnem ok. 10 min. Na patelni podsmażamy posiekane cebule i czosnek, dodajemy do garnka. Kroimy kiełbaski i również podsmażamy oraz dodajemy do pozostałych składników i znów dusimy kilka minut. Na koniec przyprawiamy solą oraz pieprzem i dodajemy niewielką puszkę pomidorów. Całość dusimy, aż wszystkie składniki dobrze się wymieszają, a warzywa będą miękkie. Leczo czym dłużej jest duszone, tym jest lepsze, więc nie warto się spieszyć. ©℗

oprac. raw

Ireneusz Krosny jest mimem, występuje we własnym Teatrze Jednego Mima.

FOT. ROMAN KOSZOWSKI/FOTOGOŚĆ/FORUM

JOANNA BOJAŃCZYK

NIEPRAKTYCZNA PANI DOMU

Przysmaki i trucizny

Chinina, guaranina, emetyna, artemizynina, kaptopryl… Te trujące substancje znajdują się w roślinach tropikalnych lasów w Amazonii, Wietnamie, Malezji. Trucizny, ale z niektórych można wydestylować bezcenne lekarstwa, trzeba tylko wiedzieć jak. Pracują nad tym lekarze z laboratoriów Pierre Fabre. Oczywiście to, że jakaś roślina jest używana przez ludność zamieszkującą obszary subtropikalne, nie oznacza, iż jest ona nieszkodliwa. Wprawdzie posługiwali się nią szamani, ale oni wiedzieli, jak jej używać. Nauka od dawna przeczuwała, że w tropikalnych roślinach kryją się skarby dla medycyny, ale dopiero niedawno zaczęto rozgryzać ich sekrety... Chinina jest przeciwmalaryczna, guaranina działa rozluźniająco i przydaje się w znieczuleniach, emetyna pomaga zwalczyć amebę, kaptopryl obniża ciśnienie krwi...

Kilka lat temu, gdy byłam w Amazonii, odwiedziliśmy wioskę indiańskiego plemienia Guarani. W pewnym momencie jeden z Indian z wpiętą za pas maczetą, zaczepiając o pień kolcami przypiętymi do butów, wspiął się na wysoką palmę. Zsunął się, trzymając w ręku gałąź obsypaną czarnymi jagodami nanizanymi jak korale na sznurek. – To owoce acai [wym. asai] – powiedział po portugalsku, zerwał kilka i rozdzielił między turystów. Wyglądem podobne były do naszych, tylko sporo twardsze. Gdy nacięło się skórę, w środku znajdowało się fioletowy miąższ.

Acai to jedno z odkryć żywieniowych ostatnich kilkunastu lat, najmodniejszy owoc w kręgach osób zaawansowanych duchowo. Pokarm życia, eliksir młodości, szczupłości i urody, przynajmniej tak twierdzą hollywoodzkie gwiazdy. Inne hity to sok z owocu goji (działanie antystresowe), jagódki mangostanu (przeciwzapalne).

FOT. FOTOLIA

Jagody acai rosną w tropikalnej dżungli delty Amazonki. Obok manioku i ryb od zawsze stanowiły istotną część jadłospisu mieszkańców tego regionu. Do końca lat 80. poza Brazylią, a właściwie poza obszarem, gdzie rosną, były nieznane. Gdy w latach 80. Indianie z dorzecza Amazonki zaczęli migrować do miast: Belém, Macapá, potem do Rio i São Paulo, zabrali jagody ze sobą. W postaci pulpy, koktajlu i lodów zaczęto je sprzedawać na ulicach. Zmieszane z bananami, musli i owocem guarany (który ma dwa razy więcej kofeiny niż kawa) dawały szybki, lekkostrawny zastrzyk energii. No i news poszedł w świat.

Szamaństwo? Ezoteryka? Człowiek współczesny, bombardowany informacjami o zdrowiu, nie wie, czy ma jeść kiszoną kapustę, czy przejść na szamańsko-hollywoodzką dietę gwiazd. Zdrowy rozsądek coraz pilniej poszukiwany. ©℗

Egzemplarz prasowy c435d7738c

NASZ TEST: OPEL INSIGNIA SPORTS TOURER

Mierzy prawie 5 m i ma duży, ustawny bagażnik. Insignia w wersji kombi jest jednak nie tylko praktyczna. Auto wygląda atrakcyjnie, a wnętrze przypominające nieco samochody klasy premium pozwala na komfortową podróż. Niektórzy konkurenci dają jednak więcej radości z jazdy.

W KABINIE

To niezły samochód dla tych, którzy lubią podróżować w niemal luksusowych warunkach, ale nie muszą się z tym przesadnie obnosić. Wnętrze Insigni – zarówno jeśli chodzi o design, jak i o jakość zastosowanych materiałów – wygląda dużo lepiej, niż można by się spodziewać po samochodzie klasy średniej. Wśród zalet można też wymienić bardzo wygodne fotele, czytelny dotykowy wyświetlacz oraz ilość przestrzeni dla pasażerów.

Po stronie plusów trzeba również wpisać ustawny kufer. Bagażnik ma 560 l pojemności (1665 l po złożeniu siedzeń), co jest bardzo dobrym wynikiem w tej klasie.

JAZDA

Insignia Sports Tourer z dwulitrowym silnikiem Diesla o mocy 170 KM sprawnie przyspiesza, osiągając pierwszą setkę w 9,2 s po starcie.

Model ten bez problemu może służyć jako pojazd do komfortowych, rodzinnych podróży. Kabina jest świetnie wyciszona, dzięki czemu nawet przy bardzo wysokich prędkościach autostradowych w Insigni kombi można swobodnie rozmawiać. Auto prowadzi się stabilnie. Nieźle działa też ośmiostopniowa automatyczna skrzynia

biegów. Nie jest to jednak najlepszy model, jeśli ktoś szuka auta do dynamicznej jazdy. Zawieszenie jest miękkie, a układ kierowniczy dość mało precyzyjny, co utrudnia pokonywanie serpentyn z mocno wciśniętym pedałem gazu. Producent deklaruje, że auto pali średnio 5,7 l/100 km. Podczas testu średnie spalanie w zimowych warunkach w cyklu mieszanym (trasa, autostrada, miasto) wyniosło 7,5 l/100 km.

BEZPIECZEŃSTWO

W testach zderzeniowych Euro NCAP auto zdobyło komplet pięciu gwiazdek. Bezpieczeństwo zwiększają też świetne reflektory LED oraz system automatycznego hamowania awaryjnego z funkcją wykrywania pieszych. Testowany egzemplarz był też wyposażony w asystenta utrzymania pasa ruchu oraz w system ostrzegający przed samochodami znajdującymi się w martwym polu lusterek.

Samochód może być wyposażony w wyświetlacz projekcyjny (HUD), a także w system OnStar, którego operatorzy w razie wypadku automatycznie zawiadomią odpowiednie służby i wskażą miejsce zdarzenia.

Przydatna jest też na pewno kamera cofania, bo na tłoczonych parkingach i ciasnych uliczkach czuć, że auto jest bardzo długie.

CENA

Opel Insignia Sports Tourer w najtańszej wersji z silnikiem 1,5 o mocy 140 KM kosztuje 95,9 tys. Za model z dwulitrowym silnikiem Diesla o mocy 170 KM trzeba zapłacić co najmniej 114,7 tys. zł, a za najlepiej wyposażoną wersję z automatyczną skrzynią już 136,7 tys. zł.

KONKURENCI

Ford Mondeo, Hyundai i40, Mazda 6, Skoda Superb, Toyota Avensis, Volkswagen Passat. ©℗

Jacek Przybylski

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

eprasa.pl c435d7738c

OFFICIAL SELECTION
tiff
TORONTO INTERNATIONAL FILM FESTIVAL 2017

42. FPFF W GDYNI
NAGRODA ZA ZDJĘCIA

42. FPFF W GDYNI
NAGRODA ZA DŹWIĘK

33. WFF
NAGRODA JURY EKUMENICZNEGO

OFFICIAL SELECTION
FESTIVAL DE SAN SEBASTIÁN
2017

REŻYSERIA
URSZULA ANTONIAK

POMIĘDZY SŁOWAMI

JAKUB GIERSZAŁ
ANDRZEJ CHYRA
JUSTYNA WASILEWSKA

Elektryzujący duet Gierszał - Chyra
film.com.pl

Piękne zdjęcia
interia.pl

Prawdziwe dzieło
naEKRANIE.pl

OPUS FILM AND FAMILY AFFAIR FILMS PRESENT A FILM BY URSZULA ANTONIAK "BEYOND WORDS" WITH JAKUB GIERSZAŁ ANDRZEJ CHYRA CHRISTIAN LÖBER JUSTYNA WASILEWSKA
DIRECTOR OF PHOTOGRAPHY LENNERT HILLEGE NSC PRODUCTION DESIGN MIREN OLLER KATARZYNA JĘDRZEJCZYK COSTUMES PAULINA SIENIARSKA HELEEN HEINTJES MAKE-UP ANNA KIESZCZYŃSKA
EDITOR MILENIA FIEDLER PSM SOUND DESIGN JAN SCHERMER LINE PRODUCERS ALEKSANDRA SKRABA CHRIS STENGER PRODUCERS ŁUKASZ DZIĘCIOŁ PIOTR DZIĘCIOŁ NOORTJE WILSCHUT FLOOR ONRUST
WRITTEN AND DIRECTED BY URSZULA ANTONIAK THIS FILM WAS MADE WITH THE SUPPORT OF THE POLISH FILM INSTITUTE THE NETHERLANDS FILM FUND AND THE NETHERLANDS PRODUCTION INCENTIVE EURIMAGES EC1 ŁÓDŹ - THE CITY OF CULTURE

W KINACH OD 16 LUTEGO

Ale kino+ AKTIVIST K MAG MAGAZYN cojestgrane24 Gala MY COMPANY RZECZY FILM EMAIL NETWORK STRÖER Biret.pl LOYD MOKATE muzo.fm
eprasa.pl/c435d7738c

MATTHEW TYRMAND

ZŁY TYRMAND

Będzie jeszcze gorzej

MARCIN MAKOWSKI: Prezydent Duda podpisał nowelizację ustawy o IPN, kierując ją jednocześnie do Trybunału Konstytucyjnego. Kneset wydał oświadczenie twierdzące, że wprowadzenie tego prawa będzie obciążało Polskę piętnem „negowania Holokaustu". Czy ten kryzys da się jeszcze opanować?

MATTHEW TYRMAND: Pewnych szkód wizerunkowych nie da się już naprawić, ale w dyplomacji zawsze istnieje szansa wyjścia z twarzą, chyba że mamy do czynienia z gorącą, a nie tylko zimną wojną. Myślę, że polska prawica ma prawo być poirytowana podwójnymi standardami Izraela, jeśli chodzi o drakońskie prawa ograniczające wolność słowa. Niestety ta nowelizacja ustawy, sposób jej procedowania, konsultowania i czas wybrany na uchwalenie na starcie skazywały ją na porażkę. Dzisiaj m.in. premier Morawiecki stara się łagodzić napięcie, na ile to jeszcze możliwe, Jonny Daniels ściąga izraelskich dziennikarzy do Polski…

Tylko czy to wystarczy? W polityce nie wygrywa przecież ten, kto ma rację, lecz ten, kto skuteczniej lobbuje swoje stanowisko.

Dlatego jestem zdania, że polski rząd robi zdecydowanie za mało na polu komunikacji. Nikt normalny nie ma wątpliwości, że zgodnie z faktami nie da się obciążyć całego narodu za niemieckie nazistowskie zbrodnie, ale czy Polska umie tę prawdę przekazać skutecznie? Spotkać się nie tylko z neutralnymi izraelskimi dziennikarzami, lecz także przekonać tych, którzy są zdecydowanie sceptyczni? Ostatecznie w bilansie dyplomatycznych zysków i strat tylko to się liczy, a nie to, jak ostre prawo i jak wiele lat więzienia będzie wisieć nad głowami ludzi, którzy będą chcieli kłamać. W tym sensie zastanawiam się, co robi szef resortu, który miał wpływ na kształt nowelizacji. Gdzie jest minister Zbigniew Ziobro? Dlaczego nie pojawia się w mediach i po angielsku nie tłumaczy intencji proponowanych przepisów?

Ech, znowu Ziobro i jakieś teorie spiskowe.

Żadne spiski, tylko rzeczy, o których się mówi w niektórych kręgach. A mówi się np., że gdyby ktokolwiek chciał zrestrukturyzować Ministerstwo Sprawiedliwości, a jego włodarze zostaliby politycznie na lodzie, mogliby pokusić się o stworzenie swojego ruchu, któremu nadawaliby jeszcze mocniejszy prawicowy kurs, pewnej wariacji na temat węgierskiego Jobbiku.

Podobne poglądy głoszone przez narodowców oscylują wokół jednoprocentowego poparcia, Jobbik na Węgrzech traci na rzecz Fideszu. Widzę tutaj więcej do stracenia niż do zyskania.

Dlatego mówię o planie awaryjnym. PiS w wielu aspektach skręca do centrum, niekiedy dla najtwardszego elektoratu chodzi na zbyt daleko idące kompromisy. W Polsce na pewno jest miejsce na mocną narodową prawicę, która ze względu na amatorkę narodowców nie ma swojej reprezentacji w parlamencie. Nie lekceważyłbym tego elektoratu.

Wracając do tematu, decyzję prezydenta oficjalnie skrytykował Rex Tillerson. W oświadczeniu Departamentu Stanu czytamy, że ustawa „może naruszać wolność badań naukowych", mimo że wyraźnie zapisano w niej, iż nie obejmuje obszaru akademickiego. Jesteś tym głosem zaskoczony?

Nie jestem i powtarzam swoje stanowisko sprzed tygodnia. W optyce amerykańskiej każda próba grożenia więzieniem za prowadzenie dyskursu, nawet jeśli jest kłamliwy, pachnie cenzurą. Szczególnie że nie definiuje się w zapisach noweli, czym jest działalność badawcza i artystyczna. Niestety sytuacja na linii Polska – USA może się pogarszać. Niedługo obchody Marca '68 oraz rocznica antysemickich czystek, później obchody stulecia niepodległości, w których zamiast o polskiej demokracji i sukcesie gospodarczym będzie się mówić o Holokauście. To fatalna sytuacja, a z tego, co słyszę, nikt w rządzie nie ma się zamiaru wycofywać – myślą tylko nad zaostrzeniem stanowiska i dolaniem oliwy do ognia. Jeśli jeszcze dodamy do tego wyskoki w stylu transparentu kolegów Roberta Winnickiego o „ściąganiu jarmułki", to jest katastrofa. Niestety. ©℗

ROZMAWIAŁ **MARCIN MAKOWSKI**

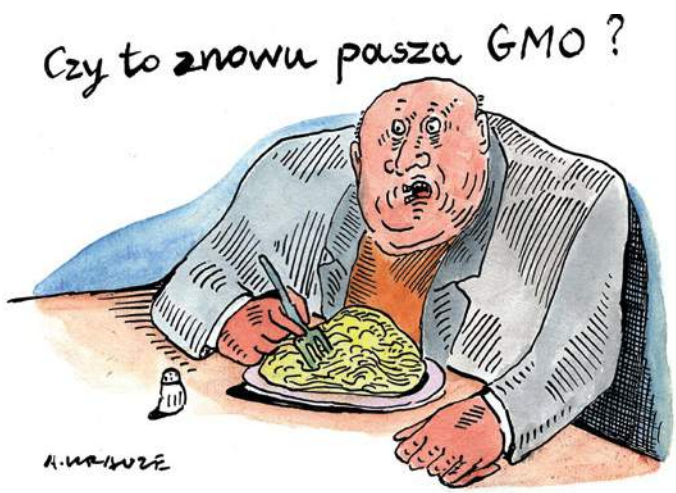

RYSUJE: ANDRZEJ KRAUZE

eprasa.pl c435d7738c

Zmieniamy się dla Państwa

REPUBLIKA

Wtorek 20:00

PILNUJMY POLSKI!

zadaj pytanie! **#ZapytajMacierewicza**

Oglądaj Telewizję Republika: www.telewizjarepublika.pl

eprasa.pl c435d7738c

OKIEM BLOGERKI

Argument z antysemityzmu

KATARYNA

ADAM MICHNIK: Nie jest winą Polaków, że na polskiej ziemi był Holokaust. Wielokrotnie się zastanawiam, dlaczego w świecie nie panuje stereotyp, że Rosjanie są antysemitami. Nie ma takiego stereotypu. Albo dlaczego dzisiaj w Izraelu mówi się, że Holokaust robili naziści, a nie Niemcy. Mówi się w świecie o Polakach jako antysemitach, chociaż nie mieli swojego Lavala czy Brasillacha, a nie mówi się tak o Francuzach, którzy ich mieli. Dlaczego? Dlatego że trzeba było w jakiś sposób usprawiedliwić Jałtę. Żeby mógł sobie Zachód powiedzieć: „Był taki naród, który wprawdzie od pierwszego dnia walczył z Hitlerem, ale to był naród paskudny, nietolerancyjny i zrobił Żydom wiele złych rzeczy". Ten naród został sprzedany w Jałcie towarzyszowi Stalinowi, trzeba było znaleźć jakiś sposób, żeby samego siebie usprawiedliwić.

To fragment referatu Adama Michnika wygłoszonego ponad 20 lat temu na konferencji poświęconej pamięci polsko-żydowskiej. Polska świadomie krzywdzona przez Zachód, usprawiedliwiający naszym rzekomym antysemityzmem jałtańską zdradę – dość szokująca teza, prawda? Ciekawe, co z tego by dzisiaj powtórzył na łamach kierowanej przez siebie „Gazety Wyborczej", której wkład w utrwalanie krzywdzącego i szkodliwego stereotypu Polaka antysemity jest nie do przecenienia. Trudno mi sobie wyobrazić, aby taki tekst mógł się w ogóle w niej ukazać, za to bez trudu sobie wyobrażam inwektywy, jakimi zostałby obrzucony ktoś, kto ośmieliłby się stawiać podobne tezy – że budowanie i utrwalanie nieprawdziwego stereotypu Polaka antysemity jest po prostu elementem dużo większej rozgrywki, w której prawda i sprawiedliwość nie mają najmniejszego znaczenia. Zresztą nie muszę sobie wyobrażać, wystarczy obserwować obecną awanturę.

Gdy w 1999 r. pojawiły się realne szanse na ekstradycję do Polski Heleny Wolińskiej-Brus, zbrodniarki żydowskiego pochodzenia, odpowiedzialnej za mord sądowy na gen. Fieldorfie, brytyjskie gazety przywoływały rzekomy powszechny polski antysemityzm jako argument przeciwko wydaniu Wolińskiej Polsce. „Byłaby to ekstradycja do kraju, gdzie znajdują się takie miejsca, jak Oświęcim i Brzezinka" – pisał „The Independent". „Czy Żyd może liczyć na sprawiedliwość w kraju Auschwitz, Majdanka i Treblinki, gdzie antysemityzm rodem ze średniowiecza wciąż pozostaje przygnębiająco mocno okopany?" – to z kolei „The Sunday Times". I choć wcześniej Wielka Brytania bez problemu wydała Hiszpanii gen. Augusto Pinocheta, Polsce odmówiła prawa do sądzenia zbrodniarki. Polski antysemityzm był też pretekstem, którego użył Izrael, gdy Polska wystąpiła o ekstradycję innego zbrodniarza żydowskiego pochodzenia – Salomona Morela. „Uważamy, iż nie ma żadnych podstaw do przedstawienia Morelowi zarzutów popełnienia poważnych przestępstw. Jeśli już, to wydaje się nam, że Morel i jego rodzina byli ewidentnie ofiarami zbrodni ludobójstwa popełnionej przez hitlerowców oraz Polaków z nimi współpracujących" – pisały władze Izraela w odpowiedzi na polski wniosek o ekstradycję zbrodniarza.

I coś mi mówi, że gdy będzie już niebezpiecznie blisko do ekstradycji ściganego obecnie listem gończym za komunistyczne zbrodnie Stefana Michnika, Adam Michnik sam chętnie użyje pałki antysemityzmu, żeby brata przed sprawiedliwością bronić. Po dwudziestu latach od tamtej konferencji antysemityzmem jest bowiem samo wspominanie o narodowości zbrodniarzy. ©℗

PODSŁUCHANE

Ciągła mobilizacja

No, Marku, jaka tam sytuacja? Jakie fronty? Ty bliżej Mateusza siedzisz, to się nawet lepiej niż ja orientujesz.

No to tak: Izrael to wiadomo, wojna na całego; Ameryka się burzy, pokazujemy, że nie chodzimy na pasku Trumpa; Ukraina – prawie na noże idzie; z Niemcami to wiadomo, Czaputowicz się tam niby uśmiecha do nich, ale wypuścimy Mularczyka, żeby pogadał o reparacjach i znowu będzie git; Francja – trochę przygasło, ale już tam zaraz damy cynk, że francuska technologia atomowa jest do chrzanu i na pewno jej od nich nie weźmiemy, to się znowu wkurzą.

Bardzo dobrze, bardzo dobrze, tak trzymać. Nie możemy odpuścić, ciągła mobilizacja. Tylko mnie trochę martwi Komisja Europejska. Ten Czaputowicz jakiś taki miękki, do Timmermansa się uśmiechał tu, w Warszawie, jeszcze sprawa przyschnie i będzie klops. Na to sobie nie możemy pozwolić.

Pomyślałem o tym. Jak już Timmermans wychodził od ministra, to wpadła na niego Krysia nasza kochana i tak mu nagadała, że wyszedł czerwony ze złości. Nic nie przyschnie.

A on coś zrozumiał?

Nie, ale znasz Krysię. Nie musiał.

A skąd ona się tam wzięła?

Skromnie powiem, że miałem w tym niejaki udział. ©℗

Łukasz Warzecha

OD RZECZY

„Ziobro i Jaki stanowią sobie prawo, wedle którego będą musieli postawić w stan oskarżenia każdego ocalonego Żyda, który przeżył w Polsce okupację".

JAN TOMASZ GROSS w „Newsweeku"

eprasa.pl c435d7738c

fot. Jerzy Gumowski

Samobój

Polsko–żydowskie boksowanie się z ostatnich tygodni, szybko przerodzone w młóckę międzynarodową, globalną — skłoniło redakcję **„Rzepy”** do pochwalenia się, iż ta gazeta już A.D. 2005 *„rozpoczęła akcję przeciw «polskim obozom»”*. No to dosyć późno, bo jeden gość z Saskiej Kępy zaczął taką akcję piętnaście lat wcześniej. Od początku III RP toczyłem licznymi publikacjami (artykuły, felietony, książki z serii **„Łysiak na łamach”**) bój przeciwko holocaustowemu zniesławianiu narodu polskiego. Weźmy dla przykładu mój duży tekst **„Aktualne rozwiązywanie kwestii polskiej”**, opublikowany w **„Tygodniku Solidarność”** 24 czerwca 1994. Zamieściłem tam m.in. cytaty z żydowskiej prasy kanadyjskiej, australijskiej, amerykańskiej oraz izraelskiej (**„Jewish Press”**, **„Jewish Gazette”**, **„Jewish Week”**, **„Jewish News”**, **„Jewish Time”**, **„Jewish Mail”**, **„Jewish Globe”**, **„Jewish Messanger”**, **„Shoah Memorandum”**), w której Polacy awansowali na głównych Żydobójców: *„Obozy śmierci były zarządzane przez Polaków”*, *„Oświęcim jest symbolem ludobójczego barbarzyństwa Polaków, którzy mordowali Żydów”*, *„Krew Żydów obciąża przede wszystkim Polaków”*, *„Za Oświęcim i Treblinkę odpowiada głównie naród polski”*, *„Polacy wymordowali w czasie wojny więcej Żydów niż naziści”*, *„Nazistowskie Gestapo miało najlepszych przyjaciół wśród antysemickiego polskiego społeczeństwa”*, *„Armia Krajowa była ludobójczą organizacją antyżydowską eksterminującą Żydów pod parawanem działalności antyniemieckiej”*, itd., itp. Credo tych enuncjacji było proste: *„Polacy spaśli się krwią Żydów”* (**„The Jewish Times”**), a dyrektywa klarowna: *„Czy może być coś bardziej naturalnego niż nienawiść do polskich morderców?”* (**„B’nai B’rith Messanger”**). Ta ciągła narracja antypolska przesiąkała do nieżydowskich gazet, tych z górnej półki: *„Ludobójstwo dokonane na Żydach Polacy usprawiedliwiają racjonalizując je, i w ten sposób całkowicie wyzbywają się poczucia winy”* (**„Toronto Star”**).

Te moje dawne zaciekłe kampanie przeciwko zniesławianiu Polaków dają mi dzisiaj prawo do wyrażenia opinii, że godnościową nowelizacją ustawy IPN–owskiej, plus trybem jej procedowania oraz zaklepywania, III RP strzeliła sobie gorzej niż w stopę, bo w brzuch, będzie się więc ten postrzał jątrzył bardzo długo, kuracja może być przewlekła, a konsekwencje będą uporczywe do bólu. Jeśli już zlekceważono wcześniejszą ekspertyzę MSZ, stwierdzającą, że ta nowelizacja może Polsce przynieść na arenie międzynarodowej więcej szkód niźli pożytku (a zlekceważono, bo minister Waszczykowski był akurat *„do odstrzału”*), to należało przynajmniej skonsultować tekst z lepszymi prawnikami (że *„nowelka”* jest bublem prawnym mówią dziś tacy spece jak mecenas Jan Olszewski, były premier) i uzgodnić precyzyjnie z Izraelczykami (nie cierpiącymi nas i przewrażliwionymi) niuanse sformułowań (może wystarczyłaby drobna kosmetyka, koniecznie sygnowana przez nich, żeby nie mogli się wycofać). Bez wątpienia też nie wolno było klepać ustawy dokładnie w przeddzień rocznicy wyzwolenia Auschwitz (czyli Międzynarodowego Dnia Pamięci o Ofiarach Holocaustu, kiedy nadwrażliwość/drażliwość Żydów sięga zenitu), tuż po złośliwie odpalonej w TVN (celowo z kilkumiesięcznym opóźnieniem) racy przeciw *„polskim hitlerowcom”*. Wreszcie budzi uzasadnione wątpliwości możliwość karania na mocy tej ustawy głosicieli antypolskich kłamstw, bo szerzą je cudzoziemcy, więc musielibyśmy skazywać ich zaocznie i wystawiać międzynarodowe listy gończe — czysty absurd.

W polskich antysalonowych mediach lunęła od razu gigantyczna fala dowodzeń, iż Polacy nie mają garbu holocaustowego, lecz to jest typowe *„przekonywanie przekonanych”*, gdyż każde dziecko wie u nas, że Polska nie wspierała Shoah instytucjonalnie (robili to natomiast Żydzi ochotniczo wstępujący do okrutnej żydowskiej policji gettowej Jüdischer Ordnungsdienst — tysiące chętnych we Lwowie, w Warszawie, Częstochowie, Łodzi i mniejszych miastach; głośna żydowska filozofka, Hannah Arendt, zużyła sporo atramentu pisząc, że bez tej żydowskiej żandarmerii i bez Judenratów Holocaust był niewykonalny). Wbrew dobrym intencjom (którymi wybrukowana jest, jak wiadomo, droga do piekła) — zamiast pożytku ustawa przyniosła Rzeczypospolitej furę globalnych szkód prestiżowych i dyplomatycznych. Te pierwsze są stymulowane głównie znanym mechanizmem: jakiś okrzyk (np. *„fake news”*) rozchodzi się po świecie głośno, szerokim echem, a późniejsze sprostowania, zaprzeczenia, przeproszenia to już *„głuchy telefon”*, trafiają w próżnię, docierają do ułamka pierwotnie zbulwersowanych osób. Miliony (może miliardy) użytkowników *„Sieci”* przeczytały, że polski premier oficjalnie potwierdza, iż Polacy hurtowo mordowali Żydów — a ile osób przeczytało nazajutrz, że YouTube się kaja, bo automatyczny tłumacz zrobił błąd? Cały świat usłyszał solenne zapewnienie izraelskiego eksministra finansów, Yaira Lapida: *„ — Tak, były polskie obozy zagłady!”* — a ile osób usłyszało zaprzeczenia ze strony niemieckiej lub izraelskiej? Wszędzie się dowiedziano, że *„naziści to Polacy”*, i że *„Polacy byli gorsi od Niemców”*, i że większość izraelskich parlamentarzystów popiera projekt ustawy Knesetu mówiący, iż Polska neguje Holocaust. Ta część ludzkości, która już wcześniej wierzyła w takie bzdury, teraz wielokrotnie urosła. Dawniej to był margines, teraz to jest mainstream — o *„polskich obozach zagłady”* usłyszał każdy. Nadto zepsute zostały stosunki z Tel Avivem i z Waszyngtonem. Nie grozi nam, że żydowskie lobby USA i żydowscy doradcy Trumpa (jego *„prawe ręce”*, choćby zięć) wycofają US Forces z Polski, czy że CaHal (armia izraelska) zaatakuje terytorium RP, lecz na cholerę nam całe to wściekłe zamieszanie było?! Paolo Coelho może i jest grafomanem powieściowym, jednak jako twórca maksym/sentencji czasami się sprawdza. Exemplum jego twierdzenie: *„Nie da się wszystkich zadowolić, ale wkurwić wszystkich to żaden problem”*.

> *Stara mądrość rabinacka: „Jakie dobrodziejstwo ci uczyniłem, że mnie tak nienawidzisz?”*

Nie przejmowałbym się faktem, że wkurwiliśmy Żydów na całej planecie. Ich wielkie diaspory (przede wszystkim amerykańska, kanadyjska i australijska) tudzież obywatele Izraela — nienawidzą Polaków od dekad, to się nie zmienia, nie maleje, tam dzieci z mlekiem matek wysysają ową polonofobię, więc ich antypolonizm bez żadnych naszych ustaw sięga sufitu. Gorzej iż nad Wisłą ludzie, którzy od dawna uważają, że jedyny problem z prawdomównością Żydów polega na tym, iż to nie jest prawdomówność — zyskali nowe paliwo, więc izraelska wymierzona w ustawę zawziętość wywołała tu przypływ kontrżydowskiego *„hejtu”*, który dla Żydów całego świata stanowi bezsporny dowód *„polskiego antysemityzmu”*, jego świadectwo namacalne.

Słowem: nieopatrznie zapędziliśmy się w kozi róg typu *„no way out”*, z którego — jak spekulowano — żadne wyjście nie jest dobre, bo cofnięcie się będzie oznaką słabości, reputacja Polski sięgnie dna (słabych nikt nie szanuje), a gdy się uprzemy to trudno nam będzie wykaraskać się z międzynarodowych konfliktów. Prezydent Duda miał tedy ogromny dylemat, stał bowiem (on i jego mentor) przed decyzją o skutkach trudnych do szacowania (który wariant to mniejsze zło?), podobnie jak u stewardesy, która ma do wyboru: wpuścić na pokład faceta pijanego w sztok, czy lecieć bez drugiego pilota? Wybrnął z gracją linoskoczków: podpisał, lecz odesłał do TK. Klasyczne *„rozwiązanie Salomonowe”*, o jakim się mówi: *„wilk syty i owca cała”*. Dubeltowe grand prix za zgrabny trik, panie prezesie i panie prezydencie!

Dla zdezorientowanych izraelskim hałasem przeciw ustawie (w języku hebrajskim takie awantury są określane terminem: *„huspah”*, spolszczanym jako: *„hucpa”*): kochani, przypomnijcie sobie porzekadło anglosaskie, że jak nie wiadomo o co chodzi — to chodzi tylko o jedno… ©℗

Waldemar Łysiak

eprasa.pl c435d7738c

NIEZAPOMNIANY KONCERT

16 MARCA
WROCŁAW
GODZINA 20.00

Gintrowski

a jednak coś po nas zostanie...

2018 rokiem Zbigniewa Herberta

ORAZ

ORKIESTRA NFM FILHARMONII WROCŁAWSKIEJ POD BATUTĄ JANA STOKŁOSY

BILETY DO NABYCIA | W kasach Narodowego Forum Muzyki we Wrocławiu. Kasa czynna od poniedziałku do piątku w godzinach 11:00–18:00

REZERWACJA BILETÓW | Rezerwacji biletów można dokonać telefonicznie od poniedziałku do piątku w godzinach 9:00–17:00 oraz w soboty w godzinach 15:00–20:30 pod numerem telefonu: +48 71 715 97 00. Rezerwacji można dokonać także e-mailowo pod adresem: rezerwacje@nfm.wroclaw.pl.

REZERWACJA ONLINE
WWW.NFM.WROCLAW.PL | BILETY.NFM.WROCLAW.PL

NARODOWE FORUM MUZYKI PLAC WOLNOŚCI 1, WROCŁAW

MECENAT KONCERTU

PARTNERZY

WSPÓŁORGANIZATOR

PATRONI MEDIALNI

eprasa.pl c435d7738c